

TAJEMNICA, ŻĄDZA
I ZASKOCZENIE.
THRILLER KOMPLETNY
MAX CZORNYJ

The background of the cover is white, featuring several red ink splatters of varying sizes and directions. In the bottom right corner, a portion of a metal drain is visible, with red ink splatters appearing to originate from it and spread across the page. The title 'WZORZEC' is printed in a large, bold, dark blue font across the center of the page.

WZORZEC

KAROLINA GŁOGOWSKA



KAROLINA GŁOGOWSKA

WZORZEC



Copyright © Karolina Głogowska, 2022

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Redakcja: Gabriela Niemiec

Korekta: Małgorzata Starosta, Dominika Fabiszewska, Katarzyna Skarda

Projekt okładki: White Doe

Zdjęcie autorki: Martyna Chmura

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki:

© Caspar Benson/fStop/Getty Images

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.

03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3

biuro@wydawnictwomieta.pl

www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-964582-4-7

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ

WTEDY

PODZIĘKOWANIA

Mówią, że w życiu trzeba mieć szczęście. Jasne, talent czy ciężka praca też się przydadzą, ale nawet to nic nie da, jeśli zwyczajnie nie masz farta. Możesz być najlepszy i wypruć sobie żyły, jednak bez korzystnego zbiegu okoliczności i tak wyżej dupy nie podskoczysz. Los musi ci sprzyjać, tak mówią. Kiedyś też w to wierzyłem. Zdecydowanie za późno zorientowałem się, że szczęście przychodzi tylko do tych, którzy wierzą w siebie. I w to, że ostatecznie dostaną wszystko, czego pragną. Jest jeszcze jeden ważny komponent tej układanki: umiejętność blefowania. Udawaj, aż ci się uda. Śmiałym szczęście sprzyja, a biednemu zawsze wiatr w oczy. To prawda – i przekonałem się o tym na własnej skórze. Dosłownie.

Kiedy awansowałem ze zmywaka na pomoc kuchenną, szef kazał mi przygotować eton mess. To taki tradycyjny deser z bezy, bitej śmietany i musu truskawkowego, kiedyś podawany brytyjskim snobom. Normalnie pomocnik nie wykonuje tak zaawansowanych rzeczy, ale cukiernik zachorował, a ja aż rwałem się do roboty. Byłem tak samo zajarany co głupi, bo dzień wcześniej nie wstawiłem truskawek do lodówki i kiedy zacząłem je miksować, zorientowałem się, że sfermentowały. Szef kuchni to był kawał skurwysyna, wywalał ludzi z roboty za dużo mniejsze fakapy. Bez mrugnięcia okiem dokończyłem więc deser i ułożyłem go w kryształowym pucharu w najpiękniejszy artystyczny pierdolnik, jaki ten złamas widział na oczy. Dziesięć minut później zostałem poproszony na sałę. Mało się nie zesrałem w gacie, kiedy okazało się, że stara raszpla, która zamówiła deser, jest znaną blogerką kulinarną. Osobiście i przy szefie kuchni, który był jej znajomym, chciała zapytać, cóż to za tajemniczy składnik sprawia, że mus ma tak oryginalny smak. Myślałem, że już po mnie, więc bez zastanowienia wypaliłem, że to cointreau. I tak miałem przejebane, nawet gdyby nabrała się na ten motyw. Mój szef nie tolerował żadnych odstępstw i modyfikacji w przepisach. I wtedy ta typiara wypaliła, że to najlepszy eton mess, jaki jadła w życiu. Wróciłem do kuchni dumny jak, kurwa, paw i patrzyłem przez szybę w drzwiach, jak gościówka wcina moje sfermentowane truskawki.

To w sumie dość głupi przykład, zwłaszcza w kontekście tego, co wydarzyło się później. W każdym razie wtedy jeszcze wierzyłem, że po prostu miałem farta. W całym moim smutnym, nędznym życiu, przypominającym raczej rzeźbienie w gównie, wypływanie na powierzchnię nie zdarzało się zbyt często. A może właśnie w tym tkwił mój problem? Byłem zbyt dumny, żeby realnie ocenić swoją sytuację i odpowiednio wcześniej wykorzystać koła ratunkowe? Głupi ma szczęście, mówią. Ja bym dodał: mądry ma wiarę w siebie.



TERAZ

Młody mężczyzna zarzucił na plecy kwadratową torbę gastronomiczną i jeszcze raz zerknął na mapę w smartfonie, żeby sprawdzić adres. Wyświetliła mu się wiadomość z alertem RCB: „Dziś i jutro silny wiatr. Jeśli możesz, zostań w domu”.

„Dzięki, kurwa”, pomyślał i wsiał na rower. Z nieba deszcz chlustał falami. Dwie minuty niezbyt intensywnego opadu, trochę przerwy i znowu chluśnięcie. Wiatr zataczał kółka. Dostawca pomyślał, że gdyby nie ciężka torba z jedzeniem, pofrunąłby na rowerze do góry. Ludzie musieli wziąć sobie do serca rządowe ostrzeżenie, bo centrum Gdańska wyglądało jak opuszczone miasteczko z horroru, w którym zaraz nastąpi zwrot akcji. Opustoszałe ulice były zdecydowanym i jedynym plusem tej sytuacji. Nie trzeba było lawirować w korku ani wymijać niezdecydowanych przechodniów. Minusem był fakt, że w taką pogodę wszyscy zamawiali jedzenie na wynos, a potem marudzili, że są opóźnienia.

Pierwszym adresem dostawy był luksusowy apartamentowiec wybudowany niedawno u zbiegu ulic Stara Stocznia i Wiosny Ludów. Rowerzysta nieraz zastanawiał się, komu przeszkadzała stara nazwa: Nabrzeże Szkut. Jakies trzysta lat wcześniej właśnie w tym miejscu był przystanek skut, które kursowały od gospody zwanej Mlecznym Piotrem do Wisłoujścia. Trochę dalej znajdował się Bastion Wiadrowników, jeden z czterech, które od północy chroniły Stare Miasto. Dostawca wiedział to wszystko, bo jego głównym zajęciem była praca przewodnika po Gdańsku. A przynajmniej lubił tak o sobie myśleć, choć na dowożeniu pizzy zarabiał dwa razy więcej.

Zsiadł z roweru i wyjął łańcuch. Niby w okolicy nie było żywego ducha, ale nie w takich okolicznościach jego koledzy tracili swoje środki transportu. Nie mógł sobie pozwolić na lekkomyślność. Kilka razy zdarzyło mu się również, że jakiś bogaty fiut z apartamentowca wywalił go z rowerem z klatki wyłożonej koszmarnie drogimi marmurami i obitej zamszem. Pozostawała więc barierka na zewnątrz. Rowerzysta przypiął pojazd i znieruchomiał. W środku wietrznej nocy, w deszczu, na podeście przystani kajakowej, pod którym płynęła Motława, siedziała drobna kobieta. Nie takie wariatki widział w swojej pracy. Pijane, agresywne, kiedy okazywało się im zainteresowanie lub oferowało pomoc. Nie zamierzał tracić na nią czasu, miał w cholerę roboty i własnych zmartwień. Mimo to myśl o samotnej kobiecie siedzącej

w deszczu nad rzeką nie dawała mu spokoju, kiedy wjeżdżał windą na piąte piętro i kiedy odbierał napiwek. Wracając na dół, był coraz bardziej niespokojny. A co, jeśli była naprawdę pijana i wpadła do wody? Był jedyną osobą, która mogła ją uratować, ale postanowił ją olać. Jeśli coś jej się stało, nie wybaczy sobie. Wypadł z budynku i pobiegł do barierki. Z ulgą stwierdził, że dziewczyna siedzi na swoim miejscu.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Nie podszedł za blisko, nie chciał, żeby wzięła go za jakiegoś natręta.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy, ale wydawało mu się, że wcale go nie widzi. Jakby mówił do niej przez tunel w innej rzeczywistości.

– Nic się pani nie stało? Potrzebuje pani jakiejś pomocy? Pada... – dodał na swoje usprawiedliwienie. Zabrzmiało to dość głupio, trudno było nie zauważyć tego faktu, jednak kobieta podniosła głowę i spojrzała w górę, jakby faktycznie dopiero teraz zorientowała się w sytuacji pogodowej.

Kiedy odsłoniła twarz, można było dostrzec, że ma rozmazany makijaż, jakby płakała albo została pobita. Mężczyźnie wydało się również, że widzi na jej policzku ślady krwi, choć równie dobrze mogła to być rozmazana szminka. Podszedł bliżej.

– Halo! Nic pani nie jest? – Pomyślał, że może kobieta nie rozumie po polsku. Większość mieszkań w apartamentowcach w okolicach Starego Miasta i Motławy była wynajmowana turystom. Szwedzi, Norwegowie, Brytyjczycy urządzali tu sobie wieczory kawalerskie i panieńskie, dochodziło do różnych ekscesów. Mężczyzna słyszał nawet od kolegów z pracy, że po jednej z takich imprez sprzętaczka znalazła w apartamencie martwą prostytutkę.

Kobieta na murku nie wyglądała na call girl, choć miała na sobie zdecydowanie drogie i pobudzające wyobraźnię ciuchy. Długie czarne skórzane kozaki, wzorzyste rajstopy, krótka sukienka z jakiegoś cienkiego i delikatnego materiału, jasny rozpięty płaszcz, którego jedna poła taplała się w kałuży. Mężczyzna dopiero teraz dostrzegł, że płaszcz jest czymś uwalony, czymś, co mogło być zarówno sosem, jak i krwią.

– Czy rozumie pani po polsku? – zapytał. Nie odpowiedziała. Mężczyzna był coraz bardziej zniecierpliwiony, nie zamierzał tu przecież spędzić pół nocy. – Zadzwońię po policję i karetkę – zdecydował.

– Nie – odezwała się w końcu. Spojrzała na niego wzrokiem łani, która wie, że ktoś celuje jej między oczy. Było za późno, żeby uciekać, ale wciąż tliła się nadzieja na okazanie łaski. – Proszę nigdzie nie dzwonić – nalegała.

Chciała wstać, ale się zatoczyła. Mężczyzna doskoczył do niej, złapał ją w pasie.

– Auuu – jęknęła.

– Coś panią boli? Może się pani przewróciła? – zapytał. Ślady na jej twarzy zdecydowanie były krwią, a nie pomadką. – Musi panią obejrzeć lekarz. Mogę wezwać taksówkę albo ubera.

– Nie, naprawdę nie trzeba. – Pochwyciła jego spojrzenie i zaczęła pocierać zabrudzenia na płaszczu. Zrobiła kilka kroków. – Nogi mi się trzęsą – zaśmiała się nerwowo, z zakłopotaniem.

– Jeśli się pani przewróciła, może mieć pani wstrząśnienie mózgu albo jakieś wewnętrzne obrażenia.

– Nie, nie, to naprawdę nic. Po prostu trochę się potłukłam, ale czuję się dobrze.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dziękuję za pomoc. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając idealnie równe, białe zęby.

– Nie ma za co. – Zawstydził się. – Na pewno mogę panią tak zostawić? Da sobie pani radę?

– Tak, proszę się nie martwić.

– To niech pani obieca, że pojedzie pani prosto na SOR. Wpisać pani w nawigację adres szpitala wojewódzkiego?

– Nie trzeba, wiem, gdzie to jest. Zamówię ubera. – Wyjęła z torebki smartfon i wpisała coś na klawiaturze.

– Mieszka pani w okolicy? – zapytał, choć w sumie nie wiedział, po co mu była ta informacja. Zrobiło się niezręcznie.

– Jeszcze raz z całego serca panu dziękuję.

– Nic takiego nie zrobiłem.

– A jednak zatrzymał się pan sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. – Kolejny uśmiech był jeszcze bardziej promienny. Śliczny, naprawdę śliczny. Dziewczyna była słodka.

– Zróbmy tak. Może wyśle mi pani esemesa, co? Żebym mógł dziś zasnąć z czystym sumieniem. Zostawiam tu panią samą w środku nocy...

– Proszę podać mi swój numer. Ja do pana zadzwonię.

– Marcin jestem.

Wyciągnął odruchowo dłoń i zaraz ją cofnął, ale dziewczyna i tak nie zwróciła uwagi na ten gest. Nie powiedziała też, jak ma na imię. Pewnie była jeszcze w szoku i myślała o czymś innym. Cóż, to pewnie nie najlepszy moment na zawieranie nowych znajomości.

– No to będę czekał na wiadomość. Do widzenia. To znaczy... może. Miłego dnia.

Odwrócił się zakłopotany, bo nagle zaczęło mu się wydawać, że gada coraz większe głupoty. Wsiadł na rower, założył słuchawki na uszy i zerknął na zegarek. Zeszło mu siedem minut. Jak przycisnie, bez problemu nadrobi stratę. Poczul, że wstępuje w niego nowa energia, jakby napił się mocnej kawy. Odjeżdżając, odwrócił się jeszcze raz. Dziewczyna wciąż stała na nabrzeżu. Boże, ależ ona była śliczna! Wysokie kości policzkowe, lekko skośne czarne oczy i pełne wiśniowe usta. Jasne, proste włosy z grzywką opadającą na boki.

Nie wyglądała na damulkę. Okej, ładnie pachniała i nosiła drogie rzeczy, ale poza tym w niczym nie przypominała żadnej z tych nadętych bab, które jeżdżą mercedesami wartości jego mieszkania i zajmują dwa miejsca przy parkowaniu. Niewątpliwie była zjawiskowa, a jednocześnie sprawiała wrażenie zwyczajnej, sympatycznej dziewczyny. Takiej, która równie dobrze mogłaby mieszkać w jego bloku albo pracować na przykład w biurze rachunkowym, które prowadziło jego księgowość. Niestety ani tam, ani nigdzie indziej nie spotkał aż tak wystrzałowej dziewczyny. Gdyby tak było, natychmiast by się z nią umówił. Zresztą... może właśnie umówi się z tą laską? Nie tworzyła dystansu. Tak ładnie mu podziękowała, że poczul się jak supermen. Zaglądała mu zalotnie w oczy, aż się speszył. No i powiedziała, że zadzwoni. Nie napisze, ale zadzwoni, a to znacznie lepiej. Mężczyzna podkreślił głośność w słuchawkach i zaczął śpiewać. Deszcz zaczął prawie poziomo, wiatr kiwał nim na boki, ale rowerzyście chciało się z tego śmiać.

Sawa Bogucka cyfra po cyfrze skasowała numer, który chwilę wcześniej wstukała do telefonu. Nadal trzęsły jej się ręce, a smartfon zamulał w niskich temperaturach, musiała więc wiele razy naciskać odpowiedni klawisz, zanim zaskoczył. Niebywałe, jak oblesni byli niektórzy faceci. Próbowali startować do niej w różnych dziwnych sytuacjach, ale w takim momencie? To jej się jeszcze nie zdarzyło. Gość ślinił się na jej widok i nawet nie próbował tego ukryć. Zauważył jej rozmazany od płaczu makijaż, może krew na płaszczu, a kilka sekund później próbował wyciągnąć od niej numer telefonu. Niewiarygodne. I jeszcze musiała być dla niego miła. Cholera wie, co mogło mu przyjść do głowy. Ciemno, głucho, pusto. Ona sama, roztrzęsiona i właściwie bezbronna. Zaraz obok chaszczę, w które mógł ją bez problemu zawlec. Dobrze, że udało jej się szybko go spławić.

Sawa odczekała, aż mężczyzna zniknie z pola widzenia, i skierowała się do apartamentowca. Otworzyła drzwi kluczem, weszła na klatkę schodową. Dopiero teraz zrobiło jej się potwornie zimno. Jakby wcześniej straciła umiejętność odczuwania temperatury. Spojrzała na ubrudzony płaszcz z wełny alpaki za cztery tysiące złotych i zakłęła. Jak i dlaczego znalazła się na tej choleralnej przystani? Przecież musiała wjechać autem do garażu podziemnego. Nie pamiętała, że wyszła z budynku na pobrzeże. Zrobiła głęboki wdech nosem, a później długi, głośny wydech ustami. Usłyszała nierówny dźwięk wydobywający się z jej ciała. Jeszcze jeden wdech i wydech. I znowu. Kilka razy, aż oddech się wyrównał i przestała drżeć. Zeszła schodami na poziom minus jeden. Jej samochód stał na swoim miejscu. Musiał urwać jej się film, mimo że wypijała tylko pół kieliszka wina. Podeszła do windy i wcisnęła guzik znajdujący się na samej górze.

Sawa starała się nie narobić hałasu. Najpierw zdjęła rękawiczki. Ich podszewka była wilgotna. Beżowy płaszcz włożyła do pokrowca, w oficerkach umieściła prawidła. Na palcach przeszła do łazienki i przekreśliła klucz. Zdjęła czarne rajstopy w ażurowy wzorek, rozerwaną sukienkę i bieliznę. Wszystko było przesiąknięte krwią. Spojrzała na siebie w lustrze. Uda, biodra i ręce miała posiniaczone. Lewe ramię – pocięte, podobnie brzuch i dekolt. Na obu piszczelach czerwone pręgi. Sawa wiedziała, że powinna od razu pojechać na obdukcję, ale czuła się potwornie brudna. Nie mogła znieść wilgotnych, lepkich plam na swoim ciele. Oparła czoło o chłodne płytki na ścianie. Świeże rany piekły ją jak ukąszenia insektów. Wcześniej tego nie czuła, musiała się wyłączyć. Przed oczami migaly jej flesze: silne męskie ręce na jej biodrach, żelazny uścisk ramion wokół jej żeber. Mężczyzna stoi za nią, zbliża twarz do jej ucha i szepcze: „Nigdy cię nie puszcze”. Wzbierający gniew i mdłości.

Zwymiotowała do ubikacji. Położyła policzek na sedesie i zaczęła płakać. Targały nią konwulsje, jeden skurcz za drugim, aż w końcu jej ciało ucichło. Poczowała oczyszczenie i ulgę. Weszła pod prysznic, odkręciła wodę i stanęła pod deszczownicą.

Telefon rytmicznie wibrował w torebce. Hanna Szołkiewicz mocno żałowała, że nie wyłączyła go całkiem przed wejściem na salę rozpraw, a jednocześnie starała się na tym nie skupiać.

Pierwszy raz w swojej krótkiej karierze patologa sądowego występowała w charakterze świadka obrony i było to dla niej stresujące przeżycie. Z jednej strony świadomość, że może pomóc w rozwikłaniu zagadki kryminalnej i dotarciu do prawdy, dawała jej ogromną satysfakcję. Z drugiej – zawsze godziła się z myślą, że nie może mieć stuprocentowej pewności co do słuszności swojej opinii. Otwartość na różne możliwości i rozwiązania była jej cechą wrodzoną. Pewną rolę odgrywał także jej wiek – zaledwie rok wcześniej skończyła studia i podjęła pracę w zawodzie, nie zdążyła więc wpaść w rutynę, nie trzymała się kurczowo utartych schematów. Trzecią rzeczą, która wpływała na postawę lekarki, była jej płęć i doświadczenie dyskryminacji w tak zwanym męskim zawodzie. Dzięki nim zdawała sobie sprawę z faktu, jak szkodliwe bywa zbyt konserwatywne podejście do postrzegania ludzi, również tych leżących na stole w prosektorium.

Szołkiewicz ponownie spojrzała na oskarżonego. Był mniej więcej dwudziestopięcioletnim żylastym mężczyzną z widoczną słabością do igieł i tuszu. Tatuaze wystawały mu spod mankietów i zza kołnierzyka koszuli, w jego ustach, brwiach i uszach tkwiły kolczyki. Ogoloną na krótko głowę przez większość czasu trzymał pochyloną i opartą na dłoniach, tak że lekarka nie mogła przyjrzeć się zbyt dokładnie jego twarzy.

Okoliczności świadczyły na niekorzyść mężczyzny, podobnie jak dotychczasowe zeznania, w tym ekspertyza pierwszego patologa, na którą powoływała się prokuratura. Uznanie chłopaka za winnego śmierci własnego ojca wydawało się formalnością, ponieważ całe zdarzenie przebiegło na oczach kilku świadków. Oskarżony wdał się w bójkę z ojcem, który tamtego wieczora świętował w domu z kolegami swoje imieniny. Po ostrej wymianie zdań doszło do rękoczynów. Ostatecznie syn uderzył ojca w twarz. Starszy mężczyzna zachwiał się i stracił równowagę. Trzymał się za policzek i wydawało się, że za chwilę upadnie. Syn, zapewne przestraszony reakcją, jaką wywołał jego cios, próbował przytrzymać ojca, lecz ten osunął się na ziemię, straciwszy przytomność, której już nie odzyskał.

Patolog sądowy podpisał się pod ekspertyzą, z której wynikało, że uderzenie w głowę wywołało krwawienie do przestrzeni nadwardówkowej. Szołkiewicz zaczęła podejrzewać, że sprawa ma drugie dno, kiedy zobaczyła wyniki pierwszej sekcji. Zdziwił ją pobieżny opis i brak dodatkowych badań krwi, które mogłyby wykluczyć inne przyczyny śmierci. Wkrótce dowiedziała się, że zmarły był emerytowanym i lubianym policjantem. Koledzy, jak jeden mąż, potwierdzali wersję o agresywnym gówniarzu, nieszanującym ojca. Dopiero żona zmarłego przyznała, że kilka godzin przed libacją mąż wjechał samochodem w słup. Prowadził pod wpływem alkoholu, co zdarzało mu się dość często, a tym razem rozbił auto syna. Wrócił do domu zakrwawiony, ale twierdził, że czuje się dobrze i nie chciał jechać do lekarza. Zwymiotował i niewyraźnie mówił, ale kobieta wzięła to za objaw upojenia alkoholowego. Poza tym zachowywał się w miarę normalnie, więc odpuściła.

– Czy może pani potwierdzić, że do krwotoku, który spowodował śmierć domniemanej ofiary, doszło w wyniku urazu? – Adwokat zwrócił się do Hanny Szołkiewicz.

– Tak. – Uwadze lekarki nie umknął uśmiezek satysfakcji, jaki jej odpowiedź wywołała na ustach prokuratora.

– Ma pani na myśli uraz, którym był cios w głowę? – pytał obrońca z niezmaczonym spokojem.

– Nie – zaprzeczyła Szołkiewicz zdecydowanym tonem, a po sali rozpraw przebiegł szmer.

– W takim razie... – udawał zdziwionego adwokat – o jaki uraz chodzi?
– Jedynym ciosem, który oskarżony wymierzył denatowi, było uderzenie w twarz. Jednak... na podstawie oględzin i badań, które wykonałam, mogę stwierdzić, że cios ten był za słaby, by wywołać krwotok – wyjaśniła Szólkiewicz.
– Sprzeciw... – odezwał się odruchowo prokurator, ale sędzia uciszył go gestem dłoni.
– Kiedy w takim razie doszło do urazu? – dopytywał obrońca.
– W trakcie zderzenia samochodu ze słupem. – Szólkiewicz zignorowała kolejny pomruk, który wybrzmiał w pomieszczeniu.
– Więc twierdzi pani, że zgon nastąpił w wyniku stłuczki, którą spowodował denat...
– Wysoki sędzie, obrona wkłada wnioski w usta świadka... – zaproponował prokurator, ale zanim sędzia zdążył zareagować, adwokat skinął głową z uśmiechem.
– Jak to możliwe, skoro do stłuczki doszło dwie godziny wcześniej, a przez ten czas zmarły rozmawiał, śmiał się i ogólnie mówiąc, dobrze się bawił podczas swoich imienin? – Mecenas sprawiał wrażenie osoby, której trudno uwierzyć w słowa lekarki, nawet jeśli były wyjątkowo przychylnie dla jego linii obrony.

Hanna Szólkiewicz usłyszała drwiący śmiech dobiegający z drugiego końca sali. Sędzia po raz kolejny zaczął uciszać pomruki niezadowolenia, jakie wywoływały słowa kobiety.

– Jasna przerwa... – powiedziała lekarka nie na tyle głośno, by przedrzeć się przez ogłósy wzburzenia. Sędzia ponownie zastukał młotkiem.

– Proszę powtórzyć. A jeśli państwo się nie uciszą, będę zmuszony zamknąć posiedzenie.

– Jasna przerwa. *Lucidum intervallum* – wyjaśniła lekarka. – Przejściowy przebłysk świadomości. To znany w medycynie stan chwilowej poprawy stanu pacjenta po urazie mózgu. Zdarza się, że trwa nawet wiele godzin. W tym przypadku było to około dwóch godzin.

Adwokat podziękował za zeznania, a lekarka szybkim krokiem, nie spoglądając na uczestników rozprawy, wyszła z sali. Skierowała się od razu do łazienki, wyciągnęła z dystrybutora dwa papierowe ręczniki i wytarła nimi mokre od potu pachy. Dopiero kiedy osuszyła suszarką wilgotne plamy na koszuli, wyjęła z torebki telefon. Siedem nieodebranych połączeń i dwa esemesy. Pierwszy z nich informował, że ma niezwłocznie przyjechać na Suchanino, na oględziny zwłok znalezionych przed południem. Drugą wiadomość przysłali rodzice chłopca, który z niewyjaśnionych przyczyn zmarł poprzedniej nocy. Czekali w budynku prosektorium na spotkanie z lekarką i jakąkolwiek odpowiedź na dręczące ich pytania. Szólkiewicz potrafiła zamrozić emocje, nawet kiedy na jej stole leżały ofiary tragicznych wypadków czy brutalnych zbrodni. Wyłączała się, przedstawiała na tryb sprawnej, skutecznej maszyny, która musi wyjaśnić zagadkę, dotrzeć do prawdy. Jednak widok martwych dziecięcych ciał nadal wytrącał ją z równowagi i potrzebowała chwili, żeby ochłonić. Sekcję chłopca przeprowadziła z samego rana, tuż przed rozprawą. Czekwała jeszcze na ostateczne wyniki badań, ale podejrzewała, że śmierć nastąpiła w wyniku ukrytej wady serca, która wcześniej mogła nie dawać żadnych objawów. Nie wiedziała, jak pocieszyć zrozpaczonych rodziców, mogła jedynie przynieść im odrobinę ulgi.

Wsiadając do samochodu, Hanna Szólkiewicz pomyślała, że prokurator czekająca na nią na Suchaninie na pewno mocno się niecierpliwi. Mimo to ruszyła w kierunku prosektorium.

Barbara Modra patrzyła, jak technik rozkłada w mieszkaniu ścieżki podejściowe z białych płacht papieru. Prokurator wyjątkowo nikogo nie poganiała. I tak nie mogła się skupić na pracy. Najchętniej zjechałaby windą na sam dół, wsiadła do samochodu i pojechała gdzieś bardzo daleko. W góry albo do Puszczy Białowieskiej. Nigdy nie była w Białowieży. Za to pierwszy raz w życiu nienawidziła swojego zawodu. No, może drugi. Wcześniej poczuła to samo, kiedy „oddelegowali” ją niby na dwa miesiące z okręgowej do rejonówki. Pół roku temu. Nic nie zapowiadało, żeby jej zesłanie miało się skończyć. Wręcz przeciwnie, to był dopiero początek.

– Pani prokurator...

Technik dał jej do zrozumienia, że można rozpocząć czynności. Modra ocknęła się i weszła do przedpokoju. Czerwone szpilki wbijały się w papier, robiąc w nim dziury. Zdjęła je i włożyła na stopy ochraniacze, a na błękitną garsonkę naciągnęła biały kombinezon.

– Gdzie młoda? – Modra zwróciła się do Dymka, policjanta, który jako pierwszy przybył na miejsce zdarzenia i zdążył już porozmawiać z kilkoma sąsiadami.

– Napisała, że jest w drodze.

– Nie mam całego dnia – mruknęła Modra, a widząc, że policjant zastanawia się, czy ta uwaga jest skierowana do niego, ponagliła: – Mów, Dymek, mów.

– Mężczyzna, Hinz Adam, lat trzydzieści pięć. Dziś koło południa znalazła go żona. Albo była żona... – Dymek sprawdzał w notatkach. – Chyba są... byli w trakcie rozwodu.

– Nie mieszkali razem?

– Nie. Kilka miesięcy temu denat wyprowadził się z ich mieszkania na Zakopiańskiej.

– Miała klucze?

– Nie. Twierdzi, że drzwi były otwarte, więc weszła.

– No ale co, tak w poniedziałek rano postanowiła zająć do byłego męża? – niecierpliwiła się Modra.

Dymek patrzył na prokuratorkę dziwnym wzrokiem. Może dlatego, że rzadko widywał ją tak rozkojarzoną i zirytowaną. Koledzy nazywali ją królową lodu. Była posągowa, chłodna i zazwyczaj przesadnie opanowana.

– Jezuu, co, Dymek, mów.

– Hinz miał się dziś spotkać z dziećmi. Jego żona przysłała tutaj z nimi.

– Kurwa. Widziały go?

– Podobno nie. Ale ona wpadła w histerię.

Modra rozejrzała się po zdemolowanej sypialni. Rozbita szyba w drzwiach, oberwana do połowy zasłona w oknie, postrącane z półek książki, przewrócona lampa. Wszystko, łącznie z pościelą, meblami i ścianami, upstrzone krwią. W tym mocno sugestywnym otoczeniu leżał na podłodze martwy mężczyzna w szarych, dresowych spodniach. Wyglądało to tak, jakby usiadł, oparł się plecami o brzeg łóżka, zasnął, a potem się osunął. Na jego szyi widniała szeroka na niecałe dwa centymetry, nierówna bruzda. Blady róż przechodził w brąz, w niektórych miejscach stawał się wiśniowy.

– Raczej się nie powiesił... – rozmyślał na głos Dymek. Nigdzie nie widać pętli, no i ta jatka... – Policjant znowu rozejrzał się dookoła. Ktoś spuścił mu niezłe manto. Chyba

próbował uciekać, bo krew jest nawet na klamkach...

– Tak, a na nim? – zapytała mrukliwym głosem prokurator.

Dymek zamilkł zdezorientowany. Na ciele denata odznaczały się czerwone ślady, zastygłe, bordowe krople i maźnięcia, ale oprócz wgłębienia na szyi faktycznie nie było widać żadnej rany.

– Krew w pomieszczeniu raczej nie należy do denata – stwierdziła ponuro Modra. Chciała stąd wyjść, od dłuższego czasu czuła mdłości, ale nie ze względu na zastany widok. – Pani doktor Szołkiewicz nam to zresztą wszystko zaraz wyjaśni. Mam nadzieję, że nie oderwaliśmy od lunchu?

Do mieszkania weszła młoda kobieta z wysoko związanym kucykiem, prosto ściętą grzywką i okularach w okrągłych, przezroczystych oprawkach. Całkowity brak makijażu dopełniał jej dziewczęcy wygląd.

– Przepraszam, musiałam wytłumaczyć pewnej parze, dlaczego ich całkiem zdrowy syn odszedł we śnie.

– No tak, nikt z nas nie pracuje w spa... choć może niektórzy by woleli – skwitowała Modra. Dymek nie był pewien, czy prokurator pije do jego wtopy z brakiem ran na ciele denata, czy mówi o sobie, a może o lekarce.

– Myślałam, że na lunch skoczmy raczej po oględzinach – rzuciła ciszej Szołkiewicz, ale Barbara Modra nie odpowiedziała. Podała lekarce kombinezon ochronny i pomogła jej nawet uporać się z opornym zamkiem.

– To może, żeby nie tracić więcej czasu, poprosimy panią doktor o podanie godziny zgonu. Ale takiej w miarę dokładnej.

– Paaani prokurator... – Lekarka uśmiechnęła się, a jej pełne wargi odsoniły długie, białe zęby. – Pani to lubi sobie ze mnie żartować. A przecież dobrze pani wie, że określanie dokładnego czasu zgonu to wymysł z seriali paradokumentalnych. – Szołkiewicz zerknęła na skonsternowanego Dymka i kontynuowała swój wywód w jego kierunku. – Najlepszym wskaźnikiem jest oczywiście pomiar ciepłoty włók, ale wciąż daleko mu do miarodajności. No dobrze... – Szołkiewicz oparła ręce na biodrach. – Jeśli państwo skończyli swoje czynności, a denat i tak jest półnagi, to obróćmy go na brzuch.

Dymek nie mógł oderwać oczu od rąk lekarki. Kobieta wyjęła z pudełka cienką, długą sondę, nałożyła na nią gumową rękawiczkę i sprawnym ruchem wcisnęła ją głęboko w odbyt denata. Policjant wyglądał jak ktoś, kto bardzo chce uciec z tego miejsca, ale uniemożliwia mu to nagły paraliż.

– Dymek, oddechaj – rzuciła Modra.

– Aaa... tak... czyyy... czy ciało nie stygnie od pół do jednego stopnia na godzinę od chwili zgonu? – Policjant paplał, jakby chciał odwrócić własną uwagę od szokującego widoku.

– Teoretycznie tak. – Szołkiewicz wyjęła termometr i odpowiadała policjantowi, przyglądając się dokładnie szramie na szyi trupa. – W praktyce normalna temperatura ciała może utrzymywać się nawet trzydzieści godzin i wzrosnąć po rozpoczęciu procesów gnilnych. Tempo stygnięcia zależy od wielu rzeczy. Na przykład od pory roku i pogody. Od tego, czy w pomieszczeniu było otwarte okno, włączona klimatyzacja albo ogrzewanie. Czy denat jest ciepło ubrany, czy nagi. Do tego dochodzi masa ciała. Tłuszcz jest dobrym izolatorem, ale nasz denat, choć całkiem umięśniony, jest raczej szczupły.

– Pani poprzednik, doktor Kawkowski, nie miał problemu z oszacowaniem dokładnego czasu zgonu – ironizowała Modra. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to bardziej przytyk w stronę dawnego kolegi, którego poznała jeszcze podczas asesury.

– Cóż, ja wolę otwarcie przyznać, że niektóre narzędzia w naszym fachu pozostają ułomne bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy zaklinać rzeczywistość. Skoro jednak pani prokurator nalega, to biorąc pod uwagę takie wskaźniki jak ciepłota i suchość zwłok, cechy plam opadowych i silnie wyrażone stężenie pośmiertne we wszystkich grupach mięśniowych, mogę przypuszczać, że zgon nastąpił dziesięć godzin temu, plus minus trzy godziny. Czy taka odpowiedź satysfakcjonuje panią prokurator?

– Ja przecież i tak nie mam wyjścia. – Modra wzruszyła ramionami. Szołkiewicz i Dymek wymienili się spojrzeniami. Oboje mieli wrażenie, że prokurator mówi o czymś innym.

Lekarka zaczęła rozglądać się po pokoju. Taksowała spojrzeniem ślady krwi, jeden po drugim.

– Hm... dziwnie to wygląda – powiedziała do siebie.

– Krew na pewno nie należy do denata – stwierdziła Modra, przekonana, że ubiegła tok myślenia lekarki. – Był tu ktoś, kto oberwał równie mocno.

– Chodziło mi o coś innego...

– Mianowicie? – zaciekała się prokurator.

– Nie wiem. To znaczy... to bardziej wrażenie...

– Wrażenia zostawmy na później – podsumowała Modra, ale Szołkiewicz zignorowała uwagę. Zmrużyła oczy i oglądała rozmazane krwawe ślady pod różnymi kątami.

– Znaleźliście krew na korytarzu albo na schodach? W windzie?

– Na razie nie – odparł Dymek.

– Nikt nie słyszał odgłosów bójki? – zdziwiła się lekarka.

– Sąsiadów z naprzeciwka nie ma w domu, na dole mieszkają dwie starszki. Obie twierdzą, że spały kamiennym snem. Dwa piętra niżej była popijawa, ale raczej bez ekscesów, jeszcze rozpytujemy.

Modra zostawiła Dymka z lekarką w sypialni, przeszła wzdłuż ciemnego korytarza i stanęła w progu kuchni.

– Co to, kurwa, domówka? – zapytała ostro.

W małej klitce tłoczyło się dwóch funkcjonariuszy z dochodzeniówki, technik i komendant najbliższego komisariatu.

– Rozgość się, chwilę tu zabawimy – rzucił ironicznie.

– Co to? – Modra zignorowała uwagę komendanta i pochyliła się nad blatem. Był stary i porysowany nożem. W brudnych wgłębieniach zebrał się biały proszek.

– Może robił pizzę – stwierdził komendant. Wyraźnie był dziś w dobrym humorze.

– Zbierz to, proszę. – Modra zwróciła się do technika.

Godzinę później Hanna Szołkiewicz zakończyła oględziny i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Dymek... – odezwała się prokuratorka. – Załatw przewiezienie zwłok do chłodni, a my z panią doktor widzimy się na sekcji. Aaa... jeszcze jedno. Chcę pogadać z żoną ofiary. Tak szybko, jak tylko się da.

Szołkiewicz wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, zdecydowała się jednak zachować to dla siebie. Zdejmowała kombinezon, ale w lustrze w przedpokoju patrzyła, jak Barbara Modra wkłada czerwone szpilki.

– To cześć. – Prokurator odwróciła się w drzwiach, unikając wzroku lekarki.

* * *

W różowym dresie Dominika Hinz wyglądała, jakby dopiero podniosła się z łóżka. Z drugiej strony zdążyła obwiesić się okazałych rozmiarów złotą biżuterią i wykonać pełny makijaż. To zresztą mógł być makijaż permanentny, bo miała wyraźnie zaznaczone brwi i usta. Niedbały kok na głowie kobiety mógł być efektem zarówno długiego kontaktu z poduszką, jak i starannej stylizacji na artystyczny nieład. Jedynie opuchlizna pod jej oczami wyglądała naturalnie. Łzy również były przekonujące.

– To nie był zły człowiek – chlpała Dominika Hinz. – On się pogubił, ale w środku nie był zły.

– Pogubił? – podchwyciła Barbara Modra. – Co ma pani na myśli?

– No... Brał narkotyki, pił. Dlatego się rozwodziliśmy. Ale mówię pani, że to ten pieprzony nałóg, przepraszam za wyrażenie.

– W czasie waszego małżeństwa też brał używki?

– Nie, chyba bym mu nogi z dupy powyrywała. Dopiero później. To znaczy, jak go poznałam, to miał różne skłonności, owszem. Obracał się w takim szemranym towarzystwie. To ja go stamtąd wyciągnęłam. Jak urodzili się chłopcy, to się poprawił, ale potem...

– Klóciliście się?

– No wie pani, jak każde małżeństwo.

– Ale wy się rozwodziliście... Sytuacja chyba była bardziej napięta.

– Czy ja wiem? Zawsze była napięta.

– Mąż był z kimś związany?

Dominika Hinz z obrażonym wzrokiem wruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale nie zdziwiłabym się.

– A miał jakichś wrogów? Domyśla się pani, kto mógł to zrobić?

– Miał jakąś kośbę ze swoim szefem. Z szefem kuchni, bo on był kucharzem. Adam mówił, że to wariat.

– Zna pani nazwisko tego człowieka?

– Andrzej jakiś tam. Nie wiem, ale może pani sprawdzić w A Presto. To knajpa na Starej Stoczni, w której pracował Adam.

– Kiedy ostatni raz widziała pani męża?

– Chyba cztery dni temu. Pokłóciliśmy się.

– Ach, tak?

– No tak, bo on miał przyjść po chłopców, ale zapił, zaćpał, zapomniał, nie mam pojęcia. W każdym razie nie przyszedł. Nie odbierał. Ogarnął się dwa dni później i jak przyszedł, to był taki nabuzowany. Rzucił się do mnie.

– To znaczy? Doszło do jakichś rękoczynów?

– Nie, ale był agresywny w słowach.
– Agresywny w słowach – powtórzyła prokurator. Wypowiedzi Dominiki Hinz zaczynały ją w dziwny sposób bawić. – Może pani uściślić?
– No, rzucał chujami i kurwami. Chciał widzieć chłopców. Pożegnać się.
Barbara Modra odłożyła długopis.
– Jak to pożegnać?
– Bo Adam wyjeżdżał na miesiąc. Do Afganistanu czy gdzieś.
Prokuratorka zastanawiała się, czy dostała od Dymka niedokładne dane, czy może siedząca naprzeciwko kobieta robiła sobie z niej jaja.
– Miał jechać z jakimś konwojem?
Dominika parsknęła śmiechem.
– Taaa... w życiu. On turystycznie jechał. Mówiłam mu, że to idiotyzm, ale on sobie ukręcił jakiś film.
– Turystycznie do Afganistanu... – Zanotowała Modra. Zaczynała wątpić, że rozmowa z panią Hinz wniesie jakieś sensowne informacje, choć niewątpliwie była zajmująca. – Dobrze, proszę opisać okoliczności, w jakich znalazła pani ciało.
– No... – Oczy kobiety ponownie zaszczyły łzami. – Bo Adam powiedział, że przyjdzie po chłopców w poniedziałek. Miał ich wziąć na kilka dni, bo są ferie. Ja akurat jechałam do Carrefoura na zakupy, to stwierdziłam, że ich po drodze podrzucę na Suchanino. Spakowałam ich... – Dominika wybuchła płaczem i nie mogła się uspokoić. Modra cierpliwie czekała i podawała kobiecie kolejne chusteczki. – Dzwoniłam do niego spod bloku, ale nie odbierał. Akurat taki pan z małym pieskiem wychodził na spacer, chłopcy zaczęli się z nim bawić, a ja stwierdziłam, że w takim razie wejdziemy. No i pojechaliśmy na górę. Dzwoniłam i dzwoniłam... W końcu się wkurzyłam, bo pomyślałam, że Adam znowu zapisał i zapomniał. I taka wściekła nacisnęłam klamkę, i okazało się, że drzwi są otwarte. Najpierw to pomyślałam: a niech synowie zobaczą, co ich ojciec wyrabia, jak się zachowuje. Żeby potem nie było na mnie. Ale jakaś opatrność mnie tknęła... – Dominika złożyła ręce jak do modlitwy dziękczynnej. – I kazałam im zostać na korytarzu. Mógł być z jakąś babą czy co. To już by było dla nich trochę za dużo... No i wchodzę do mieszkania... Sypialnia jest zaraz po prawej. Wchodzę... ciemno było dość, zasłony zaciągnięte. Widziałam, że syf w środku, ale jeszcze do mnie nie dotarło... Ja... ja... – Znowu zaczęła płakać. – Ja najpierw myślałam, że on sobie tak po prostu kimnął. Leżał oparty o łóżko, trochę zgięty. Pomyślałam: no oczywiście, nachlany. Podeszłam do niego, złapałam go za głowę... Dopiero wtedy do mnie doszło, że on nie żyje... Od razu zadzwoniłam na policję. Boże, co my teraz zrobimy...

* * *

Szołkiewicz dawno przestała się bawić w wyczytywanie emocji z pośmiertnych grymasów, o ile one w ogóle występowały. Wiedziała, że takie, a nie inne ułożenie mięśni w chwili śmierci jest najczęściej przypadkiem lub efektem naturalnych skłonności, jakie denat wykazywał za życia. Mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że leżący na stole sekcyjnym Adam Hinz odszedł

z tego świata z uśmiechem na ustach. Teorii tej dość wyraźnie przeczył brutalny, siny ślad na jego szyi.

Lekarka przyłożyła linijkę do rany, a w pomieszczeniu rozbłysła lampa aparatu fotograficznego.

– Jak widzimy, ślad jest bardzo nierówny, wręcz poszarpany. Brak zaznaczonych wyraźnych brzegów, więc możemy wykluczyć linkę czy kabel – mówiła, pochylając się nad denatem.

– Pasek? – zapytała Barbara Modra.

– Też nie. Sprawca prawdopodobnie użył jakiegoś miękkiego materiału.

– Krawata? – zapytała Modra.

– Możliwe. Albo apaszki.

– Elegant – skomentowała prokurator.

Szołkiewicz spojrzała na Modrą. Prokurator podobnie jak wczoraj wydawała się nieobecna. Jakby wpadła w jakiś stupor.

– Hm... – Lekarka przytrzymała szyję mężczyzny delikatnym ruchem. – Nie ma zadrapań ani siniaków, które wskazywałyby na to, że próbował się bronić czy zdjąć pętlę. Teraz poproszę twarz i oczy – zwróciła się do obecnego w pomieszczeniu fotografa i przytrzymała szczypcami powiekę Hinza. – Wybroczyny podspojówkowe raczej przesądzą sprawę. Śmierć nastąpiła w wyniku zadzierzgnięcia. Twarz i szyja są przekrwione, co oznacza, że zgon nie był błyskawiczny. Sprawca trochę się przy tym namęczył.

– A te siniaki? – zapytała Modra, wskazując fioletowe plamy na ramionach denata.

– Stare. Sprzed kilku, może kilkunastu dni. Za to zadrapania na rękach wyglądają na całkiem świeże. Są jednak bardzo płytkie.

Lekarka z pomocą asystenta odwróciła ciało Hinza na brzuch. Obejrzała się za siebie, bo Modra odebrała telefon i ściszym głosem rozmawiała w rogu sali sekcyjnej.

– Pętla została skrzyżowana na karku – stwierdziła Szołkiewicz, kiedy prokurator skończyła rozmawiać. Znowu przywołała fotografa. Błysnęło światło lampy.

– Chcę się tylko upewnić... – zaczęła Modra. – Czy jakimś cudem takiego wielkiego chłopca mogła udusić kobieta?

Hanna Szołkiewicz wyprostowała się i oparła o stół. Zdziwiło ją to pytanie.

– Jak sama wiesz, bardzo rzadko mamy do czynienia z dusicielkami – odpowiedziała. – Babka musiałyby być naprawdę silna. Chyba że... Mogła użyć krępulca.

– W sensie: włożyłaby jakiś patyk i zaczęła okręcać tak, żeby pętla się zaciskała? – dopytała prokurator. Pierwszy raz od dwóch dni Szołkiewicz dostrzegła na jej twarzy ożywienie.

– Tak. Patyk, długopis, marker... Nadal dziwne, że facet się nie bronił, pod paznokciami nie ma śladów naskórka, ale... Czemu pytasz? Masz jakąś koncepcję?

– Może – zamyśliła się Modra. – Ciekawa rzecz. Mieszkanie, które wynajmował Hinz, było opłacane przez fundację pomagającą osobom doświadczającym przemocy w rodzinie.

– Żona znęcała się nad Hinzem? – zapytała Szołkiewicz.

– Nie wygląda na siłaczkę... – Prokuratorka wpatrywała się w szyję denata.

– Może nie odwiedziła go wcale z dziećmi, tylko z jakimś kolegą.

Kiedy dokumentacja zdjęciowa została zakończona, asystent ponownie ułożył denata na plecach, a Szołkiewicz sięgnęła po ostrze. Wiedziała, że Barbara Modra odejdzie teraz od

stołu i usiądzie w rogu pomieszczenia. To była dopiero ich szósta wspólna autopsja, ale zawsze tak robiła. Lekarka uśmiechnęła się do siebie i poczekała na znajome szuranie krzesłem. Dopiero wtedy przycisnęła nóż do klatki piersiowej Hinza i sprawnym ruchem przesunęła nim wzdłuż torsu.

* * *

Modra postanowiła złożyć niezapowiedzianą wizytę Dominice Hinz. Kobieta wyglądała niemal identycznie jak ostatnim razem, tyle że zamiast różowego dresu miała na sobie biały. Na rękach trzymała ujadającego yorka z kokardką na głowie.

– Pani nie pracuje? – zapytała prokurator. Zdawała sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć nieco obcesowo.

– Na razie nie... Szukam pracy.

Pani Hinz nie wyglądała na osobę najbardziej rozgarniętą pod słońcem. Mimo że musiała być po trzydziestce, we włosach miała infantylne spinki z kwiatkami, na stopach klapki z pluszowymi głowami kotów, na paznokciach ozdoby w kształcie serduszek.

Barbara Modra, nie czekając na zaproszenie, weszła do salonu. W wazonie na stole stały czerwone róże, obok kartka walentynkowa. Dominika Hinz zauważyła, że wzrok prokuratorki zatrzymał się na kartce.

– Dzieci nie ma? – zapytała Modra.

– Chłopcy pojechali do moich rodziców, na Zaspę.

– Mhm... Mhm... – Prokurator rozejrzała się po pokoju. Na kanapie leżało tyle poduszek, że ledwo dało się usiąść, ale york znalazł sobie miejsce. – Co pani robiła wieczorem dwudziestego ósmego lutego?

– Byłam w domu z dziećmi i narzeczonym – odparła niepewnym głosem.

– Narzeczonym?

– Tak. Sebastian mi się oświadczył – powiedziała dumnie. – Czekamy na rozwód... To znaczy czekaliśmy...

– Mieszkacie tu razem?

– Tak.

– Mhm... A do kogo formalnie należy to mieszkanie?

– Po śmierci teściowej przeszło na męża – powiedziała powoli.

– Mielicie rozdzielenie majątkową?

– Nie...

– Czyli teraz należy do pani? – zapytała Modra.

– Tak... – odpowiedziała niepewnie Dominika Hinz.

– Kłóciliście się o to mieszkanie? Skoro należało do pani męża, dlaczego to on się wyprowadził?

– No wie pani... Ja miałam się tułać gdzieś z dziećmi?

– Wiedziała pani, że mąż zamieszkał w lokum wynajętym przez fundację pomagającą osobom doświadczającym przemocy w rodzinie?

– Jakaś bzdura! – parsknęła Dominika. Jej ton zrobił się agresywny. – Że niby co to znaczy?

– Ma pani założoną niebieską kartę?

– Ja?! W życiu! To są jakieś żarty czy co? – Dominika wstała, otworzyła okno i zapaliła papierosa. York zaczął szczeekać. – Cicho, no cicho bądź! – Kobieta próbowała go uspokoić, ale pies ujądał coraz głośniej.

Barbara Modra wstała i skierowała się do wyjścia.

– Proszę na razie nie wyjeżdżać z miasta. To samo tyczy się pani narzeczonego. Będę musiała z nim porozmawiać.

* * *

Bardzo chuda, lekko zgarbiona, krótkowłosa brunetka z plakietką „Alicja” na bluzce oderwała wzrok od komputera. Widok funkcjonariuszy w biurze fundacji nie należał do najbardziej zaskakujących.

– Adam Hinz – powiedziała Modra. – Był waszym podopiecznym?

– Tak... W pewnym sensie...

– A konkretnie w jakim? – dopytała prokurator.

Alicja się zmieszała.

– Przepraszam, ale ja nie jestem upoważniona do podawania takich informacji. Chyba że jest poszukiwany...

– Nie jest poszukiwany, wręcz przeciwnie – odezwał się Dymek. – Został znaleziony martwy w mieszkaniu, które opłacała fundacja. To wystarczające upoważnienie?

– O Boże. Tak. To znaczy... Ja go właściwie nie znałam. Nie chodził na nasze warsztaty ani do psychologa. Korzystał tylko z pomocy prawnej, a potem komisja zdecydowała, że opłaci mu mieszkanie na kilka miesięcy. Żona wyrzuciła go z domu, utrudniała kontakt z dziećmi. Sawa mówiła, że miał spore problemy.

– Sawa? – zainteresowała się Modra.

– Sawa Bogucka. Prezeska fundacji. Zdaje się, że znała Hinza prywatnie. Pewnie powie państwu coś więcej – wyjaśniła.

– Jest teraz w biurze?

– Niestety nie. – Alicja zmieszała się jeszcze bardziej i nie potrafiła tego ukryć. – To znaczy normalnie powinna być, ale... rozchorowała się.

Kiedy funkcjonariusze wyszli, Alicja ponownie tego dnia wybrała numer Sawy. Ucieszyła się, gdy wreszcie usłyszała w słuchawce głos szefowej, chociaż rzeczywiście brzmiał on bardzo słabo.

– Cześć, przepraszam, że przeszkadzam. Filip przekazał, że źle się czujesz, ale właśnie była tu policja – mówiła z przejęciem. – Powiedzieli, że znaleźli wczoraj Adama. Wiesz, Hinza.

W słuchawce zaległa cisza.

– Sawa?

– Czy... czy wszystko z nim w porządku?

– Nie, Sawa. Powiedzieli, że on nie żyje. Boże, myślisz, że jego żona mogła mu coś zrobić? Jak był tu ostatnim razem, wyglądał na zdesperowanego...

Alicja mówiła dalej. Dopiero po chwili zorientowała się, że po drugiej stronie słychać cichy płacz.

* * *

Barbara Modra zdjęła garsonkę i starannie zawiesiła ją na wieszaku. Pończochy włożyła do worka na bieliznę i wrzuciła do prania. W białej podkoszulce i majtkach poszła do kuchni i z szafki na alkohol wyjęła butelkę ginu. Nalała do szklanki, dopełniła tonikiem, dorzuciła dwie kostki lodu i plasterki cytryny. Jeszcze na stojąco wypila kilka solidnych łyków. W mikrofalówce odgrzała gotowe i nie za wysokiej jakości burrito, które kupiła w spożywczym pod domem. Zjadła i zrobiła sobie kolejnego drinka. W tle brzęczał telewizor, ale Modra nawet nie spojrzała, co leciało. Na szklanym stoliku kawowym wibrował telefon. Iza Kostka, psycholog sądowa, a zarazem jej przyjaciółka jeszcze z czasów licealnych, dzwoniła już piąty raz tego wieczora.

– Jak tam, Modralko? Mam nadzieję, że nie odbierałaś, bo taka byłaś zajęta, a nie dlatego, że nie chciałaś ze mną gadać.

– Nie przeniosą mnie – odpowiedziała Modra.

– Na wcześniejszą emeryturę?

– Ta... – Prokurator powstrzymała beknącicie.

– No, to byłoby spore osiągnięcie. Czterdziestodwuletnia emerytka – ironizowała Kostka. – Na zjeździe klasowym mogłabyś spokojnie powiedzieć, że osiągnęłaś najwięcej z nas wszystkich.

– Iza, ja pierdolę, mogłam być prokuratorem okręgowym. Za kilka lat. Miałam szansę...

– Jesteś pewna, że już jej nie masz?

– Na sto procent. Oni chcą mnie udupić. To koniec mojej kariery. Koniec, kurwa.

– Naprawdę myślisz, że mszczą się za ten wniosek o uchylenie immunitetu pana posła? To przecież było osiem lat temu.

– Masz bardzo słabe pojęcie o tym, co oni wyprawiają. Potrafią nawet awansować zniechęconego sędziego tylko po to, żeby w konkretnej sprawie orzekł ich człowiek. Mnie akurat zdegradowali...

– I na serio wolisz kombinować z wcześniejszą emeryturą, niż pracować grzecznie w rejonówce? To naprawdę takie straszne?

– Kobieto... ja się tam zajmowałam poważnymi rzeczami, a teraz jeżdżę oglądać trupy. Poza tym sama jedna ogarniam robotę dla dziesięciu osób. Wiesz, ile spraw prowadzę jednocześnie? Nie mam kiedy iść siku, bo ciągle tylko „proszę poinformować, jakie czynności zostały podjęte...”, „proszę o przesłanie wniosków”, „proszę o wydanie ubrań zmarłego”, „czy uzyskano opinię taką a sraką”... Kiedy ja mam w ogóle prowadzić śledztwo? – Barbara Modra rozciągnęła się na kanapie.

– A jak twoja obiecująca randka? – Kostka próbowała odwrócić uwagę przyjaciółki od pracy.

– To nie była randka. Zwykła kawa, nie przesadzaj.

– Hm... to po co powstrzymałam się od złośliwych uwag na twój temat?

– Możesz mnie szkalować, ile chcesz, wszystko to i tak prawda.

– No dobra. Po prostu nie skreślaj tego tak na starcie.

– Znasz kogoś z Fundacji Junona? – Modra zmieniła temat.

– Osobiście nie, ale czasem mijam się z ich terapeutą na różnych szkoleniach. Aaa, no i ich prezeska jest niezłą celebrytką.

– Ta, co ma takie oryginalne imię... Sonia...

– Sawa. Bogucka.

– Celebrytką, mówisz?

– Aspirującą. Jej vlog ma miliony odsłon. No, w każdym razie sporo. Nie mignęła ci nigdzie? Bardzo efektowna dziewczyna. Feministki ją kochają. Zresztą niefeministki też.

– A ty?

– Pfff... no wiesz. Walczy w słusznej sprawie. Jest odważna. Nie certoli się i nie bierze jeńców. Na pewno ją podziwiam – skwitowała Kostka. – Czeka, wyślę ci link, okej? Muszę kończyć.

– Dobra. Śpij słodko.

– Ty też.

Iza Kostka rozłączyła się, a kilka minut później wysłała przyjaciółce link do wideo nagranego przez Sawę Bogucką niecały rok wcześniej. Rzeczywiście była niezwykle atrakcyjna i jak na panią prezes bardzo, bardzo młoda. Modra nie dałaby jej więcej niż dwadzieścia pięć lat. Mimo to z jej twarzy emanowały pewnością siebie i determinacją. Prokurator wcisnęła play.

Powiedz ci, że sama jesteś sobie winna. Bo byłaś głupia, naiwna. Słaba. A może sama tego chciałaś, więc teraz nie becz, bo ci się należało. Uderzył cię raz, a ty wybaczyłaś. Pewnie płakałaś, nie potrafiłaś zrozumieć, może byłaś w szoku, ale kiedy następnego dnia przyszedł z kwiatami, postanowiłaś dać mu szansę. Mało tego. Jeszcze go usprawiedliwiłaś. Bo przecież na pewno zrobiłaś mu jakąś aferę z dupy, męczyłaś butę, poniżyłaś go przy znajomych, a może nawet zwyzywałaś. W każdym razie zrobiłaś coś, co go sprowokowało. A ręka poleciała mu niechcący. Odruchowo. Każdy by się wkurwił na jego miejscu. Nie zapanował nad reakcją. Miał ciężkie dzieciństwo, ojciec go cisnął, więc poszedł jak kuna po gnoju, na automacie. Teraz mu potwornie głupio. Sam nie wie, co się stało, z żalu pęka mu serce. On nie jest taki, przecież wiesz. Znasz go, nosił cię kiedyś na rękach i teraz znowu będzie, tylko daj mu tę cholerną szansę. Kurwa, nie zaprzeczaj tych wszystkich lat, nie rób tego dzieciom. Ile razy słyszałaś ten tekst, co? W ilu wersjach? Ile ostatnich szans mu dałaś? Ile kłamstw wymyśliłaś, kiedy sąsiedzi albo znajomi pytali, co ci się stało w oko? Czemu masz rozcięte usta? Siniaka na pół twarzy? Jesteś chyba największą łamagą świata, bo jak często można wchodzić w drzwi albo nie zauważyć słupa? Bo wiesz co? Zdradzę ci sekret. Ostatecznie to i tak będzie twoja wina. Tak ci powiedzą. Jak już trafisz połamana do szpitala albo będziesz musiała w nocy wyciągać z łóżek swoje dzieci w piżamkach i spierdalać z nimi na bosaka po schodach, żeby was nie zabił. To potem się jeszcze nasłuchasz. Idiotka. Po co z nim byłaś? Nie widziałaś, co to za typ? Dlaczego mu pozwalałaś? Dlaczego tak długo to znosiłaś i jeszcze narażałaś dzieci? Przecież gdyby było ci tak źle, to dawno byś odeszła, prawda? Bo to jest takie zajebiście proste: odejść. Kiedy pan i władca uzależnił cię od siebie

finansowo i kontroluje każdy twój ruch. Kiedy żyjesz w wiecznym strachu. Kiedy w nim wyrosłaś i nie wiesz, że w ogóle istnieje jakiś inny świat. I wiesz, co jest najgorsze? To, że jesteś głupią, winną sama sobie babą, powiedzą ci nie tylko obcy. Powie ci to twój mąż, twój sąsiad, twoja teściowa, ciotka, koleżanka, wasi znajomi, może nawet matka. Powiedzą ci to wszyscy ci ludzie, którzy wcześniej mówili, żebyś nie odchodziła. Bo dzieci, bo rodzina, bo przecież on był taki miły i wesoły na urodzinach dziadka. Jak mógłby podnieść na ciebie rękę? On? Może przypadkiem, może był pijany, a może wyolbrzymiasz? I w ogóle czemu od razu mówisz o rozwodzie? Bo to jest koronny argument: małżeństwo. Na dobre i na złe, i na najgorsze. Przysięgałaś, to masz. Nie odpuszczę ci, kurwa, do śmierci. Masz to jak w banku, że ten chuj ci nie odpuści. Ani ci, którzy tak bardzo kochają cię oceniać, wydawać wyroki, odsądzać od czci i wiary, jakby za każdym razem mieli za to dostać sto tysięcy złotych. Taką im to sprawia przyjemność. Plus sto tysięcy do ich własnej zajebistości. Ale wiesz, co ci jeszcze powiem? Pierdol ich. Wszystkich. Niech gadają.



WTEDY

Sawa otworzyła okno i zaciągnęła się świeżym kwietniowym powietrzem. Pachniało słońcem, radością i obietnicą nieograniczonych możliwości, które wreszcie się przed nią otwierały. Wróciła do biurka i po raz kolejny włączyła film nagrany kilka minut wcześniej. Podobała się sobie, nawet bardzo. Lubiła kontrast, jaki jej pewność siebie i determinacja tworzyły z delikatnymi rysami twarzy oraz kruchością ciała. Lubiła swój niski, chropowaty głos, o którym jej fani w mediach społecznościowych pisali, że jest hipnotyzujący – dzięki niemu nawet przekleństwa brzmiały jak muzyka. Napawała się tymi słowami:

...Pierdol ich. Wszystkich. Niech gadają. Wepchnij im te złote rady do gardła. Niech się nimi udławiają. Niech im te mądrości wyleżą uszami, niech się nimi zesrają na kolorowo. Mali, śmieszni ludzie, tak mali, że sprawia im radość, kiedy inni mają gorzej. Bo oni się cieszą z twojego nieszczęścia, zrozumiałeś to już? Tyle z tego mają, że mogą sobie popierdolić od rzeczy. Mądrości z klozetu. Ich życia są puste, smutne i jałowe. Sto tysięcy razy gorsze od twojego. Bo ty przynajmniej podjęłaś decyzję, że wychodzisz z bagna. Walczysz o siebie. Ale przede wszystkim: pierdol jego. Chuja, który ci to zrobił. Bo to jego dzieło, nie twoje. To jego mózg wysłał impuls: przyjebię suce, niech się nauczy. To jego myśli. To jego ręce zaciskały się na twojej szyi, jego knykcie masz odcisnięte na swoim policzku. To on pchnął cię na ścianę. On siedział na tobie całym swoim ciężarem, miażdżył paluchami twoje nadgarstki i nie chciał puścić. To przez niego upadłaś. Spójrz w lustro, na swoje sińce pod oczami. Na rozciętą kość policzkową. Na zadrapania na rękach. Spójrz na siebie i powiedz, kto to zrobił! To on, wyłącznie on! Rozumiesz? Wreszcie to rozumiesz?! Zajebicie! Pierdol każdego, kto powie ci inaczej.

Oczy Sawy zwężyły się w szparki, policzki zaróżowiły, oddech przyspieszył. Poczowała, jak gorąca kula gniewu rośnie w jej brzuchu, wypełnia klatkę piersiową i zatrzymuje się na wysokości gardła. Sawa z całym impetem uderzyła w prostokątny klawisz w laptopie. Film z jej przesłaniem za chwilę obejrzy kilka tysięcy osób. Z biegiem dni odbiorców będzie coraz więcej, bo ludzie zaczną go lajkować, udostępniać, wysyłać sobie i komentować. Najpierw kobiety, którym jej nagrania dodają otuchy i odwagi, potem hejterzy, których Sawa miała w dupie. A właściwie nie do końca – tak naprawdę ich reakcje ją rajcowały. Zwiększały zasięgi i sprawiały, że każdego dnia jej vlog o związkach z psychopatami stawał się coraz

popularniejszy. Kilka bardziej dosadnych i ostrych nagrań trafiło dzięki temu do ogólnopolskich serwisów informacyjnych i magazynów kobiecych, a ona sama została kimś w rodzaju eksperta od tematów związanych z przemocą domową i toksycznymi relacjami. Dziennikarze coraz częściej dzwonili z prośbami o jej wypowiedzi do artykułów, tydzień temu pierwszy raz otrzymała zaproszenie do telewizji śniadaniowej.

Sawa wyprostowała się na krześle. Powoli i głęboko wciągnęła powietrze, aż do przepony, po czym wypuściła je, wydając z siebie przeciągły dźwięk. Powtórzyła ten proces dziesięć razy, tak jak nauczył ją Filip. W końcu poczuła, jak gniew się rozmywa i ustępuje miejsca satysfakcji. Wszystko układało się po jej myśli. Wszystko było tak, jak pragnęła, jak od zawsze powinno być. Znajdowała się w odpowiednim czasie we właściwym miejscu. Pomyślała o tym, ile zrobiła, żeby się tu znaleźć, i jeszcze o tym, że tak naprawdę dopiero się rozkręca.

Rok wcześniej Filip zapytał, czy nie chciałaby pracować jako dyżurantka w Fundacji Junona, udzielającej wsparcia osobom doświadczającym przemocy w rodzinie. Sawa zgodziła się od razu. Nie przeszkadzały jej nocne i weekendowe dyżury, praca w Wigilię, sylwestra czy inne święta. „Psychopaci nie robią sobie wolnego”, powtarzała, a hasło szybko podchwycili inni pracownicy fundacji. Zaangażowanie młodej, energicznej i przebojowej dziewczyny szybko zostało docenione przez samą założycielkę Junony, Aleksandrę Gawryłow. Z dyżurantki Sawa awansowała na organizatorkę warsztatów psychologicznych, prowadzonych przez Filipa i innych terapeutów współpracujących z fundacją. Po kolejnych sześciu miesiącach Gawryłow powierzyła Sawie rolę menedżera PR.

O tej porze w fundacji było dość pusto, warsztaty dla podopiecznych zaczynały się dopiero po siedemnastej. Oprócz Sawy i prowadzącej sekretariat Alicji po biurze krzątała się jeszcze Krystyna, która teoretycznie przychodziła sprzątać dwa razy w tygodniu. W praktyce przesiadywała w fundacji godzinami i zachowywała się jak prezeska całego przybytku. Przeszawiła sprzęt, przekładała dokumenty, a kiedy zastawała je na dawnym miejscu, robiła pracownikom wyrzuty. Potrafiła wejść do sali konferencyjnej w trakcie zebrania i urządzić aferę o niepowkładane do zmywarki naczynia. Krystyna lubiła zagadywać czekające w holu klientki, wypytywać o ich sytuację i udzielać im porad „psychologicznych”.

– O! Znowu się wyfiokowała! Rozchełstana taka, na randkę pewnie, co? – zaczęła Sawę, która właśnie wyszła z łazienki.

Bogucka poprawiła tam makijaż, pomalowała usta na czerwono i pozbyła się stanika. Dbła o to, żeby w godzinach pracy wyglądać skromnie, ale za pół godziny wychodziła z biura i była umówiona.

– Pani Krysiu, przecież ja jestem ubrana zupełnie zwyczajnie.

– Taaa... właśnie widzę. – Krystyna wymownie spojrzała na biust Sawy. Przez cienki materiał wyraźnie przebijały sutki. Dziewczyna uśmiechnęła się tylko i z wymowną miną odpięła jeszcze jeden guzik sukienki. Krystyna machnęła na nią ręką i poszła po odkurzacza.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do biura wszedł niski mężczyzna w wysłużonej skórzanej kurtce, ciemnych dżinsach i niepasujących do reszty eleganckich butach.

– Dzień dobry. – Speszył się na widok Sawy. – Ja do fundacji...

– Zapraszam. – Weszli do sekretariatu.

– Żona mnie bije – ogłosił, kiedy Sawa wskazała mu miejsce przy biurku.

– To niech pan jej odda! – Z przedpokoju dobiegł chropowaty głos Krystyny.

Sawa w osłupieniu spojrzała na Alicję. Nie wiedziała, czy ta sytuacja była bardziej straszna, czy komiczna.

– No, tego się nie spodziewałem! – Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

– Najmocniej pana przepraszam! – Sawa odruchowo trzasnęła drzwiami do sekretariatu. Tym razem Kryśka naprawdę przesadziła.

– Kim jest ta pani? – zagrzmiął mężczyzna.

– Ona tu tylko sprząta. Jeszcze raz przepraszam...

– Poproszę o jej dokumenty! I pani również!

– Słucham? – Sawę po raz kolejny zatkało. – Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie zamierzam się legitymować...

– Nalegam. – Mężczyzna podetknął jej pod nos legitymację prokuratorowską.

W fundacji, jak w każdym NGO-sie, zdarzały się kontrole z ZUS-u, NIK-u, starostwa, sądu, a nawet ministerstwa, ale Sawa nie doświadczyła jeszcze tak stresującej sytuacji. Alicji przyszło nawet do głowy, że jej koleżanka za moment wpadnie w panikę. Stało się coś przeciwnego. Sawa, niby przypadkiem, musnęła dłonią wisiorek, który dyndał między jej piersiami, i ułożyła usta w najbardziej czarujący uśmiech, jaki miała w repertuarze.

– Oczywiście. Alicja zrobi panu prokuratorowi kawę, a ja zapraszam do siebie.

Pół godziny później wyszli z gabinetu Sawy weseli i rozgadani jak starzy znajomi. Wymienili się wizytówkami i prokurator obiecał, że na pewno da znać przed kolejną wizytą.

– Stary oblech – skwitowała Sawa po jego wyjściu.

– Od początku mi śmierdział. Jaki facet wparowałby tu z tekstem, że żona go bije? Nawet gdyby go torturowała.

– Mistrz kamuflażu – zgodziła się Sawa. – Ciekawe, jak długo obmyślał tę strategię. No dobra, najważniejsze, że mamy go z głowy. Zamkniesz biuro?

– Jasne! Słuchaj... naprawdę szacun dla ciebie. Mogła być z tego niezła chryja. Rozmówię się z Kryśką.

* * *

Ulubione bistro Sawy mieściło się kilkanaście metrów od biura, w jednej z wąskich uliczek gdańskiej starówki. Ciemne ściany, pluszowe zielone kanapy, paprocie zwisające z sufitowych kwietników i sączący się z głośników jazz koiliły zmysły o każdej porze dnia. Sawa lubiła siadać przy oknie, przez które obserwowała przechodniów. Odróżnienie turystów od lokalsów nie sprawiało żadnej trudności. Ci pierwsi snuli się powoli, najczęściej z głowami zadartymi do góry, w kierunku ozdobnych gzymsów i rzygaczy, ewentualnie robili sobie zdjęcia. Ci drudzy przemykali szybko, próbując jak najsprawniej przedrzeć się przez ludzkie skupiska i pozałatwiać swoje sprawy. Ani jedni, ani drudzy nie zwracali uwagi na Sawę, kryjącą się za mięsistą zasłoną w oknie.

Drzwi otworzyły się i do przeszklonego przedsionka wszedł wysoki, szczupły brunet w kraciastych chinosach i błękitnej koszuli z podwinętymi rękawami. Sawa pomachała mu ręką i dopiero po chwili zauważyła stojącą za nim kobietę w trenczu Burberry i beżowych czółenkach Chanel z charakterystycznymi czarnymi noskami.

– Przepraszam, skarbie, nie winń Filipa, że cię nie uprzedził, wpadłam tylko na chwilę.
– Aleksandra Gawryłow przytknęła napięty policzek do twarzy Sawy i wydała z siebie cmoknięcie. Pachniała niszowymi perfumami o skórzanym aromacie i luksusem. Przynajmniej tak zawsze odbierała to Sawa, która uważała Gawryłow za uosobienie elegancji, klasy, dobrego smaku i dużych pieniędzy. – Wypiję tylko macchiato, mają tu chyba macchiato, prawda? – Gawryłow z niepokojem rozejrzała się po lokalu.

– Tak, mamo, na pewno mają – odparł spokojnie Filip i skinął na kelnera.

– Dobrze, przejdę od razu do rzeczy, żeby nie zajmować wam czasu. Skarbie, ostatnia kampania o przemoc... FE-NO-ME-NAL-NA – zachwycała się Gawryłow, patrząc jednocześnie gdzieś w przestrzeń ponad ramionami Sawy. Dziewczyna często zastanawiała się, dlaczego prezeska rzadko patrzy jej w oczy. Kiedyś myślała, że jej nie akceptuje, ale szybko zauważyła, że Gawryłow w ten sam sposób komunikuje się ze wszystkimi niemal osobami. Jakby ich nie było. Jednym z niewielu wyjątków był Filip: na niego zawsze spoglądała z uwagą i troską.

– Chodzi ci o tę kampanię, w której posiniaczone modelki prezentują różne kreacje? – upewnił się mężczyzna, a jego matka pokiwała głową.

– „Sukienka dobrana przez męża”, „Sweter wybrany przez męża”, „Makijaż zrobiony przez męża”. – Wypowiadając słowo „makijaż”, Gawryłow zrobiła palcami w powietrzu znak cudzysłowu. – Genialne.

– Niestety po prostu prawdziwe. – Sawa wzruszyła ramionami.

– Nie umniejszaj sobie, skarbie. Masz fantastyczne pomysły, kropka! Musimy tylko trochę przystopować z twoim vlogiem.

Sawa odchyliła się na oparciu krzesła. A więc o to chodziło. W tym celu Aleksandra Gawryłow, która coraz rzadziej bywała w fundacji, odwiedziła ją w ulubionej knajpie na nieformalnym spotkaniu po godzinach.

– Vloga prowadzę prywatnie. Rozmawialiśmy o tym – zaczęła się tłumaczyć.

– Tak, tak, tak, oczywiście, ale dobrze wiesz, że media szybko to podchwyciły i od razu połączyły twoje nagrania z fundacją.

– I dzięki temu liczba obserwatorów na profilach fundacji w ciągu trzech miesięcy wzrosła o... jakież tysiąc procent? – Sawa odruchowo spojrzała na Filipa, szukając w nim oparcia.

– No, właśnie w tym problem – skomentowała Aleksandra Gawryłow. – Nie do końca o taką popularność nam chodzi. Posłuchaj, skarbie. Ja naprawdę doceniam twoją kreatywność, przebojowość i przekaz. Osobiście uważam, że jest bardzo wartościowy i potrzebny. Niestety wiele osób uważa, że jest również tendencyjny...

– Dziewięćdziesiąt trzy procent sprawców przemocy domowej to mężczyźni. Dziewięćdziesiąt procent pokrzywdzonych to kobiety – wyrecytowała Sawa, choć wiedziała, że wszyscy przy stoliku dobrze znają statystyki. – Ja też bardzo bym chciała, żeby przekaz nie musiał być tendencyjny.

– A ja bym chciała, żebyśmy mieli z czego opłacić mieszkania i leczenie tych pokrzywdzonych. Już kiedyś nie dostaliśmy dotacji, bo... cytuję: „Fundacja Junona skupia się na pomocy kobietom, dyskryminując mężczyzn”. To też była bzdura, ale skoro mogli przyczepić się do jednego słowa w statucie, to uwierz, że przyczepią się także do twoich filmów.

– Te ważne osoby wiedzą, że ich datki płyną na wsparcie bitych kobiet, tak? – Policzki Sawy zaczerwiły się od emocji po raz drugi tego dnia. Nie chciała wybuchnąć przy Filipie, zresztą jego matka budziła w niej zbyt duży respekt, jednak w brzuchu poczuła znajomą ognistą kulę, która już zaczęła unosić się w kierunku klatki piersiowej. – Moje filmy pomagają tym kobietom sto razy bardziej niż dziesięć grzecznych i kulturalnych kampanii.

Aleksandra Gawryłow uśmiechnęła się przyjaźnie do Sawy i spojrzała na zegarek. Przekazała podwładnej to, co miała do powiedzenia, i nie zamierzała z nią dyskutować.

– Już późno. Będę zmykać. Cieszę się, że udało nam się spotkać chociaż w przelocie. Jestem pewna, że ze swoim talentem znajdziesz rozwiązanie, które pozwoli ci zachować mocny przekaz, a jednocześnie nie obrażać innych ludzi. – Gawryłow wstała i poczekała, aż Filip pomoże jej włożyć trenz, który przerzuciła wcześniej przez oparcie krzesła. – Pamiętaj, skarbie, że uwierzyłam w ciebie. Wiem, że mnie nie zawiedziesz – powiedziała, patrząc w okno. – Chyba jednak wypiję macchiato gdzie indziej. Bawcie się dobrze, pa! – Posłała im całusa i zniknęła za drzwiami.

Sawa patrzyła, jak jej szefowa oddała się szybkim krokiem. Z kobiety emanowała taka siła i pewność siebie, że przechodnie schodzili z wąskiego chodnika, żeby ustąpić jej miejsca. Aleksandra Gawryłow poruszała się w taki sposób, jakby za każdym razem rozścielano przed nią czerwony dywan. Sawa bardzo chciała osiągnąć kiedyś ten etap.

Tymczasem spojrzała na Filipa wzrokiem, który wyrażał jednocześnie wyrzut i sprzeciw.

– Co to było?

– Wybacz... skarbie – Filip spróbował zażartować. Widząc poważną minę Sawy, sięgnął przez stół po jej dłoń i przytknął ją sobie do ust. – Naprawdę przepraszam.

– Mogłeś chociaż wysłać mi esemesa, że przyjdziecie razem.

– Właściwie to wysłałem – wyjaśnił.

Sawa odblokowała telefon i dopiero teraz przeczytała wiadomość.

– No tak... Nie sprawdziłam wcześniej.

– Posłuchaj... – Filip nie wypuszczał jej dłoni. – Po prostu ogranicz przekleństw a i wszyscy będą zadowoleni.

– Nie rozumiem tego. – Sawa wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która niesłusznie dostała burę. Filip często żartował, że właśnie tym trochę niewinnym, a trochę nadąsanym spojrzeniem rozłożyła go na łopatki, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. – Zainteresowanie akcjami i kampaniami Junony nigdy nie było tak duże, musimy zatrudnić nowe osoby, żeby w ogóle to ogarnąć, piszą o nas w najważniejszych mediach i to wszystko dzięki... dzięki... – zapowietrzyła się.

– Dzięki twoim filmom. Wiem. Wszyscy mają tego świadomość, nie musisz się o to martwić.

– I naprawdę mam siedzieć cicho, żeby nie podpaść tym dziadersom? – Sawa była tak wzburzona i mówiła tak głośno, że kilkoro gości obejrzało się w kierunku ich stolika. Dziewczyny w ogóle to nie spieszyły.

– Obawiam się, że nie chodzi tylko o nich. Wiesz, że matula musi układać się z różnymi ludźmi, zwłaszcza teraz. Miała wczoraj bardzo nieprzyjemną rozmowę na twój temat i uwierz, że cię broniła.

– Z kim rozmawiała?

– Z Anną Łozińską.

– Tą prawniczką, z którą zna się ze studiów? – Sawa była wyraźnie rozbawiona. – Tą, która daje na fundację kupę kasy, bo sama dostaje czasem lanie od męża, ale nigdy się do tego nie przyzna?

– Dokładnie tą. – Filip pokiwał głową. Bardzo chciał, żeby Sawa mówiła trochę ciszej.

– Tyle że to nie ona wpłaca na fundację okrągłe sumki, tylko jej mąż.

– Kurwa... To jakiś chory szajs jest.

– W rzeczy samej. – Mężczyzna chrząknął, tuż nad nim stanął kelner. – Co zjemy?

Sawa westchnęła i próbowała skupić wzrok na propozycjach wymienionych w menu. Zaróżowione policzki sugerowały, że wciąż jest rozemocjonowana rozmową z Gawryłow. Filip zastanawiał się, czy kelner widzi to samo co on. Niesamowicie zmysłową i pociągającą kobietę w uniesieniu, które dodaje jej magnetycznego uroku. Wolną, pełną życia, niedbającą o konwenanse, nieprzejmującą się tym, jak inni odbierają jej siarczasty język, głośny ton, wyzywające spojrzenie, niedbałą pozę, którą przybrała na krześle. Filip nigdy się do tego nie przyznał, ale kręciła go zwłaszcza wtedy, kiedy była taka wzburzona i ostra. Coś w jej energii sprawiało, że miał ochotę natychmiast zderzyć z niej ubranie i... Właściwie tyle by mu wystarczyło. Chciał ją poskromić? Przywołać do porządku, czując jednocześnie opór? Podporządkować sobie? Może chodziło o władzę. W seksie często chodzi o władzę. Przejmowanie jej lub uleganie. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, choć ten rodzaj pociągu, którego nie czuł wcześniej do żadnej innej kobiety, a który odsłaniał mroczne zakamarki jego umysłu, trochę go niepokoił. Kelner, podobnie jak Filip, musiał zauważyć, że długa, kwiecista sukienka z bardzo cienkiej bawełny ładnie podkreśla okrągłe, sterczące piersi Sawy, a odpięte guziki sukienki odsłaniają gładką, jasną skórę.

– Chciałam zjeść wegeburgera, ale po tym, co usłyszałam, może mi pomóc tylko coś mocno czekoladowego. – Sawa spojrzała wyczekująco na kelnera.

– W takim razie polecam semifreddo.

Tak, Filip był przekonany, że kelner musiał widzieć ten sam obraz i reagować na niego równie intensywnie. Ta myśl jeszcze bardziej podekscytowała terapeutę i jednocześnie boleśnie go zakłuła. Sawa od początku budziła w nim doznania, o które wcześniej siebie nie podejrzewał.

Kiedy po kolacji wyszli na zewnątrz, Filip zaczął rozglądać się za odpowiednią bramą, w którą mógłby wciągnąć Sawę i włożyć jej rękę w majtki. Nie kochali się od dwóch tygodni, więc doszedłby w pięć sekund, bez zdejmowania spodni. Już mu się to zdarzało. Podczas pierwszych randek dziewczyna za każdym razem prowokowała erotyczne sytuacje w jakimś nietypowym miejscu. Na przykład ni stąd, ni zowąd odsłaniała i podawała mu do ssania pierś, rzucała w twarz zdjęte chwilę wcześniej majtki albo łapała go mocno za krocze. Zdarzało jej się to na parkingu w galerii handlowej, kiedy wracali z kina, w leśnej wiacie turystycznej podczas joggingu czy na klatce schodowej starej kamienicy, kiedy szli na imprezę do znajomych. Po kilku takich ekscesach przestał uważać to za przypadek.

Wieczór był całkiem ciepły, na starówce kręciło się mnóstwo turystów, w tych warunkach szybki numerek nawet w pozornie ustronnym zakątku musiałby skończyć się mandatem. Doszli do końca Targu Rybnego, za Hiltonem skręcili w Grodzką i skierowali się na most Wapienniczy, skąd mieli już tylko kilka kroków do apartamentowca wybudowanego przy dawnym Nabrzeżu Szkut. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi windy, Filip przywarł do Sawy

i wcisnęła dłoń między jej uda. Całował szyję dziewczyny, ona jednak, zamiast oddać się jego pieszczotom, wpatrywała się w ekran swojego smartfona. W końcu gwałtownym ruchem odsunęła Filipa.

– Kurwa... – powiedziała przez zęby.

– Co się stało?

– Kostecki wyszedł wczoraj z więzienia. Wszyscy o tym piszą, a ja na śmierć zapomniałam...

– Kostecki... – Filip próbował przypomnieć sobie nazwisko, które na pewno znał. – Ten, który siedział za pobicie żony? Jak ona miała... Ewa?

– Tak, ten, który powinien siedzieć za usiłowanie zabójstwa, ale chujowy sędzia zmienił kwalifikację czynu. Ja pierdołę...

– Z tego, co pamiętam, dostał zakaz zbliżania się.

– Tak, ale nie kontaktowania się z nią. Podobno pierwsze, co zrobił, to zaczął do niej wydzwaniać.

Sawa wyszła z windy i nie odrywając wzroku od telefonu, czekała, aż Filip otworzy drzwi do mieszkania.

– Spokojnie. Na razie i tak nic nie możemy zrobić. – Zdjął z Sawy dzinsową kurtkę podbitą białym kożuchem i zaczął głąskać dziewczynę po odkrytych ramionach.

– No właśnie. Właśnie o to chodzi, że nic nie możemy na razie zrobić. Ewka wciąż leczy PTSD, a ten chuj nie da jej teraz spokoju.

– Tego nie wiesz... – Filip przytulił Sawę i pocałował ją w szyję, potem w obojczyk.

– Co z tobą? – warknęła Sawa i odepchnęła Filipa tak mocno, że gruchnęła plecami w szafę, która znajdowała się za nim. Chwilę później usłyszał trzaśnięcie drzwiami do gabinetu, który jeszcze do niedawna należał tylko do niego.

Filip włączył światło i stwierdziwszy z ulgą, że włoska szafa z lakierowanego dębowego drewna nie doznała uszczerbku, zajął się rozładowaniem naczyń ze zmywarki. Kiedy skończył, wyjął ze skórzanego pokrowca swojego macbooka i usiadł z nim na szezlongu ustawionym przy panoramicznym oknie, z którego widać było nabrzeże nazywane hakiem. Charakterystyczny kształt tego terenu wyznaczała sina taśma wody rozcięta na dwie rzeki: Martwą Wisłę i wpadającą do niej Motławę.

Na początku zdarzało mu się popełniać ten błąd – próbował rozmawiać z Sawą, kiedy była silnie wzburzona. Wyjaśniać, tłumaczyć, analizować. To tylko pogarszało sytuację i wywoływało jeszcze gwałtowniejsze reakcje ze strony dziewczyny. Potem, kiedy nauczyła się je kontrolować, zwykła mawiać, że chwilę po wybuchu rosną jej kolce jak u jeża. Nie chce być przytulana, głąskana, uspokajana. Próby rozbrojenia konfliktu i wprowadzenia zasad zdrowej komunikacji, które doskonale działały w przypadku jego pacjentów, tutaj nie zdawały egzaminu.

Czterdzieści minut później usłyszał skrzypnięcie klamki i pacnięcia bosych stóp na dębowych deskach.

– Przepraszam. – Sawa wyjęła macbooka z rąk Filipa, odłożyła go na stolik i usiadła okragiem na udach mężczyzny. Przyłgnęła do niego całym ciałem, twarz schowała w zagłębieniu między jego szyją a obojczykiem. – Wiesz, że czasem włącza mi się autopilot.

– A ty wiesz, że nie jestem Kosteckim. Ani twoim ojcem.

Poczuł na ramieniu, jak Sawa kiwaniem głowy przytakuje jego słowom. Pocałowała go pod uchem. Filip czuł na sobie jej kojący ciężar.

– Nie zostawiaj mnie. – Wyszeptała głosem małej dziewczynki i jeszcze mocniej wtuliła się w niego.

– Nigdy.

Miękkie, ciepłe usta Sawy objęły jego wargi. Wzwód w spodniach pojawił się jak odruch Pawłowa. Sawa chwyciła dłoń Filipa i włożyła ją sobie między uda, po czym poruszyła biodrami w przód i w tył. Zamiast koronki majtek wyczuł znajomą grząskość. Chciał tylko całkowicie w niej zniknąć, nic więcej.

* * *

Sawa po raz kolejny skasowała nagranie, bo w tle słychać było podniesiony kobiecy głos dobiegający z sekretariatu. Zirytowana, wstała i otworzyła drzwi. Obok Alicji stała kobieta w czerwonym futerku do pasa i obcisłych legginsach imitujących węzową skórę. Renata Guz. Trafiała do fundacji pół roku wcześniej, prosto z burdelu w Trąbkach Wielkich. Junona miała ją odzyskać dla społeczeństwa. Dzięki pieniądzom z Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym zapewniła kobiecie pomoc psychologiczną, wynajęła mieszkanie przez OLX, kupiła ubrania, wysłała na szkolenie zawodowe. Renata nie była zadowolona z tych usług, czemu po raz kolejny postanowiła dać upust.

– Pokupowali te Pegasusy-srussy i dla mnie, kurwa, hajsu już nie ma, tak? A ja w butach z kartonu chodzić nie będę! Możecie je sobie wsadzić w dupę, razem z tą kawalerką! To już mój pokój w Trąbkach większy był!

– Pani Renatko... – uspokajała ją Alicja. – Ale przecież skończy pani kurs, zaczniesz pani zarabiać i na pewno uda się znaleźć coś większego i bliżej centrum.

– Ale ja już nie chcę być fryzjerką!

– No przecież rozmawiała pani o tym wiele razy z doradcą i sama nalegała właśnie na ten kurs zawodowy. To co się teraz nagle stało? – zapytała łagodnie Alicja.

– Rozmyśliłam się! Jak mi dacie nożyczki do ręki, to wbiję je w tętnicę pierwszemu fagasowi, który się zbliży! Ja mam, kurwa, traumę, tak? Zapytaj mojego terapeuty. – Kobieta dumnym gestem odgarnęła włosy.

– To co chciałyby pani robić, pani Renatko...

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Wymyślcie coś. Chcę mieć biuro i laptopa, tak jak ona. – Renata zerknęła na Sawę. – I żeby nie wstawać za wcześniej.

Sawa musiała zostawić Alicję z tym problemem, bo na ekranie jej smartfona wyświetliło się połączenie od Aleksandry Gawryłow. Nie miała ochoty na kolejną rozmowę dyscyplinującą. Westchnęła i wróciła do swojego pokoju.

– Skarbie... Mam prośbę – zaczęła przeseka. – Chciałabym, żebyś reprezentowała Junonę w komisji interwencyjnej.

– W komisji?

– Tak, miasto powołuje zespół, który ma rozwiązać problem z mieszkańcami Zakątka.

– Zespół do rozwiązania problemu, który miasto samo stworzyło, tak? – zapytała Sawa.

– Coś w tym stylu.

Zakątek był nazwą całej ulicy na Oruni Dolnej, ale w skrócie nazywano tak jeden blok z mieszkaniami komunalnymi, które przydzielano najbardziej potrzebującym. Projekt od początku był niewypałem, bo deweloper najpierw spóźniał się z terminem oddania budynku, później nie chciał zapłacić kilkumilionowego VAT-u. Mieszkańcy po wprowadzeniu się regularnie zgłaszali usterki techniczne. Po dwóch latach użytkowania stan bloku był fatalny, a co chwilę pogarszały go jeszcze kolejne akty wandalizmu. Niewybredne napisy na murach były najłagodniejszą ich formą. Tynk opadał całymi kawałami, farba odłaziła, na klatkach schodowych wybuchały pożary. Policja odwiedzała Zakątek regularnie trzy razy w miesiącu, mimo to mieszkańcy nie mogli doprosić się o założenie monitoringu. Jedną z ostatnich atrakcji, o których słyszała Sawa, była awaria prądu w całym budynku. W środku zimy kilkadziesiąt rodzin zostało bez prądu i ogrzewania.

– Jesteś pewna, że chcesz, żebym to ja reprezentowała fundację?

– Nie wyobrażam sobie nikogo innego – zakończyła temat prezeska.

Pierwsze zebranie miało odbyć się jeszcze tego wieczora, więc Sawa została w biurze dłużej, żeby się przygotować. Wychodziła ostatnia, była zmęczona i pogrążona we własnych myślach. Kiedy otworzyła drzwi, zamarła. W pierwszej sekundzie poczuła ciarki ze strachu. Za progiem stał postawny mężczyzna z ogoloną głową. Śmierdział dymem papierosowym, miał podkrążone, zaczerwienione oczy.

– Biuro już zamknięte. Szuka pan kogoś? – zapytała trochę zbyt ostro jak na pierwsze spotkanie, ale miała swoje powody. Fundacja dbała o anonimowość i bezpieczeństwo podopiecznych, a jednak raz czy dwa do biura wtargnął mało przyjaźnie nastawiony mąż albo konkubent, niezadowolony z faktu, że jakieś nawiedzone feministki robią wodę z mózgu jego kobiecie. Typ, który stał przed nią i patrzył jej prosto w oczy nicującym spojrzeniem, był od niej znacznie większy i wyglądał na kogoś, komu życie spuściło niezły łomot. Podkrążone oczy mogły sygnalizować równie dobrze przemęczenie jak przepicie. Czerwona kreska przecinająca szczerinę na jego głowie była świeżą pamiątką raczej nie po przypadkowym uderzeniu. Facet był dość chudy, powiedziałaaby, że wręcz zasuszony, ale miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i długie ręce. Gdyby chciał, wepchnąłby ją do przedpokojku, zanim zdążyłaby pisać.

– Chciałem zapytać o... – zaczął niepewnym głosem – ...poradę prawną – dodał jeszcze ciszej. – Mogę wejść?

Wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź Sawy, która odruchowo odsunęła się pod ścianę, by zrobić mu miejsce.

– Znajoma mówiła, że macie dobrego prawnika. – Jego wzrok był rozbiegany, w ciele było widać napięcie. Rozglądał się po pomieszczeniu, ale co chwilę wracał do Sawy i taksował ją z góry na dół. Miał tik nerwowy polegający na mrużeniu powiek kilka razy z rzędu. Dziewczynie trudno było określić, czy facet jest potencjalnie niebezpieczny, czy po prostu zdenerwowany.

– Mecenas Gojke, tak. Ale teraz go nie ma, trzeba umówić się na wizytę. Dam panu wizytówkę. Można dzwonić jutro od dziewiątej.

– Skoro już przyszedłem... to może pani sprawdzi jakiś najbliższy termin. – Mężczyzna zatrzymał wzrok na twarzy Sawy. Przeszło jej przez myśl, że może chce zwabić ją do dalszej

części biura. Jeśli zamknie drzwi, a facet okaże się agresywny, nikt nie usłyszy jej wołania. Ściany w wiekowej kamienicy były grube, najbliżsi sąsiedzi nie dosłyszeli gwizdzącego kilka minut czajnika zostawionego na gazie, bo słuchali grającego głośno radia.

– Spiesz się, mąż czeka na mnie na dole. Naprawdę najwygodniej będzie zadzwonić.

– Wolę jednak osobiście – nalegał. – Proszę...

W jego spojrzeniu pojawiła się łagodność.

– No dobrze, chodźmy – postanowiła Sawa, ale na wszelki wypadek zostawiła otwarte drzwi.

Włączyła laptopa, leżącego na biurku w sekretariacie, i odszukała grafik dyżurów mecenasa Gojkego. Jej gość usiadł naprzeciwko niej. Przestał mrugać oczami, na jego ustach pojawił się grymas, który przy dobrych chęciach można by uznać za uśmiech.

– Widzę, że zwolnił się jeden termin w tym tygodniu. Piątek, dziesiąta trzydzieści. Pana znajomej będzie odpowiadało?

– Co? Znaczy... ten papuga to dla mnie.

– Rozumiem.

– Czy to, co mam w spodniach, jest jakąś przeszkodą? – Zaśmiał się nerwowo.

– Nie, oczywiście, że nie. – Teraz to jej zrobiło się głupio.

Nie licząc kontrolera z prokuratury, który odwiedził ich kilka dni wcześniej, na tysiąc kobiet do fundacji zgłaszało się może dwóch mężczyzn. Żaden od razu nie przyznawał się do problemów z agresywną partnerką. Woleli mówić, że szukają porady prawnej albo mediacji w kwestii rozwodu czy opieki nad dziećmi.

– Interesuje pana również konsultacja psychologiczna? Nasz terapeuta, Filip Gawryłow, jest świetnym specjalistą...

– Nie – odparł oschle, ucinając ten wątek. – Potrzebuję wyłącznie papugi. Żona chce mi zabrać dzieciaki.

– Gdyby pan się jednak namyślił... tu są foldery informacyjne dotyczące naszych programów pomocowych. Mamy też ciekawe warsztaty dla rodziców, może coś pana zainteresuje.

Z niechęcią sięgnął po broszury, które Sawa przytrzymała na wysokości jego twarzy.

– W takim razie piątek. Dziesiąta trzydzieści. Pana godność?

– Hinz. Adam.

Wpisała do systemu nazwisko oraz numer telefonu, po czym zamknęła laptopa.

– A ty... jesteś tu sekretarką? – zapytał, kiedy wychodzili z biura. Zdążyła już spojrzeć na niego bardziej przychylnie, ale nagle przejście na ty, bezczelny ton i powrót do taksowania spojrzeniem jej sylwetki sprawiły, że znowu nabrała dystansu.

– Nie. Zajmuję się public relations.

– Public relations... – powtórzył z przekąsem. – Fiu, fiu... No, dobra. To dzięki. I może: do zobaczenia.

Sawa obserwowała, jak mężczyzna oddala się w kierunku Zbrojowni, zgina w dłoniach foldery, które mu dała, i wrzuca je do mijanego śmietnika. Wciąż czuła konsternację wywołaną dziwnym spotkaniem z Hinzem. Pomyślała o tym, że wolałaby więcej się na niego nie natknąć.



TERAZ

Barbara Modra nie mogła znaleźć długopisu. Objęła wzrokiem bajzel w swoim gabinecie i po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy pomieszczenie, które przydzielono jej na czas delegacji, zostało zaadaptowane ze schowka na miotły albo innego magazynu. Koledzy co rusz wpadali tu po jakieś akta lub inne papierzyska, które z jakiegoś względu właśnie w tym miejscu były składowane. Wielokrotnie prosiła o wyniesienie tych rzeczy, żeby mogła urządzić się chociaż prowizorycznie, ale najwyraźniej wszyscy mieli ją gdzieś.

Drzwi znowu się otworzyły. Nie usłyszała pukania. W pierwszym odruchu chciała je przytrzasnąć.

– Cześć. Mogę? – W progu stanęła Hanna Szołkiewicz.

– Wejść – powiedziała nieco speszona Modra, nie przestając szukać swojej zguby. – Cholera. Miałam ten długopis od liceum. – Opadła zrezygnowana na krzesło. – Coś się stało?

– Mam wyniki toksykologii Hinza.

– Okej. Nie musiałaś się fatygować. – Głos prokuratorki złagodniał. Nie chciała być zbyt obcesowa. Ostatnio bywała wredna, ale naprawdę lubiła tę dziewczynę. Bardzo.

– I tak miałam coś do załatwienia.

– No dobra, to co tam wyszło?

– Niezła impreza. Dwa promile we krwi, poza tym THC, amfetamina, mefedron i klonazepam.

– Po takim koktajlu to chyba pętla nie była już potrzebna.

– Nie do końca – stwierdziła lekarka. – Na pewno był pijany, ale pozostałe substancje pojawiły się w niewielkich ilościach. Mógł je zażywać wcześniej, niekoniecznie przed samą śmiercią.

– Klonazepam to lek nasenny? – upewniła się prokurator.

– Uspokajający, przeciwlękowy, tak.

– Hm... – Barbara Modra nerwowo stuknęła palcem w biurko. – W mieszkaniu Hinza znaleźliśmy trawę, mefkę i krajówkę, ale żadnych recept czy opakowań po klonazepamie... – powiedziała Modra i w tym momencie przypomniał jej się biały proszek, który znalazła na

blacie w kuchni Hinza. Zaczęła przerzucać akta w poszukiwaniu ekspertyzy, ale nie mogła znaleźć odpowiedniego dokumentu. Może jeszcze go nie przysłali.

– A co z krwią na ścianach? Wiadomo coś więcej?

– B RH plus i co ciekawe, należała do kobiety.

– Dominiki Hinz? – podchwyciła Szołkiewicz.

– Sprawdzamy, ale raczej nie. Hinz nie ma na ciele żadnych obrażeń.

– To nadal nie wyklucza ani jej, ani jej nowego faceta.

– Oboje zgodnie twierdzą, że spędzili wieczór przed telewizorem. Koleś mówi, że wyszedł tylko raz, na spacer z Barbie...

– Z Barbie...?

– Z yorkiem Dominiki Hinz, którego dał jej na urodziny. Na spacerze spotkał sąsiada, palili szlugi, gadali, zeszło im pół godziny. Wszystko koło dwudziestej trzeciej, czyli wtedy, kiedy zamordowano Hinza.

– Wiesz, że czas zgonu jest tylko przybliżony.

– Wiem, ale w aktach wszystko musi się składać do kupy. A mimo idealnego motywu na razie żaden dowód nie wskazuje na udział naszych gołąbeczków.

Kobiety siedziały przez chwilę w ciszy. Modra znowu zaczęła grzebać w szufladach w poszukiwaniu długopisu.

– Masz czas na lunch? – zapytała Hanna Szołkiewicz.

– Nie bardzo. Dowalili mi tyle pierdół, że powinnam się rozdziwić.

Lekarka kiwnęła głową i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Hania, czekaj. Kolacja jutro wieczorem? Po dwudziestej? Mogę po ciebie przyjechać.

– Pasuje mi. Super. To do jutra.



WTEDY

Ogromne okna studia telewizyjnego wychodziły na Marszałkowską. Sawa widziała stąd szpikuliec Pałacu Kultury i Nauki, siermiężną bryłę Marriottu, smukły żagiel Złotej 44 i kilka innych wieżowców. Bardziej interesowało ją jednak to, co działo się w środku. Prezenterzy prowadzący program śniadaniowy rozmawiali właśnie z kobietą, której pasją były lalki Barbie: wydawała krocie na ubranka, mebelki i inne akcesoria dla lalek, a potem organizowała im sesje zdjęciowe w popularnych turystycznych miejscówkach. Obok sof dla prezenterów i ich gości zaaranżowano niewielki aneks kuchenny, przy którym popularna blogerka kulinarna krojła warzywa na szybki wegański brunch.

Sawa czuła w podbrzuszu przyjemne mrowienie. Tuż po wejściu do studia młoda dziewczyna w słuchawkach na głowie zapytała ją, czego się napije, i wskazała stanowisko do makijażu. Na fotelu obok siedziała psycholożka znana z kontrowersyjnego reality show. Wyglądała, jakby czekała na zabieg w spa.

– Kochana, dziś poproszę tak bardziej wystrzałowo, po nagraniu mam rozbieraną randkę. – Kobieta puściła oko do swojej wizażystki. Widać było, że dobrze się znają, a obecność Sawy w ogóle ich nie krępowała. – Liczę, że przeciągnie się do jutrzejszego śniadania.

– Nooo, to spryskam cię takim utrwalaczem, którego używają gwiazdy porno.

Kobiety zarechotały. Sawa zdjęła wielkie kwadratowe okulary przeciwsłoneczne, z którymi nie rozstawała się cały ranek, i schowała je do torebki. Uśmiechnęła się do swojego odbicia, wiedząc, że tamte zerkają na nią w lustrze, ale kobiety nagle ucichły. Do Sawy podeszła inna wizażystka. Automatycznie sięgnęła po paletę z cieniami i zamarała.

– Ojej... coś się pani stało? – Wydusiła, patrząc na siny policzek Sawy.

– Głupstwo. Weszłam w drzwi. Chyba da sobie pani z tym radę, prawda?

– Tak, oczywiście. – Wizażystka przesłała koleżankom porozumiewawcze spojrzenie, ale żadna nic już nie powiedziała.

– Na niebieskie siniaki to chyba najlepiej pomarańczowy korektor, prawda?

– Tak, zdecydowanie. – Wizażystka odzyskała animusz.

– A na takie starsze, żółte? Co mi pani doradzi? – dociekała Sawa.

– Dałabym fioletowy.

– W takim razie poszukam. Dziękuję za pomoc. Przyznam, że trochę się martwiłam. Zaproszenie do najpopularniejszej śniadaniówki w Polsce, a tu taki przykry wypadek. Jak to zakryć? – Sawa zaśmiała się sztucznie. – Pomyślałam jednak, że w telewizji pracują profesjonalistki. Na pewno z pani doświadczeniem to pestka.

– Hm... tak, zdarza się.

– Aktorki i modelki też wchodzą w drzwi? Co za pocięcha dla zwykłych śmiertelniczek.

Wizażystka nie wiedziała, co odpowiedzieć. W skupieniu nakładała na twarz Sawy kolejne warstwy: korektor, podkład, puder, róż, rozświetlacz. Po siniakach nie było śladu. Kobieta odezwała się, dopiero gdy przyszedł czas na makijaż oczu.

– Hm... może pójdziemy w granaty? Podkreślą te miedziane błyski w pani oczach – zaproponowała miękko.

Nikt dotąd, nawet Filip z tą całą swoją poetyckością, w którą lubił czasem płynąć, nie powiedział Sawie, że ma w oczach miedziane błyski, ale bardzo jej się to spodobało. Kiwnęła głową.

– A mogłabym prosić tak bardziej... wystrzałowo? Wieczorem idę na kolację. Z ukochanym. – Sawa puściła oko do psycholożki.

– Jasne, zrobię pani sexy smoky eyes.

Kiedy skończyły, Sawa z satysfakcją spojrzała w lustro.

– Wygląda pani jak amerykańska gwiazda. Powinna pani grać w filmach – skomentowała wizażystka.

Sawa rzeczywiście poczuła, jakby znalazła się w miejscu, które od zawsze było dla niej przeznaczone. Nadskakujący jej ludzie, kamery, mocne światła i świadomość, że za chwilę zobaczą ją na żywo setki tysięcy osób – to wszystko w ogóle jej nie peszyło, ale raczej sprawiło, że jeszcze bardziej wierzyła w swoją ważność i sprawczość.

W przerwie na prognozę pogody kazano jej przesiąść się na kanapę dla gości programu. Prezenterzy przywitali się z nią i chyba chcieli ją rozluźnić żartami, ale Sawa nie była zdenerwowana. Spięła się dopiero wtedy, kiedy miejsce obok niej zajęła psycholożka, którą widziała wcześniej. Sawa nie potrzebowała żadnego eksperta na podparcie tego, co miała do powiedzenia o przemocy i działalności fundacji.

– A w naszym studiu witamy doskonale państwu znaną psycholog Patrycję Warecką i...

– prezenter zawiesił głos, żeby spojrzeć w notatki – Sawę Bogucką, autorkę bardzo popularnego w ostatnim czasie vloga o psychopatach. Cóż za fascynujący temat. Przepraszam, ale muszę od tego zacząć... Cóż za przepiękne imię: Sawa!

– Dziękuję. Mam nadzieję, że skupimy się raczej na temacie.

– Uuuuu, aż mnie zmroziło, ale Sawa Bogucka, proszę państwa, znana jest już fanom ze swojego ciętego języka – kontynuował prezenter.

– Robercie, chyba musisz spoważnieć, bo nasz gość weźmie cię za... psychopatę – próbowała żartować prezenterka. Pani psycholog się zaśmiała.

– Wśród ludzi mediów to akurat dość częste zjawisko. – Sawa wyczuła swój moment. – Zresztą w każdej branży, w której promowane są narcystyczne i psychopatyczne cechy. Pełno jest psychopatów wśród lekarzy, policjantów, żołnierzy, menedżerów, prezesów...

– Rzeczywiście badania wskazują, że wśród kadry kierowniczej, zwłaszcza w dużych korporacjach, jest więcej psychopatów niż w całej populacji. – Pani psycholog próbowała

złagodzić wypowiedź Sawy. – Proszę się jednak nie martwić, to nie znaczy, że państwa szef jest od razu mordercą czy kimś potencjalnie niebezpiecznym. Chodzi o raczej o zestaw cech, które u różnego typu liderów są bardzo pożądane: szybkie podejmowanie ważnych decyzji, zdolność do ryzykowania, odwaga, zimna kalkulacja, umiejętność trzymania nerwów na wodzy...

– Manipulacja, wykorzystywanie innych ludzi, nieliczenie się z nimi, przemoc psychiczna. – Sawa weszła jej w słowo. – To nie jest tak, że psychopatyczny szef, który nie szanuje swoich podwładnych, wraca do domu i staje się słodkim misiem. Niestety robi to samo członkom swojej rodziny. Żonie, dzieciom. Ich strach bawi go i daje satysfakcję tak samo jak groza, którą budzi u współpracowników.

– Możesz spać spokojnie, Robercie, widzowie na pewno się zgodzą, że nie budzisz żadnej grozy – odezwała się prezydentka.

– To może być tak zwana maska normalności – ciągnęła niewzruszenie Sawa. – Bardzo często się zdarza, że psychopata sprawia wrażenie przyjacielskiego, serdecznego człowieka. Dlatego ofierze, na przykład żonie, ciężko wyzwolić się z takiego związku. Sprawić, żeby ktokolwiek uwierzył, że żyje z oprawcą. Mąż może mieć wysoki status społeczny, być szanowanym, lubianym człowiekiem. Dlatego to ona wychodzi na wariatkę, jeśli prosi o pomoc. Czasem jest już tak zdesperowana, że wybucha, urządza sceny, zachowuje się jak szalona. A to wszystko efekt psychopatycznych manipulacji. Związek z psychopatą nawet anioła doprowadzi na skraj załamania nerwowego. Ale psychopata jest sprytny, odwracanie kota ogonem to jego podstawowe narzędzie. Sam robi z siebie ofiarę zaburzonej wariatki.

– Chyba trzeba mieć sporego pecha, żeby trafić na takiego męża – stwierdziła prezydentka.

– Na takiego męża się nie trafia. Pada się ofiarą jego zaplanowanej i przemyślanej strategii. Psychopaci to zdolni i doświadczeni drapieżcy – mówiła Sawa.

– Rzeczywiście żaden psychopata nie odkryje się przed nami od razu. – Psycholożka uznała za stosowne wyjaśnić słowa Sawy. – Często mamy do czynienia z takim zjawiskiem jak lovebombing, czyli bombardowanie miłością. Kobieta myśli, że znalazła swój ideał, bratnią duszę. Dopiero kiedy jest już zadurzona po uszy, następuje nagły zwrot akcji. Mężczyzna może zniknąć, przestać się odzywać. Albo przeciwnie: powiedzieć coś bardzo bolesnego, coś, co zupełnie nie pasuje do wcześniejszej idylli. I tak ona to sobie tłumaczy. Że to pomyłka, miał zły dzień, a może ona go sprowokowała? Może zrobiła coś nie tak? A potem miłość wraca i znowu przez chwilę jest idealnie. Do następnego razu, który będzie jeszcze bardziej bolesny.

– Tak w kółko, aż ofierze wyrosną dwie głowy, bo już sama nie będzie wiedziała, co ma myśleć i co jest prawdą. Psychopata wmówi jej, że wymyśla sobie zdrady, jest chorobliwie zazdrosna. Albo że uderzył ją, bo go sprowokowała – podsumowała Sawa.

Oboje prowadzący z wystudiowaną troską i skupieniem na twarzach kiwali głowami.

– Jak ustrzec się przed psychopatą? – zapytała dziennikarka. – Czy to nie jest tak, że oni mają jakiś swój typ?

– Rzeczywiście wyczuwają w człowieku pewne braki – wyjaśniła psycholog. – Ofiarami psychopatów często padają kobiety, którym po prostu nie dano miłości w dzieciństwie, niewierzące własnym osądom, szukające akceptacji na zewnątrz, często w momentach poważnych życiowych kryzysów...

Na początku liczył, że żonie w końcu przejdzie złość, ale było tylko gorzej. Chwilami bał się, że naprawdę oszalała. Zupełnie jakby nagle dostała jakiejś manii. Nawet chłopcy ze strachu schodzili jej z drogi i zamykali się w swoim pokoju. Dominika zapomniała już dawno o kelnerce, zaczęła mu za to wmawiać inne kochanki. Fryzjerkę z salonu na osiedlu, w którym się strzygł. Sąsiadkę z mieszkania nad nimi. Nawet dwa razy starszą od niego babę ze spożywcza na ich ulicy. Chodziła wkurwiona po mieszkaniu, przeklinała, napierdała garnkami, drzwiczkami od szafek, wszystko, co robił albo mówił, powodowało jeszcze większe wybuchy złości, lawiny pretensji z dupy i absurdalnych zarzutów. Właściwie to on powinien być zły. Mimo to kupił jej kwiaty, przeproszał. Miesiąc temu wrócił do domu, w którym nikogo nie zastał. Zadzwoił do teściowej, okazało się, że Dominika przeniosła się do niej z chłopcami. Nie chciała go widzieć, dzieciom również na to nie pozwoliła. Wniosła pozew o rozwód. Teraz najwyraźniej postanowiła wrócić do mieszkania. Zaskoczyła go, ale liczył, że jakoś się dogadają, przynajmniej w sprawie dzieci.

– Domi! – zawołał. Nie za głośno. Nie chciał znowu komentarzy ich nawiedzonej sąsiadki, Marszakowej. – Domi, wpuść mnie!

Nikt nie odpowiedział. Adam stuknął drzwiami w komodę. Trochę się odsunęła. Zachęcony, zaczął uderzać mocniej. Stara Marszakowa na pewno stała już przy wizjerze. No trudno, musiał jakoś dostać się do mieszkania. Uderzył jeszcze kilka razy, aż szpara w drzwiach zrobiła się na tyle duża, że mógł odsunąć komodę ręką. W końcu wcisnął się do przedpokoju.

– Pojechało cię? Dzieciaki obudzisz! – W ciemnym przedpokoju usłyszał kroki i głos żony.

– Tak się składa, że tu mieszkam.

– Czemu wracasz tak późno? – zapytała ostro.

W pierwszym odruchu chciał rozeźmiać się jej w twarz. Rozwodzili się, od miesiąca nie racyła nawet odebrać telefonu, a teraz nagle znowu zgrywa żoneczkę. Mimo wszystko nie chciał jej podburzać do awantury. Marzył o ciepłej pościeli i śnie.

– Mieliśmy w knajpie imprezę dla bankierów – odpowiedział polubownie.

– Do piątej rano?!

– Do trzeciej. I tak musieliśmy ich wypraszać. A potem jeszcze sprzątałem. – Zdjął buty, kurtkę powiesił na wieszaku.

– Myślałam, że jesteś kucharzem, a nie sprzątaczką.

– A co ciebie to nagle obchodzi, co? – Nie wytrzymał.

– Nie rozbieraj się. Nie chcę cię tutaj. Nie mogę na ciebie patrzeć!

– I niby gdzie mam iść?

– Najlepiej do którejś ze swoich dziwek!

Zignorował ten komentarz. Próbował minąć Dominikę, ale zagroziła mu drogę. Nie chciał wdawać się w kolejną przepychankę.

– Przesuń się – poprosił.

– Jak powiesz, ile masz dzieci.

– Co? – Zatkało go. – O co ty mnie pytasz? Przecież wiesz.

– Masz trójkę dzieci z naszą sąsiadką!

– Domi, czy ty jesteś poważna?

– Kurwa, zaraz ci pokażę, jaka jestem poważna! – Zamachnęła się, ale przytrzymała jej rękę w nadgarstku. Wyszarpnęła ją. – Mów, ile masz bachorów.

Nie był pewien, czy Dominika bawi się z nim, czy chce go w jakiś dziwny sposób upokorzyć, ale miał to gdzieś. Chciał tylko położyć się do łóżka i odejść w sen.

– Mamy dwoje dzieci. Dwóch synków, Jasia i Kubusia. Możesz mnie teraz przepuścić?

– Jak przestaniesz kłamać, gnido! Powiedz, ile nieślubnych bachorów zrobiłeś!

– Nie mam żadnych bachorów. Nie mam dzieci oprócz naszych dwóch synów. Co ci odwaliło?

– Mów, ile masz dzieci, albo wyjebię przez okno ten twój jebany gramfon! – wydarła się.

– Ośmioro, okej? Jesteś zadowolona? Mam ósemkę dzieciaków. – Adam zaczął się śmiać.

– Trzeba było od razu mi powiedzieć!

Dominika rzuciła się na niego z pięściami, zaczęła okładać go na oślep po ramionach i torsie. Początkowo tylko robił uniki i zasłaniał się, ale kiedy udało jej się trafić go w łuk brwiowy, wściekł się, złapał ją mocno za oba nadgarstki i pchnął na ścianę tak, że uderzyła tyłem głowy. Usłyszał tępy dźwięk. Z pokoju wybiegli chłopcy. Obaj patrzyli na niego przerażonymi oczami. Dominika osunęła się na podłogę.

– Wyjdź stąd, bo zaraz bardzo źle się to dla ciebie skończy – powiedziała żona nagle bardzo trzeźwym głosem.

Chciał wejść do sypialni, żeby zabrać jakieś ubrania, ale Dominika kopnęła go w kostkę.

– Wyyyyyyyjdz! – zawyla jak dzikie zwierzę.

Adam złapał buty, kurtkę, portfel, telefon i w skarpetkach wyszedł z mieszkania.

– Zobaczymy się później, nie martwcie się – powiedział do chłopców, zanim zamknął drzwi.

Marszakowa stała na klatce schodowej w szlafroku i kapciach.

– Oj, Adaś, Adaś... Czy ja mam znowu dzwonić na policję?

– Zapraszam. Może w końcu zajmą się tym smrodem, który wali ci z mieszkania.

Adam odwrócił się i zbiegł po schodach. Zastanawiał się, czy któryś z kumpli wpuściłby go do domu o tej porze. Przyszło mu do głowy dwóch, może trzech, którzy nie zrobiliby wielkiego problemu. Gorzej z ich żonami. Takie same heksy jak jego stara. A kumple, w towarzystwie jeden większy kozak od drugiego, przy swoich kobietach stawali się nagle pluszowymi misiaczkami. Adam czasem zastanawiał się, po co im to w ogóle wszystko było, to jebane rodzinne szczęście. Jeśli się zastanowić, jego kumple, a pewnie i on sam, żyli dokładnie tak jak ich ojcowie, powielali schemat, który mieli następnie przekazać swoim dzieciom. Zupełnie jakby nikt im nie powiedział, że można inaczej.

Mariusz, z którym Adam wychował się na podwórku, całą swoją wypłatę, dwanaście tysięcy złotych, oddawał Agnieszce. Ona nie pracowała, ale świetnie zarządzała kasą męża. Fakt, tłuste córeczki, wierne kopie mamusi, były zadbane, ubrane w markowe ciuchy, jeździły na angielski i balet. Aga – zawsze wypindrzona, z doklejonymi rzeszami i paznokciami. Mario miał tylko jedno hobby: lubił grać w gry, ale żona tego nie akceptowała. Sprzęt i gry kupował więc za kasę uciułaną na dodatkowych, ukrywanych przed Agą zleceniach i trzymał to

wszystko u młodszego brata. Czasem ściemniał żonie, że ma zlecenie za miastem, i siedział u brachola dwa dni.

Z kolei Boguś, kumpel ze szkolnej ławki, co pół roku miał nową kochankę. W jego przypadku było to banalnie proste: Boguś pracował jako handlowiec, jeździł po północnej Polsce, zawsze znajdował babę w odpowiedniej odległości od Trójmiasta, nie podawał prawdziwego imienia i prywatnego numeru telefonu. Kiedy się zakochiwały, mówił, że został kierownikiem regionu gdzieś na południu, i urywał kontakt. Za każdym razem, kiedy zaczynał nowy romans, zabierał żonę na egzotyczne wakacje, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Renata była zachwycona. Nie przeszkadzało jej, że tak rzadko uprawiają seks. Nigdy tego nie lubiła, a po urodzeniu trójki dzieci prawie całkiem zamknęła swój kramik. Czy zastanowiła się kiedyś, gdzie Boguś załatwia swoje potrzeby? Adam miał co do tego wątpliwości. Renata nie grzeszyła inteligencją emocjonalną. Pewnie wydawało jej się, że urodzinowy lodzik i przemykanie oczu na kolekcję pornoli załatwiają sprawę.

Był jeszcze Michał, sąsiad. Jego Anka pewnie nie burzyłaby się za bardzo, gdyby Adam poprosił o przekimanie na kanapie w salonie. Ryzyko takie, że mogłaby wgramolić mu się pod kołdrę albo wbić do łazienki. Kiedyś już tak zrobiła, na jakiejś domówce. Weszła do kibla, kiedy sikał, i zapytała, czy może potrzymać. Odpowiedział, że gdyby nakryła ich Domi, zabiłaby oboje na miejscu. Anka roześmiała mu się w twarz i zapytała, czy tylko to go powstrzymuje.

Nie, z pewnością nie miał ochoty na użeranie się teraz z żadną babą. Jedynie Stefan mieszkał sam. Adam wybrał jego numer, usłyszał dwa sygnały, po czym smartfon wyłączył się, żegnając go, jak na ironię, radosną melodyjką. Dominika tyle razy go pytała, czemu zawsze jedzie na ostatniej kresce, zamiast naładować telefon jak normalny człowiek. Teraz miałyby satysfakcję.

Kolejny tramwaj z Ciasnej w kierunku Huciska odjeżdżał dopiero za piętnaście minut. W tym czasie można było dojść do Śródmieścia na piechotę. No, na pewno szybkim krokiem. A spod LOT-u do Starej Stoczni, gdzie mieściło się A Presto – knajpa, w której Adam pracował – był już rzut beretem. Zresztą i tak nie mógł zamówić ubera ani nawet wypożyczyć hulajnogi, co wybierał zdecydowanie częściej.

Kiedy szedł Rybackim Pobrzeżem, myślał o tym, jak pusta była ta okolica, zanim Gdańsk zaczął być modnym turystycznym miastem. Jeszcze osiem, dziesięć lat temu o tej porze na starówce można było co najwyżej zarobić dzwona od jakiegoś zabłąkanego osiłka, któremu nie podobał się twój wzrok. Teraz mijało się dziesiątki ludzi wracających do domów po nocnych szaleństwach, inni zaczynali nowy dzień joggingiem wzdłuż Motławy. Ci ostatni z pewnością mieszkali w jednym z tych wypasionych apartamentowców, których setki w ostatnich latach powstały nad rzeką. Adam często się zastanawiał, skąd ludzie mają pieniądze na takie mieszkania. Gdzie pracują? Są prawnikami, lekarzami, bankierami? Prowadzą własne firmy? Jakie? I dlaczego jemu nie wpadł do głowy pomysł na biznes życia? Szczytem lansu były dla niego zarobki Mariusza. No i szefowej A Presto, ale ona była z innego świata, nie tak jak oni, z zapyziałego podwórka na Zakopiańskiej. Adam ze swoją szóstką na rękę i tak przez pierwsze miesiące czuł się półbogiem. Właściwie nie zdążyli się jeszcze nacieszyć tą kasą. Najpierw musieli spłacić wszystkie długi, potem brat Dominiki stracił pracę, więc utrzymywali go przez trzy miesiące, jeszcze później w samochodzie trzeba było wymienić rozrząd. Co prawda dostawał jeszcze premie, ale o tych pieniądzach Dominika nie wiedziała. Odkładał je na hondę transalp i prawko na motocykl, które zamierzał zrobić.

Adam nie lubił Gdańska. Być może był nawet jedynym mieszkańcem tego miasta, który chciał wyjechać stąd jak najdalej. Wszystkich to dziwiło, nie rozumieli go. Mówili, że tu jest pięknie, że czyste powietrze, że polska Kalifornia. Adam miał inne skojarzenia. Chodził na plażę, żeby nie siedzieć w domu albo w szkole, z której wyrzucili go jeszcze przed maturą. Ojciec chciał, żeby został mechanikiem, przydał się na coś, ale Adam w dupie miał śrubki i budowę silnika. Stary też wyrzucił go z domu, taka karma. Adam przez dwa lata mieszkał na różnych skłotach i czuł się wtedy chyba najlepiej w życiu. Ciekawostki historyczne o Gdańsku też znał od jednego skłotersa, który kiedyś był nauczycielem, ale potem odbiła mu szajba. Oprócz książek, które i tak były już w całym mieszkaniu, łącznie z kibelem, zaczął znosić do domu różne szpargały, niby-antyki i pamiątki z II wojny światowej. Niestety, raz córka znalazła u niego granat moździerzowy. W reklamówce. Krótko mówiąc, szybko wyeksmitowała go z mieszkania. Rodzina potrafi być naprawdę niewdzięczna.

Adamowi na przykład obcy ludzie dali więcej ciepła i zrozumienia niż jego rodzice. Ostatecznie mógł odgrzebać stare znajomości, wrócić do tamtego życia. Dla wielu ono nigdy się nie skończyło, nie było szaleństwem młodości ani etapem przejściowym. Adam pamiętał, jak kiedyś na plaży Jasiak domagał się pięćdziesiątówki, żeby „rzucić pieniążek panu, który ładnie grał na bębenu”. Podeszli razem. Tym panem okazał się Bolo, kumpel z sopockiego skłotu. Był tak zjarany, że nie poznał Adama, a do Jaśka powiedział: „Gram dla siebie i dla ciebie, nie dla pieniędzy”, i kazał chłopakowi kupić sobie lody.

Adam nie mógł wrócić do skłotowania. Gdzie zabierałby Jaśka i Kubusia? I tak miał małe szanse w ewentualnym starciu sądowym z Dominiką, nie chciał więc całkowicie ich pogrzebać. Chłopcy musieli mieć jakiś wzór ojca, mężczyzny. Może i nie był najlepszym przykładem na świecie, ale się, kurwa, starał. Odkąd poznał Dominikę, robił wszystko, czego oczekiwano. Przestał ćpać. Wpadli, więc się oświadczył. Zrezygnował z zajebistej fuchy w Norwegii, bo żona nie chciała zostawiać rodziców. Urodził się syn, więc ukrócił kontakty z kolegami. Wyremontował mieszkanie, znalazł lepszą pracę, potem drugi etat, bo w drodze był Kubuś. Kurwa, a to wszystko, zanim w ogóle się zastanowił, czy kiedykolwiek chce mieć dzieci. Bo gdyby to zależało od niego, to nie, nie chciałby. Nie widział się w roli ojca. Matka powiedziała mu, że to nie jest przeszkoda i że tak mówi każdy facet. A potem widzi małego ludzika i pęka z dumy. Z pierwszej chwili, gdy dostał do rąk małe zawiniątko, Adam pamiętał tylko strach. Później potworne zmęczenie, bo Dominika dostała depresji i właściwie nie zajmowała się małym. Nie chciała nawet na niego patrzeć. Adam wyblagał matkę, żeby wzięła roczny urlop. Żonę – żeby chociaż odciągała pokarm. Przelewał go do woreczków, zamrażał, potem odgrzewał i karmił Jasia. Nie było to takie łatwe, bo dzieciak wierzgał i wył przez nietolerancję laktozy. Adam woził po lekarzach żonę i syna. Uspokoiło się, kiedy przeszli na mieszanekę, a Domi dostała antydepresanty. Potem pytał, po kiego chuja chce urodzić drugie dziecko. Znowu „zapomniała jednej tabletki”. „Przecież nie usunę”. To musiało mu wystarczyć za odpowiedź. Całe szczęście, że Kubuś nie dał im tak popalić, ale historia z depresją i tak się powtórzyła. Od tego czasu nie pozwalała się dotknąć, dopóki nie założył prezerwatywy.

– Halo, kolego...

Kiedy Adam usłyszał przytłumiony głos, był już prawie na wysokości A Presto. Odwrócił się. Pod ścianą siedział koleś w garniturze i cienkim jasnym płaszczu. Pod kołnierzem miał płamę z treści żołądkowej, waliło od niego wódą.

– Mieszszkasz tu? – zawołał do Adama.

– Nie, tylko pracuję.
– Otworzysz mi? Zapom...niałem kluczy – bełkotał. Składanie słów sprawiało mu wyraźną trudność.

– Nie mieszkam tu, czego nie rozumiesz?

– To t... twój lokal? – Facet podniósł się najpierw na czworaka, potem próbował się wyprostować. W rezultacie zbliżał się do Adama krokiem zombi.

– Nie – uciął Adam i szybko otworzył drzwi.

– Wpuść mnie na kawę. Zapłacę. – Mężczyzna włożył ręce do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. Po chwili na ziemię wypadło pękate etui na karty, kilka setek i trochę bilonu. Facet upadł z powrotem na czworaka i z jakiegoś powodu zaczął najpierw zbierać bilon.

Gość wyglądał jak pan młody, który za szybko się napruł. Adam zaśmiał się i schylił po banknoty. Przeliczył. Osiemset złotych. Pewnym, szybkim ruchem schował do kieszeni pięć stów, resztę podał pijakowi. I tak się nie doliczy. Pewnie w ogóle nie będzie tego pamiętał.

– Ziękuję ci, ziękuję. Weź to, tylko wpuść mnie na kawę. Zimno jest. Bąś szłowiekiem.

– Facet wyciągnął pieniądze w kierunku Adama.

– Pod jakim numerem mieszkasz?

– Czterydziesiąt i cztery... A co?

– Nie pamiętasz kodu?

– Nie.

Adam podszedł do drzwi apartamentowca. Na recepcji paliło się światło, ale nigdzie nie było widać ciecia. Wbił numer i odczekał. W tym czasie mierzył gościa wzrokiem. Okulary z napisem Prada, na przegubie omega za piętnaście koła. Zrobiło mu się aż żal, że w budynku był monitoring. Niby skończył z kradzieżą, ale taka okazja...

– Słucham! – odezwał się głos w domofonie. Adam poczuł, że ma déjà vu.

– Pani zjeździe po męża, bo chyba sobie coś zrobił. Ma rozbitą głowę. No i wstyd trochę przed sąsiadami – zakończył ze śmiechem.

Już miał odejść, ale facet złapał go za ramię. Adam strząsnął jego dłoń nerwowym ruchem.

– Zaszekaj... Masz. – Mężczyzna wcisnął Adamowi trzysta złotych. – Dobry z siebie chłop. Zięki.

Adam schował kasę, wszedł do restauracji, wyłączył alarm i zamknął za sobą drzwi na klucz. „Wszędzie ten sam szajs”, pomyślał. Z szafy na zapleczu wyjął koce, które w chłodne dni kładli na fotelach w ogródku przed knajpą. Umościł sobie posłanie w kantorku i wreszcie zasnął.

Wydawało mu się, że spał pięć minut. Mimo to budzik, który sobie nastawił, wyraźnie pokazywał dziewiątą. Odczytał esemesa od żony. Pisała, że jest „galaktycznym nikkczemnikiem”. Adam zastanawiał się, skąd wzięła to określenie. Wstał, schował koce i poszedł się ogarnąć do łazienki dla personelu. Całe szczęście, dziewczyny trzymały w niej całą kolekcję kosmetyków na wszelki wypadek. Umył zęby palcem i pastą, pachy spryskał damskim antyperspirantem, ochlapał twarz lodowatą wodą i poczuł się minimalnie lepiej.

– O, dobrze, że już jesteś. – Adam wyszedł z łazienki prosto na Jacka, zastępcę szefa kuchni. – Zaczynaj już robić prepa, bo od trzynastej pewnie będzie taka tabaka, że nie zdążysz się wyszczać.

Nikt nie wiedział, dlaczego największy ruch w restauracji określało się „tabaką”, ale wszyscy tak mówili. Z kolei „prep” oznaczał przygotowanie wszystkiego na wydawkę. Krojenie warzyw, gotowanie zup, sosów. Adam lubił to zajęcie. Szatkowanie ziół, siekanie warzyw, nawet cebuli, uspokajało go. Podszedł do półki, na której zwykle zostawiał torbę z nożami, ale tym razem jej tam nie było. Od razu podskoczyło mu ciśnienie. Przerzucił pozostałe torby, trochę za nerwowo i zdecydowanie za głośno. Zaczął szukać niżej, między garnkami.

– Wszystko okej? – zapytał Jacek.

– Ta...

– Tego szukasz? – Jacek wskazał na wieszak obok drzwi, na którym wisiła torba. Adam bez słowa szarpnął ją i wyjął ulubione narzędzie pracy. Przedłużenie swojej ręki. – Ty chyba musisz się trochę posilić, co? Słabo wyglądasz. Chcesz trochę krajówki?

Jacek pomachał mu przed oczami przyciętą papierową słomką. Nie czekając na odpowiedź, wysypał na talerz biały proszek. Adam nie wciągał amfy od lat, ale czuł, że to jedyna rzecz, która mogłaby mu teraz pomóc. I tak długo się opierał, biorąc pod uwagę specyfikę branży. Wielu kucharzy ćpało, Adam po kilku sekundach potrafił rozpoznać kto. U Jacka też od początku zauważył to charakterystyczne wysuszenie, zmieniającą się twarz i wzrok w zależności od tego, czy był na haju, czy miał przerwę. Specyficzne godziny pracy, długie dyżury, konieczność zachowania koncentracji i utrzymania szybkiego tempa sprzyjały sięganiu po wspomagacze. Przyjemne odcięcie pomagało ignorować chamskie odzywki szefa kuchni, a mało który był całkiem zrównoważony.

Jacek zazwyczaj chodził się posilić do kibla, ale od kilku dni kamery na zapleczu nie działały, mogli więc poczuć się swobodnie. Adam zwinął paragon i wciągnął kreskę z talerza. Poczul ostre szczypanie i zaklął.

– Nie to co kiedyś, niestety... – przyznał Jacek. – Że nic nie kręciło w nosie, tylko leciała łezka z oka. Ale i tak daje radę.

– Kurwa, dodają tu sody czy jakiego gówna?

Jacek się zaśmiał.

– Wolisz koks?

– Nie, nigdy na mnie nie działał. Dzięki.

Obraz się wyostrzył, Adam poczuł przyjemny chłód. Chwycił za stalową, zintegrowaną z ostrzem rączkę noża, którego nie pozwalał dotknąć nikomu innemu. Był idealnie wyważony, lekki i dopasowany do jego dłoni, ale teraz Adam miał wrażenie, jakby trzymał w ręku prawdziwe narzędzie mocy, jak pieprzone niezniszczalne Ebonowe Ostrze, które przecinało wszystko. Ciekawe, że akurat ten artefakt przyszedł mu do głowy. Nie był ani wielkim fanem Marvela, ani graczem. Widocznie w jakiejś specjalnej szufladce na pierdoły w mózgu Adama utkwiło, jak o Ebonowym Ostrzu opowiadał Mariusz. Tak, musiał to zapamiętać, bo kumpel powiedział dwie dziwne rzeczy. Że katana nabierała mocy, kiedy zabijało się nią przyjaciół. I że zatruwała umysł właściciela, każąc mu zabijać dalej, jeśli już raz zaznała krwi.

Amfetamina nakręcała Adama, a jednocześnie pozwalała na dziwne odprężenie. Zupełnie jakby jego ciało stało się maszyną, precyzyjnie wykonującą to, czego chciał. Przez kolejnych kilka godzin pracowało mu się lepiej niż kiedykolwiek od ośmiu lat. Każda potrawa, która wyszła tego dnia spod jego ręki, mogła startować w konkursie. Tak sądził. Nagle wpadał na nowe, zaskakujące połączenia, które odmieniały smak dań zawartych w karcie. Goście trzy

razy przekazywali mu pozdrowienia, dwa razy został poproszony do stolika. Wszystko było takie proste i oczywiste. Klarowne. Dopiero koło szesnastej poczuł, że traci ostrość.

– Adam, ktoś ci to przyniósł... chyba żona. – Jeden z kelnerów stał w drzwiach kuchni z walizką na kółkach, którą Adam kupił rok wcześniej, kiedy lecieli do Turcji na rodzinne wakacje.

– Dzięki – mruknął.

Wziął od Jacka kolejną działkę i poszedł do toalety, bo na kuchni kręciło się za dużo osób. Odczytał kolejnego esemesa od żony. „Popadniesz w nicłość”, pisała. Wciągnął kreskę. Tym razem świdrowanie w nosie sprawiło mu ulgę.

Ostatnim zamówieniem tego dnia było danie spoza karty. Jacek chciał spławić kelnera, ale Adam podjął się przygotowania befsztyku tatarskiego. Wiedział, że w lodówce został akurat kawałek idealnej połównicy wołowej, którą trzeba wykorzystać, póki jest świeża. Miała marmurkową strukturę wyznaczoną żyłkami tłuszczu i krwistoczerwony kolor. Zazwyczaj wolał mieć mięso w maszynce, ale tym razem zdecydował się na siekanie. Trzeba było robić to bardzo ostrym nożem, żeby nie miażdżyć tkanek mięsa, tylko je przecinać. Dodał sól, młotkowany pieprz, kapkę wody, oliwy i maggi. Ten ostatni składnik tak naprawdę nie powinien się tam znaleźć, ale dziś Adam miał wbite w zasady. Wymieszał mięso dłonią i uformował w ringu. Zrobił palcem wgłębienie na przepiórcze żółtko. Przygotował dodatki: ogórek konserwowy, szalotkę, marynowane grzybki, musztardę francuską i świeże pieczywo. Kiedy skończył, talerz wyglądał jak dzieło sztuki.

* * *

Sawa rzadko bywała w stolicy. Zanim zaczęła spotykać się z Filipem, zdarzyło jej się to tylko raz, kiedy miała osiemnaście lat. Ukradła ojcu dwie stowy i pojechała na dzień otwarty do Akademii Teatralnej. To był najlepszy dzień w jej życiu. W tamtym życiu. Podobała jej się ulica Miodowa i stary, ale zadbanej budynek szkoły. Studenci pierwszego roku byli bardzo przyjaźni, uśmiechnięci. Pomyślała, że na ich miejscu też byłaby taka radosna. Poznała Annę Seniuk, co było dla niej jak spotkanie z dobrą wróżką z Kopciuszka. No, może nie do końca poznała, bo aktorka przedstawiła się po prostu wszystkim kandydatom, a potem opowiadała trochę o sobie. Sawa stała blisko niej, czuła zapach jej perfum, wsłuchiwała się w piękną dykcję. Ona też mogłaby kiedyś tak pachnieć i mówić, elitarna uczelnia mogłaby zamienić ją w prawdziwą księżniczkę. Potem Jan Englert opowiadał, jak cieszył się, kiedy zdał egzamin do Akademii. Jechał tramwajem i chciał poinformować o tym fakcie wszystkich pasażerów. Sawa wyobraziła sobie, że widzi swoje nazwisko na liście przyjętych, wraca pociągiem do Gdańska, jedzie dwunastką na Siedlce, taka dumna i pewna siebie, że wszyscy ustępują jej miejsca i schodzą z drogi. Najpiękniejsza była jednak chwila, kiedy zebrała się na odwagę i zgłosiła na ochotnika do wyrecytowania fragmentu prozy. Wybrała kwestię, w której Izabela Łęcka mówi o swoim powodzeniu u płci przeciwnej i śmieje się z męskich podchodów, a jednocześnie przyznaje, że czuje się nieswojo, kiedy ktoś nie okazuje jej zainteresowania. Kiedy Sawa skończyła recytować, przez kilka długich sekund słyszała tylko dzwoniącą ciszę i swój oddech. Szumiała jej w głowie, ale to było przyjemne doznanie, jakby napiła się szampana. Podobnie jak to, że

patrzyło na nią kilkadziesiąt osób. Jan Englert dał jej kilka wskazówek i poprosił o powtórzenie kwestii. Uśmiechał się. Chciała na zawsze zatrzymać to, co zobaczyła w jego oczach. Uznanie. Ociągała się, kiedy zajęcia dobiegły końca i wszyscy wychodzili z auli. Sawa szła ostatnia. „Mam nadzieję, że jeszcze tu panią zobaczę”, powiedział profesor, zamykając drzwi. Sawa odleciała. Za resztę pieniędzy, które zostały jej po zakupie biletów, poszła do kawiarni na Nowym Świecie. Siedziała przy oknie, piła macchiato, obserwowała eleganckich ludzi za szybą. Po raz pierwszy nie czuła się od nich gorsza.

Sawa nie dotarła na egzamin. Ojciec zorientował się, że znowu wykradła mu kasę, potwornie się pokłócili i zamknął ją w pokoju. Nie rozumiała dlaczego. Zawsze była jedyną osobą, która potrafiła go rozbroić. Roman Bogucki, któremu wszyscy i w domu, i na ulicy schodzili z drogi, miękł, gdy jego mała córeczka ze słodką minką wdrapywała mu się na kolana i całowała go w policzek. Dzieci czytają dorosłych lepiej niż oni sami. Sawa intuicyjnie zdała sobie sprawę ze swojej mocy nad ojcem szybciej, niż nauczyła się rozpoznawać litery. Zachwycała się tą umiejętnością, trenowała ją i doskonaliła. Pamiętała nawet moment, w którym poczuła się ważniejsza niż matka. To było w Dzień Kobiet. Ojciec przyniósł do domu pękaty bukiet oszałamiających kolorem i zapachem róż i wręczył go Sawie. Żonie dał jednego tulipana. Potem często powtarzał córce, że jest jego ideałem kobiety.

Tym bardziej nie mogła pojąć, że nie pozwala jej jechać do Warszawy. Waliła w drzwi, krzyczała, że wyskoczy oknem, do dziś nie wiedziała, dlaczego tego nie zrobiła. Wypuścił ją dopiero o piętnastej. Pamiętała, bo właśnie o tej godzinie miała zdawać egzamin. Chciała umrzeć. Wszystko potoczyło się tak szybko, jakby bez jej udziału. Wybiegła z domu tak, jak stała, w sukience. Wróciła po kilku dniach. Na drzwiach klatki schodowej zobaczyła klepsydę z nazwiskiem ojca. Zerwała ją. Z tamtych dni zapadły jej w pamięć chłód matki, która nie potrafiła jej utulić, i bolesna cisza w mieszkaniu. Każdy kolejny tydzień, miesiąc i rok był gorszy od poprzedniego, jakby schodziła do coraz niższego kręgu piekła. Na początku wydawało jej się, że jest wolna. Że wreszcie może być sobą, olać szkołę, pić, palić, ćpać i dymać się z każdym, na kogo miała ochotę. A czasem i z tymi, na których nie miała, ale którzy byli bardzo przekonujący lub po prostu silniejsi od niej. Minęło sporo czasu, zanim zrozumiała, że każdy z nich jest taki sam jak jej ojciec. Że tak naprawdę nigdy się od niego nie wyzwoliła. To było jak straszny sen, w którym próbujesz wydostać się z ciemnego, dusznego i ciasnego pomieszczenia, ale kiedy udaje ci się otworzyć jedne drzwi, tuż za nimi są następne. Ojciec stał za nią i śmiał się z jej marnych wysiłków.

Stolica kojarzyła się Sawie z czymś niedostępnym, nie dla niej, dopóki Filip nie zaczął zabierać jej w swoje podróże służbowe. Najczęściej zatrzymywali się w Hiltonie. W ciepłych, brązowych dekoracjach pokoju na dwunastym piętrze nabierała dystansu do miasta. Godziła się z faktem, że przećpała swój moment i nigdy nie zdobędzie Warszawy, a razem z nią całego świata. Ale przecież i tak wygrała, prawda? Sypiała w łóżku za dwadzieścia tysięcy złotych, z mężczyzną, który skończył dwa fakultety, każdego ranka wyciskał jej świeży sok z pomarańczy i grejpfrutów, a w południe pytał, w jakiej restauracji chciałaby zjeść obiad. Jeszcze dwa lata wcześniej w ogóle nie sądziła, że będzie miała mieszkanie, pracę i porządnego faceta.

Tym razem Sawa nie nocowała w hotelu, nie poszła też do swojej ulubionej kawiarni. Przed odjazdem pociągu wstąpiła tylko do drogerii i kupiła kryjący podkład. Nie umiała wykonturować twarzy tak sprawnie jak wizażystka, trochę było jej żal profesjonalnego

makijażu, ale cóż, były rzeczy ważne i ważniejsze. Sawa skończyła nakładać rozświetlacz i spojrzała w małe lusterko puderniczki. Było całkiem niezłe. Zadowolona, zamknęła wieczko i napotkała wzrok siedzącej naprzeciwko starszej pani.

– Kochaniutka, ty lepiej zostaw tego łajdaka. – Kobieta nachyliła się do niej.

– To od mezoterapii. – Sawa uśmiechnęła się łagodnie. – Mam wrażliwą cerę, ale czego się nie robi dla urody...

* * *

Filip cały dzień prowadził zajęcia na uczelni, a potem warsztaty w fundacji, więc mieli spotkać się dopiero późnym wieczorem. Sawa wysłała mu poranne nagranie ze swoim udziałem i była bardzo ciekawa jego wrażeń. Odpisał, że obejrzy w wolnej chwili. W domu czekał na nią bukiet białych tulipanów i kawałek czekoladowego tortu z cukierni na dole. Łazienka była przygotowana do kąpeli. Wokół wanny Filip poustawiał świece, przygotował sól. „Dziękuję, że czytasz w moich myślach”, napisała na komunikatorze. „I jeszcze robię to bezpłatnie”, odpowiedział. Umówili się na dwudziestą drugą w knajpie, która mieściła się na parterze ich apartamentowca. Filip dbał o to, by regularnie chodzili na randki, mimo że mieszkali razem. Uważał, że to dobre dla ich związku. Prosił Sawę, żeby włożyła jego ulubioną bieliznę i sukienkę, czasem dawała się namówić na szpilki, za którymi nie przepadała.

Kiedy zeszła do restauracji, Filip czekał na nią z butelką moeta.

– Polecamy dziś stek z tuńczyka i raviolo con uovo – zaproponował kelner.

Sawa się zawahała.

– Hm... Mam ochotę na coś wyrazistego... Może tatar? – zapytała, choć wiedziała, że nie ma go w karcie. Byli częstymi gośćmi w tym lokalu i zdarzało się, że kucharz przygotowywał im coś na specjalne zamówienie.

– Zapytam i wrócę z odpowiedzią.

– Ja poproszę raviolo – zdecydował Filip. – A skoro tatar, to może kieliszek wódki? – Spojrzał na Sawę. – Albo pinot noir.

– Dziękuję. Będę popijała tatar szampanem.

Kelner odszedł, a Filip uniósł do góry swój kieliszek.

– Nie zdążyłem jeszcze obejrzeć, ale znając ciebie, zrobiłaś furorę w studiu. Za twoje kolejne występy, pani ekspert.

Sawa przełknęła łyk chłodnego, cierpko-owocowego płynu.

– No wiesz, myślałam, że to ty sam nabiłeś te kilkadziesiąt tysięcy wyświetleń. – Nadąsała się. – Kiedyś oglądałeś wszystkie moje występy jako pierwszy...

Filip wiedział, że nie da mu zjeść kolacji, dopóki nie obejrzy nagrania. Sięgnął po telefon i kliknął w link, który mu wysłała jeszcze z pociągu. Założył słuchawki. Był pod wrażeniem jej opanowania i determinacji. Dokładnie wiedziała, co chciała przekazać, i nie pozwoliła odebrać sobie głosu. Mówiła pewnie i profesjonalnie. Jakby sama była terapeutką z wieloletnim doświadczeniem. Uśmiech uznania zastygł mu na twarzy, dopiero kiedy doszedł do momentu z niespodziewanym demakijażem.

– Co? Co myślisz? Całą drogę byłam ciekawa, co powiesz – ponaglała Sawa.

Filip zdjął słuchawki, odłożył telefon, poluzował krawat.

– Nie spodziewałem się takiego... performansu. Nic nie mówiłaś.

– Wymyśliłam to po drodze. Nie podoba ci się?

– Nie o to chodzi. Wyszedłem na damskiego boksera. – Spojrzał na nią z pretensją.

Jego jasna, cienka cera zaróżowiła się lekko.

– No chyba nie mówisz teraz poważnie. – Sawa opadła na oparcie aksamitnego fotela.

– Wyszło zajebicie! W ciągu trzech godzin podróży przybyło mi chyba z dwa tysiące obserwujących! Przecież wiesz, jakie to ważne. Nawet Pudełek o nas napisał.

– O nas? – Filip zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

– No, o moim vlogu, o tym, co robimy dla kobiet.

– Matka dostanie zawału. – Ściszył głos, bo kelner postawił przed nimi talerze. Filip patrzył na swoje ravioli, jakby podano mu do zjedzenia wiadro gwoździ.

– A ty masz co? Trzy lata? I wszystko konsultujesz z mamusią?

– Z kobietą, która jest twoją szefową. Tak tylko przypominam. Obiecałaś jej, że przyhamujesz z kontrowersjami.

– Po pierwsze, niczego nie obiecywałam. Po drugie, co w tym kontrowersyjnego? Boli cię tylko dlatego, że ktoś może powiązać moje siniaki z tobą. Myślałam, że jesteś ponad to. Że nasza praca jest dla ciebie ważniejsza niż własny tyłek. Zresztą... chyba nie musisz się niczego obawiać, prawda?

– Mam nadzieję, że nagrałaś filmik, na którym wyjaśniasz, że to tylko show?

– Nie – ucięła Sawa i urwała kawałek chleba, który podano do tatara. Była głodna i zmęczona.

– Dlaczego? – Filip bardzo się starał, żeby to pytanie zabrzmiało spokojnie, ale czuł, jak w jego klatce piersiowej wybuchają małe pociski.

– Bo straciłabym wiarygodność? – Sawa zawiesiła głos. Miała usta pełne jedzenia.

Filip był wkurwiony, a jednocześnie przeszył go niespodziewany dreszcz pożądania. Tak silny i zaskakujący, że mężczyzna prawie zgiął się na krześle.

– Jestem terapeutą, do kurwy nędzy. Pracuję z osobami doświadczającymi przemocy. Ludzie mi ufają. Wystawiają publiczne opinie w internecie. A moja dziewczyna pokazuje w telewizji limo. Pojmujesz, jak plotki mogą mi popsuć reputację? Muszę być nieskazitelny.

– O co właściwie ten ból dupy, co? I tak mało kto wie, że jesteśmy parą. Nawet w pracy to wielka tajemnica.

– Aha, czyli o to chodzi – zaśmiał się.

– O nie, nie, nie pójdziemy tą drogą. Nie wrobisz mnie znowu w swoje teorie o zemście i pasywnej agresji. Tak, chciałam, żeby ten, jak to nazwałeś, show był mocny i wywołał burzę, ale tylko dlatego, żeby zwrócić uwagę na problem. Nawet nie pomyślałam o naszych prywatnych sprawach. Ani o tym, że możesz strzelić focha o takie głupstwo.

– Głupstwo, którego ze mną nie skonsultowałaś.

– Nie jesteś moim właścicielem.

– Kogo chcesz oszukać, Sawa? – zapytał Filip spokojnym, wyważonym tonem, który Sawa dobrze знаła z pierwszych sesji u niego. – Wiesz, że ze mną to ci się nie uda. Za dobrze cię znam, żeby nie wiedzieć, dlaczego tak naprawdę to zrobiłaś. Uwielbiasz być w centrum uwagi. Szkoda tylko, że tym razem postanowiłaś do tego użyć mojej osoby. Martwi mnie to, bo myślałam, że zaszczyliście już o wiele dalej i nie potrzebujesz uwagi, żeby poczuć się kochana.

Sawa odłożyła widelec i wytarła usta serwetką ułożoną przy talerzu.

– Dziękuję za miłą kolację, celebrującą mój sukces. – Wstała od stolika.

– Co robisz?

– Raczej się przejdę. Nie czekaj na mnie.

„Kolce jak u jeża”, pomyślał Filip. Wiedział, że nie ma sensu jej zatrzymywać. To groziło wybuchem, a on bardzo lubił tę knajpę. Skinął z uśmiechem głową, odprowadził Sawę wzrokiem. Czasem miał wrażenie, że praca nad tą kobietą była syzyfowym wysiłkiem. Zadaniem na całe życie, ale jakże fascynującym. Wypił łyk szampana i zabrał się do ravioli. Było idealne. Po rozkrojeniu pierożka widać było płynne żółtko, a szałwia z odrobiną parmezanu tworzyły wyborną kompozycję.

* * *

– Jak tatar? – Facet w kapturze zagadnął Sawę, kiedy zbliżyła się do przystani kajakowej. Było ciemno, delikatna mżawka osiadła na jej włosach i kurtce, zwilżyła policzki. Normalnie Sawa ignorowała nieudolne próby podrywu i zaczepki, zwłaszcza od nieznamych, zwłaszcza po zmroku i zwłaszcza kiedy była sama, ale teraz bardzo chciała dopiec Filipowi. Zwolniła kroku i odwróciła się. Mężczyzna wykorzystał tę chwilę wahania. – Dodałem do niego dużo serca. Jakkolwiek to brzmi – zaśmiał się i wrzucił niedopałek do wody.

– Jest pan kucharzem w A Presto? – Stała jakieś pięć metrów od niego, nie widziała go dokładnie. Zaczął się zbliżać. – Bardzo smaczny, dziękuję – odpowiedziała.

– Nie pamiętasz mnie, co?

Sawa stanęła i zaczęła, aż mężczyzna do niej podejdzie. Przyjrzała mu się.

– Pamiętam. Byłeś w fundacji... Adam, tak? – Przeszła z nim na ty, skoro on uporczywie robił to samo. – Udało ci się spotkać z naszym prawnikiem?

– Tak, tak...

– Mam nadzieję, że ci pomógł.

Mężczyzna westchnął.

– Nie wiem, czy potrzebuję bardziej prawnika, czy psychiatry... to znaczy... nie ja...

– Mamy w fundacji świetnego terapeuty, zresztą już ci go chyba polecałam. – Nie miała aktualnie wielkiej ochoty na wychwalanie Filipa pod niebiosa, jak zwykła to robić, kiedy rozmawiała z innymi podopiecznymi fundacji. Podczas kolacji zachował się jak ostatni kutas. Nie była już jego pacjentką i nienawidziła, kiedy próbował poddawać ją terapii podczas prywatnych rozmów.

– Taaak, dzięki... Dzisiaj bardziej przyda mi się stary dobry kieliszek wódki. Widzę, że tobie też.

Zaśmiała się. Rzeczywiście wyszła z A Presto krokiem wcielonej furii, nie dało się tego nie zauważyć.

– Mój kumpel jest barmanem w takim małym lokalu na Chlebnickiej. Robi anielskie drinki. Ja zapraszam.

– Hm... miała być czysta wódka.

– Jeśli będziesz chciała, poda ci nawet spirytus. – Widząc wahanie w oczach Sawy, dodał: – Jesteś ze mną sto procent bezpieczna, znasz moje imię, nazwisko, wiesz, gdzie pracuję, możesz wysłać mamie albo mężowi esemesa, że idziemy do Flisaka.

– To nie będzie konieczne – odpowiedziała i ruszyła przed siebie. Faceta chyba zamurowało, bo kiedy się odwróciła, nadal stał przy pobrzeżu. – No idziesz?

Dotarli na Chlebnicką i zeszli schodami wzdłuż ścian pokrytych malowidłami z motywem roślinnym. Na końcu znajdowała się gruba kotara. Usiedli w kącie przy małym okrągłym stoliku. Sawa zamówiła Alicję w Krainie Czarów i podano jej niewielką buteleczkę z korkiem i napisem „shake me”. Kiedy to zrobiła, płyn zamigotał fioletowymi drobinkami. Adam poprosił o cztery „pszczołki”, których nie było w karcie. Wyjaśnił, że jego ulubione shoty przygotowuje się z wódki, syropu imbirowego i soku z cytryny.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na fakt, że Adam był bardzo atrakcyjny fizycznie, przynajmniej według jej dawnych kryteriów. Kiedyś, w poprzednim życiu, pewnie by ją pociągał. Oschły chuligan, odślaniający swoją słabość tylko przed nią. Miał szczupłą twarz z wyraźnie zaznaczoną szczęką, kilkumilimetrowy zarost, ładnie skrojone usta o ciemnoczerwonej barwie, krzaczaste brwi. Przyszczyżone maszynką włosy tworzyły na głowie czarną, gęstą szczecinę, po której co chwilę przejeżdżał dużą dłońią o zgrabnych palcach. Od razu zauważyła ten charakterystyczny, znajomy smutek, który wyrażały jego skośne, zielone oczy. Kiedyś zapytała Filipa, jak to możliwe, że przed nim trafiała tylko na jeden typ mężczyzn. Bez stałej pracy, bez pieniędzy, za to z zestawem cech z podręcznika o zaburzeniach osobowości. Karanych, uciekających w wodę, narkotyki albo niezdrowy seks. Przecież gdyby wiedziała, że jeden z drugim okaże się recydywistą albo alkoholikiem, to nigdy by się z nimi nie umówiła. Filip odpowiedział, że ludzie ulepieni z tej samej gliny wyczuwają się podskórnie. To wyjaśnienie ją zabolalo, nie chciała całe życie być skazana na facetów z marginesu. Nie chciała w ogóle należeć do tego świata, brzydziła się nim. Potem zrozumiała, że może wykorzystać tę informację jako broń. Przeprogramować się. Iść na randkę z kimś, na kogo wcześniej nie zwracała uwagi. Karmić się poczuciem bezpieczeństwa i spokojem, a nie jazdą bez trzymanki.

– Co jest? – zapytał Adam, bo Sawa intensywnie mu się przyglądała.

– Nic. Po prostu... pół godziny temu byłam w innym świecie, a teraz siedzę w podziemiach i piję drinki z nieznanym. Nie spodziewałam się tego.

– Zaraz nieznanym. – Adam udał, że się obrusza. – Dobra, zagramy w grę.

– Jaką?

– Zadajemy sobie po trzy pytania, a jeśli nie będziemy chcieli udzielić odpowiedzi albo skłamiemy, musimy wypić karniaka.

– Pfff... Po co miałabym przyznawać, że kłamię?

– Na tym polega ta gra. Na szczerości. I zaufaniu.

– W takim razie chyba będę musiała najpierw się napić.

– Jeszcze jedna Alicja?

– Nie. – Sawa uśmiechnęła się prowokacyjnie. – Skoro mam pić jakieś karniaki, poproszę o pszczołki.

Adam wstał od stolika, szepnął coś na ucho barmanowi, wszedł za bar i osobiście przygotował shoty dla Sawy.

– Ja zaczynam – zaordynował Adam. – Komu ostatnio coś śpiewałaś?

Popatrzyła na niego, jakby zapytała, czy znęcała się nad zwierzętami.

– Nie sądziłam, że to będą takie trudne pytania! – wypaliła i sięgnęła po shota.

– Nie, nie możesz się poddać od razu! Przecież to prosta rzecz – zaśmiał się.

Sawa poczuła ucisk w klatce piersiowej.

– Ojcu. Ostatni raz śpiewałam mojemu ojcu. Kurwa, Adam, myślałam, że to będą jakieś żarty, a nie terapia! To mam na co dzień. – Próbowała obrócić sytuację w żart. – Teraz ja! Wymień trzy rzeczy, które ty i twoja kobieta macie wspólne.

– Jednak jesteś wredna.

– Ząb za ząb. – Mrugnęła do niego. – I nie odpowiadaj, że dzieci, mieszkanie i samochód.

– Okej... Uch... Co mamy wspólnego... Jesteśmy wybuchowi. Świetnie się właśnie zareklamowałam, wiem. Nie znosimy tańczyć. I lubimy długo spać.

– Wow – powiedziała z ironią. – Musicie być sobie przeznaczeni.

– Naprawdę wredota. Niestety takie lubię. Moja kolej. Bardzo proszę, wymień trzy rzeczy, które masz wspólne z twoim partnerem... jeśli taki jest.

– Mmm... – Sawa spoważniała. Nagle zaczęło jej zależeć na jak najlepszej odpowiedzi na to pytanie. Im dłużej i intensywniej szukała, tym większa pustka pojawiała jej się w głowie. W końcu oboje z Adamem wybuchli śmiechem i wypili po shocie. – Nie, zaczekaj... żartowałam. Jest mnóstwo rzeczy, które nas łączą. Obojgu nam zależy na fundacji i realnej pomocy innym ludziom. Nie śmieję się, traktujemy ten temat bardzo poważnie. To taka nasza życiowa misja i bardzo nas to spaja...

– Okej, okej, nic nie mówię. – Adam odchylił się na krześle i rozłożył ręce w geście poddania.

– No i... yyy... lubimy podróże, dobre jedzenie...

– Yhy, dobre kino, ciekawą książkę i muzykę – naigrywał się Adam.

– Och, no nic nie poradzę, że jestem taka nudna i pospolita.

– Ty pospolita, ta! – parsknął nagle mężczyzna. Zaskoczył tym Sawę. Żeby pokryć zmieszanie, szybko wymyśliła kolejne pytanie.

– O czym marzysz od dłuższego czasu i dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś?

– Eeee... łatwizna! Chciałbym pojechać motocyklem do Pakistanu. A nie zrobiłem tego jeszcze, bo... ślub, kredyt, dzieci... wiadomo, klasyka.

– Wow... serio. Zaskoczyłeś mnie. Czyli też lubisz podróżować. – Parsknęła śmiechem.

– Przepraszam. Mówię poważnie. To supersprawa! Ale dlaczego akurat Pakistan?

– Nie wiem, może dlatego, że jest tam zajebiście pięknie? Nie słyszałaś o Szosie Karakorumskiej? Najwyżej i najpiękniej położonej drodze świata? Królowej szos? – naigrywał się.

– Nieee, ale chyba zaczęłam ci zazdrościć – powiedziała szczerze.

– No widzisz. Może w innym życiu mogłabyś pojechać ze mną.

– Może tak.

Zrobiło się dziwnie. Sawa wstała i wyszła do łazienki. Wiedziała, że powinna wracać do domu, ale było tak przyjemnie, tak ożywczo. Czuła ciepłe mrowienie w brzuchu. Napisała Filipowi, że spotkała starego znajomego i skoczyli na szybkie piwo.

– Wolałabyś umieć latać czy mieć czapkę niewidkę? – zapytał Adam, kiedy wróciła do stolika.

– Czapkę niewidkę, oczywiście. Zawsze chciałam móc wchodzić do mieszkań innych ludzi i bez skrępowań patrzeć, co tam się u nich wyprawia. A może chciałam sprawdzić, czy wszystkie rodziniki są tak powalone jak moja.

– Każda rodzina jest powalona na swój własny sposób... czy jak to tam szło. – Adam udawał, że bełkocze.

– Dobra, teraz moja kolej. Ale najpierw musisz mi powiedzieć, jaka aktorka jest według ciebie najseksowniejsza...

– Penelope Cruz – odparł bez zastanowienia.

– Okej. Więc masz do wyboru: noc ze swoją pierwszą miłością albo z Penelope. Którą wybierasz?

Adam uśmiechnął się łagodnie.

– Niestety, tym razem piękna i powabna Penelopa będzie musiała obejść się smakiem.

– Romantyk!

– E tam. Po prostu tamta dziewczyna bardzo zaszła mi za skórę. Ale skoro jesteśmy przy tendencyjnych i podchwytliwych pytaniach... Wyobraź sobie, że możesz bez żadnych konsekwencji spędzić noc z jakimś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Pierwszą miłością, ulubionym aktorem, whatever. Po wszystkim on dostanie amnezji i zniknie. Ani twój facet, ani nikt inny nigdy się o tym nie dowie. Idziesz w to?

Sawa zagryzła wargi. Oczy jej błyszczały.

– Nie! – ucieła, szybko wypła ostatniego shota i grzmotnęła szkłem w stolik.

Oboje zaczęli się śmiać.

– Ostatnie pytanie! – zawołała Sawa. Oparła się na miękkiej kanapie, rozluźniła. W jej głowie szemrał alkohol. – Czy twoja żona źle cię traktuje?

– Co to za pytanie? – Adam spoważniał.

– Normalne. Zwyczajne.

– Co to znaczy „źle traktuje”? Czy każda żona czasem tego nie robi?

– Teoretycznie, w zdrowym związku, nie powinna. „Źle” to znaczy... – zawahała się, ale alkohol dodał jej odwagi – ...czy zdarza jej się wyzywać cię, obrażać, może uderzyć... Możesz nie odpowiadać albo powiedzieć, że nie, i wypić karniaka.

– Chyba jednak podziękuję. – Oczy Adama zwięzły się w szparki. – Serio, tak to sobie wymyśliłaś? Że przyszedłem do fundacji, bo jestem ofiarą przemocy domowej, tylko wstydę się przyznać? – Był poirytowany.

– Hej, jestem po twojej stronie.

– Okej. Dzięki. Jeśli będzie coś nie tak, dam ci znać – powiedział z ironią.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. To nie moja sprawa. Pomyślałam...

– Po to tu ze mną przyszłaś? Służbowo? Pomyślałaś, że trochę się napijemy i opowiem ci historię swojego życia?

– Nie, przysięgam, że nie przyszło mi to do głowy. Przepraszam, wyszło niezręcznie. Nie chciałam tego. Cofam to pytanie!

– Chodźmy już – zdecydował Adam.

Sawa wystraszyła się, że naprawdę go uraziła. Podopieczni fundacji, zanim nimi zostali, często reagowali w ten sposób podczas pierwszych rozmów. Zwłaszcza mężczyźni zaprzeczali, że w ich domach dzieje się coś złego. Pewnie sami do końca nie wiedzieli, jak nazwać to, czego doświadczali. Za dużo jak na wybuchowy temperament żony, za mało, żeby

zgłosić na policję pobicie. A jednak jakimś cudem zjawiali się w fundacji, choć przecież, gdyby chodziło im tylko o prawnika, mogli poszukać go w innym miejscu. Sawa tłumaczyła to sobie w ten sposób, że chcieli najpierw oswoić się z tym miejscem, w którym, bądź co bądź, stanowili zdecydowaną mniejszość. Cała sytuacja była dla nich zaprzeczeniem męskości. Musieli nabrać zaufania. A ona teraz koncertowo to spierdoliła.

– Wybaczysz mi? – Postanowiła uciec się do swojego wypróbowanego sposobu na małą dziewczynkę. – Odprowadzisz mnie do domu?

Sawa patrzyła, jak napięte ciało Adama znowu się rozluźnia.

– Jasne, chodź.

Wyszli na ulicę i po wcześniejszej wymianie zdań nie było śladu. Napięcie minęło. Znowu żartowali i przekomarzali się. Sawa opowiedziała Adamowi o swoim poranku w telewizji śniadaniowej i o staruszcze w pociągu.

– Masz taki jacht? – zapytał nagle Adam, kiedy szli ulicą Wartką i mijali zacumowane łodzie.

– Nie. Ale może w przyszłości – odpowiedziała. Sama zdziwiła się tym, jak szybko stało się to dla niej normalne i oczywiste. Przecież w każdej chwili mogła namówić Filipa na taki zakup. Musiała przyznać przed sobą, że było to fantastyczne uczucie.

– A chciałabyś? Chociaż na jeden wieczór? – Adam jedną nogą stanął na drewnianym pokładzie.

– Co ty robisz? Oszalałeś? Nie możemy tu wejść! Tu jest... jest... sznurek!

Spojrzała na prowizoryczne zabezpieczenie. Adam zaczął się śmiać.

– Wow. Faktycznie. Jak pokonamy tę przeszkodę? – Podał jej rękę.

Chwilę później siedzieli na drewnianej ławeczce i bujali się na wodzie.

– Nie mów tylko, że to bardziej odważne od tego, co zrobiłaś rano w programie na żywo.

– No dobrze, może nie. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

– Zaskoczyło cię, że ktoś ma takie same jaja jak ty? – prowokował, ale nie podchwyciła tematu. – A tak serio, to szacun. Nie znam nikogo, kto wystąpił w telewizji – powiedział Adam. – A nie, czekaj, jeden mój kumpel był raz w wiadomościach, ale to dlatego, że obrabował kilka salonów jubilerskich. No i nie pokazali jego twarzy.

– Niezłych masz znajomych, kolego...

– To tak samo twój znajomy jak i mój... – odparł.

– Słucham?

– Mieszkał w tym starym domu na końcu Zakopiańskiej.

Sawa poczuła, jak milion rozżarzonych igiełek kłuje ją w twarz. Nagle zalało ją niespodziewane poczucie wstydu.

– Możesz mówić jaśniej? – próbowała jeszcze lawirować. Bardzo chciała natychmiast wyjść z łódki i wrócić do mieszkania. Najlepiej sama, bez żadnych zmor z przeszłości, do której już dawno nie należała i nie chciała, aby cokolwiek jej o niej przypominało.

Widocznie Adam pragnął jednak czegoś zupełnie przeciwnego.

– Ty naprawdę mnie nie pamiętasz, co? – zapytał.

Mówią, że w życiu trzeba mieć szczęście. Jasne, talent czy ciężka praca też się przydadzą, ale nawet to nic nie da, jeśli zwyczajnie nie masz farta. Możesz być najlepszy i wypruć sobie żyły, jednak bez korzystnego zbiegu okoliczności i tak wyżej dupy nie podskoczysz. Los musi ci sprzyjać, tak mówią. Kiedyś też w to wierzyłem. Zdecydowanie za późno zorientowałem się, że szczęście przychodzi tylko do tych, którzy wierzą w siebie. I w to, że ostatecznie dostaną wszystko, czego pragną. Jest jeszcze jeden ważny komponent tej układanki: umiejętność blefowania. Udawaj, aż ci się uda. Śmiały szczęście sprzyja, a biednemu zawsze wiatr w oczy. To prawda – i przekonałem się o tym na własnej skórze. Dosłownie.

Kiedy awansowałem ze zmywaka na pomoc kuchenną, szef kazał mi przygotować eton mess. To taki tradycyjny deser z bezy, bitej śmietany i musu truskawkowego, kiedyś podawany brytyjskim snobom. Normalnie pomocnik nie wykonuje tak zaawansowanych rzeczy, ale cukiernik zachorował, a ja aż rwałem się do roboty. Byłem tak samo zajarany co głupi, bo dzień wcześniej nie wstawiłem truskawek do lodówki i kiedy zacząłem je miksować, zorientowałem się, że sfermentowały. Szef kuchni to był kawał skurwysyna, wywalał ludzi z roboty za dużo mniejsze fakapy. Bez mrugnięcia okiem dokończyłem więc deser i ułożyłem go w kryształowym pucharu w najpiękniejszy artystyczny pierdolnik, jaki ten złamas widział na oczy. Dziesięć minut później zostałem poproszony na sałę. Mało się nie zesrałem w gacie, kiedy okazało się, że stara raszpla, która zamówiła deser, jest znaną blogerką kulinarną. Osobiście i przy szefie kuchni, który był jej znajomym, chciała zapytać, cóż to za tajemniczy składnik sprawia, że mus ma tak oryginalny smak. Myślałem, że już po mnie, więc bez zastanowienia wypaliłem, że to cointreau. I tak miałem przejebane, nawet gdyby nabrała się na ten motyw. Mój szef nie tolerował żadnych odstępstw i modyfikacji w przepisach. I wtedy ta typiara wypaliła, że to najlepszy eton mess, jaki jadła w życiu. Wróciłem do kuchni dumny jak, kurwa, paw i patrzyłem przez szybę w drzwiach, jak gościówka wcina moje sfermentowane truskawki.

To w sumie dość głupi przykład, zwłaszcza w kontekście tego, co wydarzyło się później. W każdym razie wtedy jeszcze wierzyłem, że po prostu miałem farta. W całym moim smutnym, nędznym życiu, przypominającym raczej rzeźbienie w gównie, wypływanie na powierzchnię nie zdarzało się zbyt często. A może właśnie w tym tkwił mój problem? Byłem zbyt dumny, żeby realnie ocenić swoją sytuację i odpowiednio wcześniej wykorzystać koła ratunkowe? Głupi ma szczęście, mówią. Ja bym dodał: mądry ma wiarę w siebie.



TERAZ

Barbara Modra wpatrywała się w wynik badań wymazów pobranych od Dominiki Hinz. Ekspertyza jednoznacznie potwierdzała, że to nie do niej należała krew, którą znaleźli na ścianach i meblach w mieszkaniu Adama Hinza, a nawet na jego ciele. Prokurator do ostatniej chwili zaklinała rzeczywistość, liczyła, że jeden test przesądzi o sprawie. A przynajmniej mocno ułatwi jej rozwiązanie.

- Pani prokurator, przyszła Sawa Bogucka. - Zza drzwi wychyliła się młoda aspirantka.
- Kto?
- Mówi, że dostała wezwanie jako świadek w sprawie Adama Hinza.
- Ach, tak, okej, zawołaj ją.

Modra dołała gorącej wody do kubka z wystygłą kawą. W tym momencie pożałowała, że w ogóle kazała wysłać Boguckiej wezwanie. Mogła po prostu posłać do niej Dymka na krótką pogawędkę i załatwić to od ręki. Liczyła jednak, że Bogucka wniesie do sprawy jakieś kluczowe informacje, i nie chciała ich przegapić. Najwyraźniej się przeliczyła, skoro materiał dowodowy wykluczał Dominikę Hinz.

- Yyy... co robisz? - Modra wpatrywała się w aspirantkę, która wniosła do jej gabinetu drugie krzesło i próbowała je teraz gdzieś wcisnąć.
- Ta Bogucka przyszła z adwokatem.
- Po chuj? - wypaliła prokuratorka.

Sawa Bogucka stała w drzwiach ze starszym mężczyzną. Wyglądało to tak, jakby tatuś przyprowadził na rozmowę z dyrektką szkoły niesubordynowaną córeczkę. Bogucka na żywo wyglądała jeszcze młodziej niż w telewizji. Wrażenie potęgował jej strój: trampki, kwiecista sukienka, fryzura z francuską grzywką. Miała bladą twarz, bez makijażu, i cienie pod oczami. Starszy, otyły, łysiejący mężczyzna przedstawił się jako mecenas Gojke.

- Imię i nazwisko? - zaczęła prokurator, kiedy jej goście usiedli.
- Sawa Bogucka - odpowiedziała cicho dziewczyna.
- Pracuje pani w Fundacji... - Modra nie pamiętała nazwy.
- Junona - odparła grzecznie Sawa. - Jestem prezesem. Od niedawna. Wcześniej kierowałam działem public relations.

Gojke podniósł wzrok na swoją klientkę. Słowo „dział” było zdecydowanie na wyrost, jeśli wziąć pod uwagę, że Sawa pracowała w nim sama.

– Znała pani Adama Hinza?

Bogucka pokiwała głową.

– Musisz odpowiedzieć „tak” lub „nie” – uprzedził prokuratorce Gojke.

– Tak, znałam Adama – powiedziała Sawa.

– Jakie stosunki was łączyły?

– Mmm... powiedziałaabym, że koleżeńskie. Oboje wychowaliśmy się na Siedlcach, znaliśmy się wtedy z widzenia. Szczerze mówiąc, nie pamiętałam Adama, on mnie chyba lepiej. Kiedy przyszedł do fundacji, nie poznałam go, ale później przejęłam się jego sytuacją, namawiałam na konsultacje u psychologa, ale Adam... on chyba wypierał fakt, że doświadcza przemocy. Mężczyznom o wiele trudniej przyznać się do tego niż kobietom. – Sawa zaczęła pociągać nosem. Wyjęła chusteczkę z torebki.

– Na czym polegała ta przemoc?

– Hm... na biciu, upokarzaniu, wyzwaniu, groźeniu... – zaczęła wylizywać.

– Rozumiem, że mówimy o groźbach ze strony małżonki ofiary, Dominiki Hinza? – zapytała znudzonym tonem prokurator.

– Tak. Ona prawdopodobnie ma schizofrenię albo chorobę afektywną dwubiegunową.

Nie jestem pewna.

– Zna ją pani?

– Nie, nigdy jej nie widziałam. O wszystkim opowiadał mi Adam. Ale widziałam siniaki i zadrapania na jego ciele – dodała szybko. – I esemesy od niej, więc nie sądzę, żeby wymyślał, chociaż... sama już nie wiem.

– Co ma pani na myśli?

– Wiem, że nie pozostawał jej dłużny.

– To znaczy? – dopytała Modra.

– To chyba była taka toksyczna relacja. Kłócili się i godzili. Nienawidzili i wracali do siebie. Wyzwiska i rękoczyny były tam na porządku dziennym. Nie umieli inaczej.

– To też wie pani od pana Hinza?

– Przyznał, że zdarza im się szarpać, dochodziło do przepychanek, choć twierdził, że nigdy jej nie uderzył. Ona robiła to ponoć regularnie, za każdym razem, gdy się kłócili. Rzuciła w niego talerzami, okładała go pięściami. Słyszałam też, jak rozmawiał z nią przez telefon. Było w tym dużo agresji.

– Musiał mieć do pani duże zaufanie, skoro pokazywał pani wiadomości i rozmawiał przy pani z żoną – zauważyła prokuratorka.

– Tak naprawdę byłam chyba jedyną osobą, która wiedziała, co rzeczywiście działo się w tym domu. Traktował mnie jak przyjaciółkę. Do czasu. – Sawa Bogucka zacięła się. – Gdybym tylko zrobiła coś wcześniej...

– Czy pan Hinza wspominał, że jego żona przyjmuje jakieś leki?

– Adam latami nie mógł namówić jej na leczenie. Wkurzała się na niego jeszcze bardziej. Ale ostatnio rzeczywiście coś wspominał. Ten nowy facet chyba miał na nią dobry wpływ.

– Wspomniała pani, że Dominika Hinza groziła mężowi...

– Tak.

– Na ile to było realne, pani zdaniem?

– Nie wiem. Naprawdę... Nie jestem lekarzem, nie umiem ocenić, na ile realne są groźby schizofrenika. W fundacji dbamy o to, aby nie stygmatyzować osób z doświadczeniem kryzysu psychicznego, ale w tej sytuacji...

– Myśli pani, że mogła wprowadzić swoje groźby w czyn?

– To znaczy? – Sawa wyglądała na zdezorientowaną. Spojrzała na mecenasa Gojkego.

– Czy myśli pani, że mogła zamordować swojego męża? – wyjaśniła spokojnie i z uśmiechem prokurator Modra.

– Przecież to ja go zabiłam – powiedziała Sawa zimnym głosem.

Modra wlepiła w nią wzrok.

– Chwileczkę, chwileczkę. Proszę tego nie protokołować, to nie jest przyznanie się do winy. – Łagodna twarz mecenasza stężała, jego głos był ostry i zdecydowany. – Moja klientka nadal jest w szoku po tym, co ją spotkało. Została brutalnie pobita przez Adama Hinza, sama ledwo uszła z życiem. Musiała się bronić. Mamy ze sobą wyniki obdukcji. – Adwokat położył dokumenty przed Barbarą Modrą, która nadal próbowała objąć umysłem sytuację.

– Zaraz... – zacięła się. – Była pani z Adamem Hinzem w noc, kiedy został zamordowany?

– Tak jak wspomniałem, moja klientka nie przyznaje... – wtrącił ponownie Gojke, ale prokurator uciszyła go gestem dłoni.

– Panie mecenasie, dlaczego przychodzą państwo do mnie dopiero teraz? – Głos prokuratorki był ostry. – Minął tydzień.

– Byłam na komisariacie od razu, gdy dowiedziałam się, że Adam nie żyje.

– Przed chwilą stwierdziła pani, że go zabiła... – wytknęła jej Modra. – To jak inaczej miała się pani dowiedzieć?

– Doszło do bójki. Moja klientka się broniła. Nie miała świadomości, że nastąpił zgon. Opuściła mieszkanie w szoku. Następnego dnia zgłosiła się na komisariat.

Na potwierdzenie swoich słów Gojke wyjął protokół. Barbara Modra nie mogła uwierzyć w to, co słyszy i widzi. Jakiś cep spisał zeznania Boguckiej i zapomniał powiedzieć o tym prokuratorowi. A ona wezwała kobietę w charakterze zwykłego świadka, bo myślała, że wyciągnie z niej informacje o Dominice Hinz.

– Proszę zaczekać. – Modra wstała i wyszła z gabinetu.

– Aresztują mnie teraz? – zwróciła się do adwokata Sawa.

– Nikt cię nie aresztuje. Na razie jesteś tylko świadkiem, a z tego, co widzę, mają tu niezły bajzel. Nawet jeśli ta półprzytomna pani prokurator złoży wniosek o tymczasowy areszt, co i tak trochę potrwa, to poprosimy o zastosowanie innych środków zapobiegawczych. Ola Gawryłow bez problemu za ciebie poręczy. Poza tym masz nieposzlakowaną opinię, nigdy nie byłaś karana, a do tego zgłosiłaś się z własnej woli, żeby pomóc w postępowaniu. Sędzia musi się przychylić – zakończył Gojke z naciskiem. Wiedział, że to nie była do końca prawda, ale nie chciał, żeby Sawa się teraz rozsypała. – Nie możesz tylko gadać takich bzdur, że go zabiłaś! Byłaś w stanie chwilowej niepoczytalności. Panicznie bałaś się o swoje życie. Zrobiłaś, co musiałaś. Każdy zrobiłby w odruchu to samo na twoim miejscu.

Sawa kiwała opuszczoną głową.

– Przepraszam. Może gdybym lepiej się przygotowała...

– Nie masz być przygotowana – przerwał jej adwokat. – Masz być naturalna, Sawa. Jesteś niewinną ofiarą, która przypadkiem stała się sprawcą.

– Jestem ofiarą – podchwyciła Sawa zdecydowanym tonem.

– Wiem. Aktorstwo zostaw mnie.

Mecenas Gojke nie miał żadnych powodów, by nie wierzyć w niewinność Sawy. Zawsze wierzył w niewinność swoich klientów. Mimo to doskonale wiedział, że proces sądowy – a nie miał wątpliwości, że do niego dojdzie – zawsze jest swego rodzaju spektaklem. Sala sądowa pełniła funkcję sceny, świadkowie, a nawet oskarżeni mogli być naturszczykami, ale oskarżyciele i obrońcy zawsze musieli grać swoje role z największym profesjonalizmem. Po to przywdziewali togi, po to pisali poruszające mowy i uczyli się ich na pamięć, a potem wygłaszali, modulując głos w odpowiednich momentach. To był teatr.

– Zapraszam państwa. – Prokurator Modra uchyliła drzwi na korytarz i wskazała im drogę do pokoju przesłuchań.

Kiedy usiedli w środku, otworzyła przyniesioną przez mecenasa teczkę z ekspertyzą i zdjęciami przedstawiającymi obrażenia na ciele Sawy. Siniaki na lewym ramieniu, lewym barku, prawej ręce i prawym biodrze. Niezbyt głęboka rana nad lewą piersią. Powierzchnowe zadrapania na tym samym obszarze. Rana cięta nad obojczykiem. Krótkie rany klute po obu stronach brzucha. Zadrapanie od ostrza noża na lewym przedramieniu. Rana cięta na tylnej powierzchni lewego łokcia. Rana kluta na prawym udzie, cięto-tłuczona rana głowy... Modra przestała czytać. Pomyślała, że gdyby weszła do pokoju, w którym znalazłaby pobitą Bogucką i leżącego przy łóżku Hinza, w pierwszej chwili pomyślałaby, że to jej obrażenia są śmiertelne.

Może sprawczynią nie była Dominika Hinz, jak wcześniej zakładała prokuratorka, ale sprawa wciąż wyglądała na mało skomplikowaną. Wszystko wskazywało na to, że naćpany Hinz stłukł Bogucką na kwaśne jabłko, nie spodziewał się tylko, podobnie jak ona sama, że uda jej się go powstrzymać w tak dramatyczny sposób. Trzeba było tylko ustalić, dlaczego w ogóle doszło między nimi do walki.

– W niedzielę dwudziestego ósmego lutego pojechała pani do mieszkania pana Hinza na Suchaninie, tak? Dlaczego?

– Adam mnie o to poprosił. Zadzwoił koło osiemnastej, mówił, że musi z kimś pogadać, że już tego nie wytrzyma, że jest na skraju. Kilka dni wcześniej stracił pracę, musiał opuścić mieszkanie, które opłacała fundacja, chyba chciał wprowadzić się do siebie na Zakopiańską, ale odkrył, że żona mieszka tam z innym mężczyzną. To wszystko go przytłoczyło. Bałam się, że coś sobie zrobi, więc pojechałam do niego. Od razu zauważyłam, że pił. W pokoju stała opróżniona do połowy butelka whisky. Wydaje mi się, że był pod wpływem czegoś jeszcze. Miał poszerzone źrenice, był pobudzony. – Ręce Sawy drżały, głos zrobił się ochrypły. – Przepraszam, zaschło mi w gardle. Czy mogę prosić o coś do picia? – Spojrzała na prokuratorkę.

Modra wyszła z pokoju przesłuchań i po chwili wróciła ze szklanką wody, którą postawiła przed dziewczyną.

– O której była pani na miejscu?

– Koło dwudziestej drugiej. Nie mogłam wcześniej, miałam imprezę służbową, ale wracając do domu, postanowiłam zajrzeć do Adama.

– Jak pan Hinz był ubrany, kiedy otworzył drzwi?

Sawa skupiła wzrok na długopisie prokuratorki.

– Miał na sobie szare spodnie dresowe.
– Tylko tyle? – upewniła się Modra.
– Tak. Nie miał koszulki. Bose stopy.
– Nie spieszyło to pani?
– Może trochę. Znaliśmy się. Nie zwróciłam na to większej uwagi.
– Proszę opisać, co wydarzyło się później. Tak dokładnie, jak tylko pani pamięta – poprosiła Modra.

Sawa wypiła duszkiem pół szklanki wody, wytarła usta wierzchem dłoni i odchrząknęła.

– Długo rozmawialiśmy. Pocieszałam go, próbowałam przekonywać, że wszystko się ułoży, że powinien porozmawiać z jakimś specjalistą. Miałam na myśli psychologa albo psychiatrę, bo podejrzewam, że Adam cierpiał na depresję. Zaproponowałam, że umówię go z Filipem. To znaczy z Filipem Gawryłowem, moim narzeczonym. Jest terapeutą w naszej fundacji. – Sawa zaczęła, aż prokuratorka zanotuje tę informację, i kontynuowała. – Adam nie chciał o tym słyszeć. Powiedział... on powiedział, że ja mu wystarczę. Nie wiem, chyba coś mu się pomyliło. Może źle zrozumiał moje intencje... – Sawa wzięła głęboki oddech. – Przytulił mnie. To było trochę niezręczne, ale pozwoliłam mu. Pozwoliłam, bo wydawało mi się, że tego potrzebuje – tłumaczyła się desperackim tonem. – Ale on pocałował mnie w szyję. Potem w policzek. Trzymał moją głowę... – Dziewczyna zademonstrowała, w jaki sposób chwycił ją Adam. – To był silny uścisk, trudno było mi się wyswobodzić. Powiedziałam, że muszę wracać, ale Adam mocno mnie trzymał. Widząc mój opór, rozerwał mi sukienkę.

– Gdzie to było? W którym miejscu pomieszczenia?

– Przy biurku w sypialni. Staliśmy, ja opierałam się o biurko, na którym Adam chciał mnie położyć. Myślałam, że przemówię mu do rozsądku. Powiedziałam, żeby przestał i pozwolił mi wyjść. Stwierdził, że nigdzie mnie nie puści, dopóki nie przyznam, że czuję do niego to co on do mnie. Że kocha mnie od lat, że szaleje za mną... – Sawa z niedowierzaniem kręciła głową.

– Czy pan Hinz mógł kiedykolwiek mylnie odczytać sygnały od pani? – zapytała Modra.

– Słucham? – wzburzyła się Sawa. – Mamy dwa tysiące dwudziesty drugi rok, obalamy patriarchat i dziaderski system, a pani mnie pyta, czy prowokowałam do gwałtu? Takie pytania są jeszcze w ogóle legalne? – Spojrzała na adwokata.

– Pan Hinz panią zgwałcił? – zapytała spokojnie Modra.

– Nie, ale prawdopodobnie by do tego doszło, gdybym jakimś cudem go nie powstrzymała.

– Więc staliście przy biurku, Hinz trzymał panią za głowę i próbował położyć na białce. Co było dalej?

– Próbowałam go uspokoić tak, jak uczyłam się na różnych kursach w fundacji. Mówiłam, że przecież się przyjaźnimy, że na pewno nie chce zrobić żadnego głupstwa, ale nic do niego nie trafiało. Złapał mnie mocno za ramiona i przygniótł do ściany. Kiedy powiedziałam, że to boli, znowu złapał mnie za głowę i uderzył nią o ścianę. Poczułam zawroty. Odruchowo dotknęłam tego miejsca i zobaczyłam krew na palcach. Byłam w takim szoku, że nie mogłam wyartykułować nic sensownego, więc wołałam tylko: „Adam, przestań, proszę”... – Sawa przerwała i upiła łyk wody. – Rzeczywiście na chwilę się zatrzymał. Położył

mi głowę na piersi, o tu... i powiedział, że przestanie, jeśli powiem, że go kocham. Byłam tak przerażona... miałam nadzieję, że da mi spokój i uda mi się wyjść, zrobiłam więc to, o co poprosił. Powiedziałam, że go kocham, zaczęłam kłamać, że bałam się do tego przyznać, bo przecież mam narzeczonego. Adam wyglądał, jakby mi uwierzył. Poprosiłam, żebyśmy usiedli i spokojnie porozmawiali. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie pamiętał, że kilka sekund wcześniej rozbił mi głowę, a ja starałam się nie zwracać na to uwagi, żeby jakoś przejąć kontrolę nad tą sytuacją. Zapytałam, czy przynieść mu z kuchni coś do picia. Kiwnął głową. Zamiast w prawo do kuchni skręciłam w lewo do drzwi wyjściowych, ale udało mi się tylko złapać za klamkę. Adam podciął mi nogi metalową rurką, którą nagle skądś wyjął. Upadłam. Szamotaliśmy się. Złapałam za zasłonę, żeby wstać, potem za lampę, która stała przy łóżku. W pewnym momencie poczułam ukłucie w brzuchu. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że Adam dźga mnie nożem. Swoim nożem szefa kuchni.

Sawa trzymała się za brzuch, jakby próbowała osłonić to miejsce przed kolejnym atakiem. Oddychała ciężko. Modra wysłuchiwała w swojej karierze setek podobnych relacji, skłamałaby jednak, gdyby powiedziała, że słowa Sawy nie robiły na niej żadnego wrażenia. Czuliła, że ma ściśnięte gardło. Bogucka opisywała zdarzenie w tak sugestywny sposób, że Modra czuła się, jakby była jego bezpośrednim świadkiem.

– Skąd w sypialni wziął się nóż? – zapytała prokuratorka.

– Nie wiem... Może zabrał go z pracy i zostawił w torbie przy łóżku, zamiast zanieść do kuchni?

– Co było dalej?

– Zapytałam go: „Co ty robisz? Chcesz mi zrobić krzywdę?”. Nie odpowiedział, tylko dalej mnie dźgał, na osłep. W pewnym momencie powalił mnie na łóżko i przytknął mi nóż do szyi. Pomyślałam tylko: „To koniec”. Kopnęłam go. Nóż wyleciał mu z ręki na podłogę. Adam schylił się, żeby go podnieść. Rozpaczliwie szukałam na łóżku czegokolwiek, czym mogłabym się obronić, uderzyć czymś Adama, ale na łóżku leżała tylko apaszka, w której przyszyłam. Chwyciłam za nią i zanim Adam się podniósł, zarzuciłam mu na szyję... – Sawa przerwała, popatrzyła na mecenasa Gojkego, który pokiwał uspokajająco głową.

– Proszę kontynuować – zachęciła prokurator. – W jakiej pozycji był wtedy pan Hinz i gdzie pani się znajdowała?

– Klęczałam na brzegu łóżka, za Adamem, a on siedział na podłodze. – Sawa zaczęła płakać. – Myślałam, że tylko go unieruchomię. Nie jestem silna. Nie wiedziałam, że zrobię mu krzywdę. Tylko się broniłam.

– Użyła pani krępulca? – dopytała Modra.

– Słucham? Nie wiem, co to jest...

– Czy użyła pani jakiegoś narzędzia, może długopisu, żeby pomóc sobie zacisnąć pętlę?

– Nie – zaprzeczyła Bogucka gwałtownie. – Tylko zaciskałam ją z tyłu, ale przysięgam, nie wiedziałam, że tak mocno. Adam przestał się ruszać, więc zabrałam swoje rzeczy i wybiegłam z mieszkania. Myślałam, że na chwilę stracił przytomność.

W pokoju przesłuchań nastała cisza, słychać było tylko nierówny oddech Sawy. Mecenas Gojke złapał ją za przedramię w uspokajającym geście.

– Czuliła pani wcześniej jakieś zagrożenie ze strony pana Hinza?

– Od pewnego czasu rzeczywiście zachowywał się dziwnie. Natarczywie. Kilka razy poczułam dyskomfort...

– To znaczy?

– Na przykład dwa, może trzy razy zdarzyło mu się wysłać mi wiadomość, że myśli o mnie albo tęskni za moim uśmiechem. Założyłam, że to przyjacielskie wyznanie, ale poprosiłam, żeby nie pisał mi takich rzeczy. Koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego tak przejęłam się jego sytuacją. Obawiam się, że wziął moją przyjacielską troskę za przejaw głębszego uczucia. Miałam wrażenie, że chciał wydobyć ode mnie jakieś wyznanie. Wyjaśniłam mu krótko, że to moja praca, a jego po prostu lubię. Tydzień się nie odzywał, po czym znowu przysłał wiadomość, że dłużej tak nie wytrzyma i musimy koniecznie porozmawiać, że pójdzie do Filipa. Ucieszyłam się, bo to znaczyło, że był gotowy na terapię.

– Ma pani tę korespondencję?

– Nie pamiętam. Muszę sprawdzić w telefonie.

– Myślę, że to wystarczy na dziś. Moja klientka jest bardzo zmęczona – odezwał się Gójke.

– Co teraz ze mną będzie? – Sawa przenosiła wzrok z prokuratorce na adwokata.

– Chciałabym pobrać od pani próbki DNA, żeby porównać z materiałem znalezionym w mieszkaniu pana Hinza.

– Rozumiem. A teraz mogę tak po prostu iść do domu?

– Na razie tak. – Barbara Modra otworzyła Sawie drzwi.



WTEDY

Adama obudziło szarpanie. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że Jacek trzyma go za ramiona i nim potrząsa.

– Kurwa, Adaś, tak to nie będzie...

Adam powoli usiadł na kanapie i próbował skalibrować rzeczywistość. Szło mu opornie. Poprzedniego wieczora była ostra tabaka i trochę przeholował z amfą. W efekcie nie mógł zasnąć w nocy, więc postanowił uluć się wódką. Niewiele to dało, oczy zamknęły mu się dopiero o piątej nad ranem. Był nieprzytomny.

– Sorry, kimnąłem tylko na chwilę. – W zasadzie była to prawda.

– Na chwilę, kurwa, weź mi nie ściemniaj. Myślisz, że nikt nie zauważył twojej torby w szafie? I że się w końcu nie jarnąłem, dlaczego zawsze jesteś w lokalu pierwszy i zostajesz do końca?

– To przypadek.

– Adaś, nie pierdol, dobra? Ja to ja. Póki zapierdalasz, to wsio mi ryba. Tylko lojalnie uprzedzam, że za dwa dni przychodzi nowy szef kuchni i jak podpierdoli właścicielce, że urządziłeś tu sobie noclegownię, to wylecisz na ryj.

– Dobra, nie drzyj się, kurwa... – Adam skrzywił się z bólu i potarł skronie.

– To wypad mi stąd. Masz dziś wolne. Znajdź sobie jakieś mieszkanie, pogódź się z żoną, nie wiem... I może do fryzjera jeszcze idź.

Adam ochlapał twarz w łazience, zmienił T-shirt i włożył bluzę. Dziesięć minut później był już na zewnątrz. Zastanawiał się, czy woli po raz kolejny iść pod drzwi swojego mieszkania i spróbować dogadać się z Dominiką, czy zacząć się rozglądać za innym lokum. Stwierdził, że nie zaszkodzi przedstawić żonie racjonalne argumenty. Jeśli szef wywali go z roboty za spanie na zapleczu, ona będzie tak samo stratna jak on. Kiedy szedł w stronę Głównego Miasta, wydawało mu się, że w tłumie mignęła mu znajoma sylwetka.

– Sawa! – zawołał, ale kobieta się nie odwróciła. Dwie sekundy później stracił ją z oczu.

Dominika nie odbierała telefonu. Wysłał jej pięćdziesiątego z serii esemesa z prośbą o cywilizowaną rozmowę. Odpowiedziała po sekundzie, że nie życzy sobie nękania ani

traktowania jej z wyższością. Nie miał pojęcia, o czym ona bredzi. Przestał to rozumieć wiele tygodni temu.

* * *

Sawa przeszła przez kładkę prowadzącą na Ołowiankę, wyspę, która oddzielała Motławę od Kanału na Stępcie i zawdzięczała swoją nazwę dawnym magazynom ołowiu. Sawa dobrze pamiętała czasy, w których te tereny, łącznie z sąsiednią Wyspą Spichrzów, straszyły, a nie przyciągały turystów. W chaszczach można było znaleźć pobite butelki, pety, a czasem zużyte strzykawki. To tutaj, szukając ustronnego miejsca, Sawa zaciągnęła chłopaka, z którym postanowiła stracić dziewictwo. Kazała mu zdjąć kurtkę i położyć ją na ziemi. Potem patrzyła w gwiazdy. Byli w samym centrum miasta, a jednocześnie zupełnie odcięci od świata. Wtedy wydawało jej się to szczytem romantyzmu. Teraz znajdowały się tu eleganckie hotele, luksusowe apartamenty i restauracje. W sezonie trudno było przejść w tłumie turystów i znaleźć jakąś wolną ławkę czy stolik. Wszystko nowe i piękne, tak samo jak jej obecne życie. Tamto trzeba było wyplenić, rozjechać walcami i zabetonować. Zasiać świeżą trawę i kwiaty.

Na niewielkim skwerze obok filharmonii i koła widokowego zamontowano przestronne drewniane leżanki z widokiem na Motławę. Sawa ucieszyła się, kiedy jedną z nich zwołniła jakaś zakochana parka. Ułożyła się wygodnie, nasunęła na nos ciemne okulary, potargała włosy, żeby wyglądały na bardziej puszyste, i sprawdziła w lusterku, czy nie zjadła całej pomadki z ust. Włączyła w telefonie funkcję nagrywania.

– Chcę wam dziś opowiedzieć historię moich blizn na kolanach. Przechodziłam ostatnio przez furtkę w pewnej dobrze mi znanej bramie. Znam tę drogę na pamięć i niestety tak się po niej poruszam. W bramie jest furtka, zazwyczaj otwarta. Tym razem jednak było inaczej. Nie zauważyłam metalowego progu i bach! – Skrzywiła się, jakby zabolalo ją dokładnie w tym momencie. – Wywaliłam się jak dzieciak. Ten dzieciak jest tu ważny, bo od razu poczułam wstyd, żal i wkurw. Potem rozmawiałam o tym z moim facetem. A właśnie. W tym miejscu jestem wam winna wyjaśnienia. Nie, to nie mój partner mnie pobił. Jest cudownym, kochającym człowiekiem, z którym jestem całkowicie bezpieczna. Kocham cię, Filip. – Sawa cmoknęła do obiektywu. – No więc Filip podzielił się ze mną historyjką o tym, jak sam wywalił się kiedyś na rowerze i też poczuł się jak dziecko. Tylko że... no właśnie. U niego skojarzenia były pozytywne. Czuł dziecięcą ekscytację, wróciły wspomnienia o podwórkowych zabawach i nawet jeśli one kończyły się jakimiś bęciami czy płaczem, to ostatecznie dominującym uczuciem była radość. – Sawa upiła łyk kawy z termicznego kubka. – Przyszło mi wtedy do głowy, że takie różnice w postrzeganiu pewnych zdarzeń dużo mówią o naszej przeszłości. A właściwie o kodach, które mamy wgrane. Ostatnio moja znajoma dziennikarka napisała artykuł, który zaczynał się od słów: „Czułam, jakbym codziennie była na wojnie”. – Wzięła głębszy oddech, bo poczuła, że głos zaczyna jej drżeć. – Należę do tego klubu. Cały tekst traktuje o nerwicy lękowej, której już nie mam, dziękuję, terapię, ale znam to uczucie bardzo dobrze. Miałam objawy PTSD silniejsze niż niejeden żołnierz, który wrócił z pola bitwy. Niestety, niektóre pamiętki po tym stanie, nawet zaleczonym, zostają. I czasem przypominają o sobie, uwierzcie mi, w bardzo nieoczekiwanych momentach. Na przykład

słyszysz nagły, głośny dźwięk i cała się w sobie kulisz. To samo dzieje się, kiedy blisko ciebie odbywa się jakiś nieoczekiwany ruch. Chowasz się w środku, zamarzasz, drętwiejesz, czekasz na cios, na to, że za moment się rozpadniesz... – Sawa mówiła coraz głośniejsze i intensywnie gestykulowała, zwracając na siebie uwagę przechodniów, ale sama nie zwracała na nich uwagi. – To jest taki stan, w którym wszystko się zatrzymuje: serce przestaje bić, krew nie płynie, komórki ulegają hibernacji. Po kilku sekundach okazuje się, że nic się nie stało. To tylko ktoś gwałtownie podniósł rękę, chciał ci odgarnąć włosy z twarzy. To ptak zerwał się do lotu, kot zeskoczył z szafy, kosz na śmieci przewrócił się na ulicy. Ale ty jesteś blada jak trup i w sumie to przez chwilę byłaś tym trupem. Mogłaś też zrobić coś, co wyglądało bardzo głupio. Na przykład podskoczyłaś, krzyknęłaś albo uchyliłaś się. Przed ciosem, który wcale nie spadł. Czasem ktoś śmieje się z twojej reakcji. Ale tobie nie jest do śmiechu, bo głośne dźwięki i gwałtowne ruchy automatycznie kojarzą ci się z atakiem szału matki albo wpięciem od ojca. I wiesz, że tylko cudem przeżyłaś tę wojnę. Cudem to przetrwałaś. – Sawa upiła kolejny łyk kawy. – Kiedy twoje dzieciństwo pełne jest ekstremalnych emocji, masz do wyboru dwie drogi. Albo nie będziesz umiała bez tych emocji żyć, albo będziesz ich za wszelką cenę unikać. Niektórzy non stop wracają na pole walki. Są setki sposobów na to, żeby poczuć adrenalinę i wyrzut kortyzolu. Szybka jazda samochodem, przygodny seks, sporty ekstremalne. Tak, wiem, zaraz odsądzą mnie od czci i wiary i powiecie, że po prostu lubicie się sponiewierać, biegnąc w iron manie, lubicie emocje podczas skoku ze spadochronem, wiszenie jedną ręką daje wam kopa, tak samo jak kitesurfing. Sorry, ale za dużo przeszłam, żeby wierzyć w te bzdety. Wierzyć, że nie musicie ryzykować życia, żeby w ogóle je poczuć. Cokolwiek poczuć. Wmawiajcie to sobie, nie mnie. Wydzieliłam w życiu tyle adrenaliny i kortyzolu, że mogłabym obdzielić kilkadziesiąt osób. Doskonale działałam na tych substancjach, ale szczerze ich nie znoszę. Nie chcę uprawiać sportów ekstremalnych, seksu bez zabezpieczenia z przypadkowymi osobami, kraść, zapierdalać na autostradzie, chlać, zdradzać ludzi, których kocham, urządzać im awantur itede, itepe. Nie kręci mnie to. JUŻ mnie to nie kręci – podkreśliła. – Chciałabym, żeby wywalenie się na prostej drodze i zderzenie kolana do krwi kojarzyło mi się z ekscytującą przygodą z dzieciństwa. Bardzo bym chciała. Ale wiecie co? Było ich całkiem dużo. Na lewym kolanie mam bliznę sprzed dwudziestu lat. Wtedy miałam lat dziesięć i spadłam z drzewa. Ryczałam, tak, ale to dobre wspomnienie. Bo byłam na wakacjach u mojej ukochanej babci, bo czułam się beztrosko, bo robiłam to, co powinno robić każde szczęśliwe dziecko. Byłam wolna, kochana, akceptowana, zaopiekowana, utulona, spokojna i radosna. Ta blizna jest tego świadectwem. A ta na prawym kolanie... – Przesunęła obiektyw w dół, żeby pokazać świeżą, zaklejoną plastrem ranę po upadku. – Ta blizna będzie po to, żeby przypominać mi, że nie wszystko w moim życiu było złe.

Sawa schowała telefon i wystawiła twarz do słońca. Po chwili jednak wyjęła go znowu, bo zawibrował w kieszeni kurtki.

– Hej, jesteś już w drodze do biura? – zapytała Alicja.

– Taak... – odpowiedziała niechętnie Sawa. Miała nadzieję, że uda jej się powylegiwać jeszcze w ciepłych promieniach. – Coś się stało?

– Przyszedł ten dziennikarz, Wedler. Ewa też już czeka.

– Szlag! – Sawa zerwała się z ławki, którą dwie sekundy później zajęli turyści, i ruszyła w stronę Zielonej Bramy. – Będę za dziesięć minut. Zrób im kawę.

Witold Wedler był niezależnym dziennikarzem, prowadzącym własny podcast kryminalny. Zrobiło się o nim głośno rok wcześniej, kiedy zajmował się sprawą zagadkowego zaginięcia sprzed prawie trzydziestu lat. Podobno chodziło o jego dziewczynę, ale Sawa nie była pewna. W każdym razie brał na tapet głównie tematy związane z przemocą w rodzinie. Z tego powodu zainteresował się historią Ewy Kosteckiej, która spędziła pół roku w szpitalu po tym, jak pobił ją mąż. Na początku lekarze dawali jej kilka procent szans na przeżycie. Kobieta zgodziła się porozmawiać z dziennikarzem, pod warunkiem że będzie przy tym Sawa. Mogła poprosić o wsparcie Filipa albo mecenasa Gojkego, ale wybrała właśnie ją. Sawa doskonale wiedziała dlaczego. To ona namówiła Ewę na terapię i warsztaty rozwojowe, pomogła jej znaleźć nową pracę, kilka razy zajmowała się jej dziećmi. Robiła mnóstwo rzeczy, które daleko wykraczały poza zakres jej obowiązków służbowych.

Kiedy Sawa weszła do fundacji, Kostecka i Wedler czekali w jej gabinecie.

– Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie. Będę szczerą, myślałam, że jesteśmy umówieni na jutro – powiedziała.

Dziennikarz nie odpowiedział na powitanie ani przeprosiny, ale wstał, żeby ustąpić jej miejsca na jednym z dwóch niebieskich uszaków, które stały przy oknie. Sawa podziękowała i przysunęła obrotowe krzesło zza biurka. Alicja przyniosła trzy kawy i postawiła na stoliku. Ewa chwyciła swoją filiżankę i od razu upiła kilka łyków.

Wedler był chudym mężczyzną o długim garbatym nosie i sylwetce pochylonej w sposób charakterystyczny dla bardzo wysokich ludzi. Sawa przypatrywała się mu i zastanawiała, czy dziennikarz jest niewyspany, czy też nieobecne spojrzenie jest kwestią urody. Sprawiał wrażenie zamyślnego, wycofanego, może nawet mruka, ale miał opinię bardzo dociekliwego i konsekwentnego, a na tym zależało im przecież najbardziej. Sawa wybaczyła mu nawet, że kiepsko zaczął rozmowę. Powiedział, że kiedyś znał dziewczynę, która była „ofiara brutalnej przemocy domowej”.

– Nie używamy tego sformułowania – wyjaśniła Sawa. – To stygmatyzuje, a my nie chcemy wywoływać dodatkowych cierpień. Mówimy o osobach z doświadczeniem przemocy w rodzinie.

– Rozumiem – stwierdził sucho Wedler. Sawa zastanawiała się, czy naprawdę dociera do niego sens jej słów, czy podobnie jak inni dziennikarze, których notorycznie musiały poprawiać, drwi w duchu z czegoś, co uważa za nowomowę i fanaberię.

Z twarzy Wedlera nie sposób było wyczytać jakiegokolwiek emocji.

– Jaka była pani reakcja na fakt, że byłego męża wypuszczono wcześniej z więzienia? – zwrócił się do Kosteckiej.

– Spełnił się mój najgorszy koszmar – odpowiedziała kobieta. – Ja wiedziałam, że tak będzie. Że on nawet nie odsiedzi całego wyroku, i tak samo wiem, że on mnie w końcu zabije. Ma niby ten zakaz zbliżania, ale już raz sąd stanął po jego stronie. To co? Drugi raz nie stanie? Przecież on jest bezkarny, bo co ta za kara, te cztery lata... Za kradzież więcej dostają.

Przez następne czterdzieści minut Sawa słuchała historii, którą znała na pamięć. Nie tylko z opowieści Ewy. U większości podopiecznych początek był taki sam. Niewinny. Nic nie zwiastowało, że ten wrażliwy, czuły, kochający człowiek, szanowany lekarz, policjant, prawnik, nauczyciel akademicki, ksiądz z bajki, byłby w stanie podnieść rękę na swoją perełkę, żabkę, muszkę, jak czule nazywali w pierwszych tygodniach swoje żony. Potem zwykle pojawiał się jakiś zewnętrzny problem, który wprawiał pana idealnego w stan

podenerwowania. Nie dostał awansu, ktoś wjechał mu w dupę na przejściu dla pieszych albo matka zaczęła zrędzić. A ta łajza, żona, zamiast podać kaptcie i zupkę, przypierdala się nie wiadomo o co, każe wynieść śmieci, zakupy zrobić. Albo nawet nie. Wypytuje, co mu jest, a przecież chyba widać. Wszystko go wkurwia, nawet jej szczenięce spojrzenie. Ręka sama leci, a księżniczka zamienia się w głupią szmatę. Tak, częstym bohaterem tych opowieści był alkohol albo inne środki psychoaktywne. Co jeszcze je łączyło? To, że księżniczki miały skłonność do wybaczenia, bo bardzo chciały, żeby znowu było jak w bajce. Bo wierzyły, że zło dobrem i tak dalej.

– Po tym, jak zabrała mnie karetka, w jego samochodzie znaleźli prześcieradło, opaski zaciskowe i łopatę, pan rozumie? – Kostecka spojrzała na dziennikarza. – On był przygotowany. Chciał mnie zabić i zakopać. A sąd zmienił kwalifikację czynu z usiłowania zabójstwa na pobicie. Uznał, że łopata w bagażniku to żaden dowód. Mąż tłumaczył, że tego dnia wybierał się na działkę. A my nawet żadnej działki nie mamy! – Kobieta załkała. – To też nikogo nie obchodziło, jakby wszyscy umówili się, żeby go wybielić. Ja siedziałam na sali rozpraw i czułam, jak mi rośnie druga głowa, rozumie pan? Niby wszyscy patrzyliśmy na te same fakty i dowody, ale on, jego adwokat i sędzia widzieli zupełnie inne rzeczy niż ja.

– Sędzia Malinowski ma opinię... trudnego i mało wrażliwego, że tak powiem, na kobiety – wyjaśniła Sawa Wedlerowi. – Kiedy zostaje przydzielony do sprawy którejś z naszych podopiecznych, wiemy, że będzie pod górę.

– Zwyczajnie bierze w łapę – odezwała się znowu Kostecka. – Zresztą mógł mnie tak potraktować za jakąkolwiek przysługę. Mój mąż jest prawnikiem, znają się ze studiów. Malinowski kilka razy był nawet u mnie w domu. Często wałam go herbatą... – Kostecka patrzyła na swoje trzęsące się ręce.

– Pani adwokat nie wniósł o wyłączenie Malinowskiego ze sprawy? – zapytał Wedler.

– Wniósł, ale nikogo to nie interesowało. Zresztą... oni tam się i tak wszyscy znają. Na nikim to nie robi wrażenia. Wie pan... mnie nie chodzi o żadną zemstę ani nawet większą karę dla tego człowieka... mojego byłego męża. Niech on sobie nawet żyje w Honolulu, ma dwie żony i ósemkę dzieci. Ja po prostu mam już dość tego strachu. Odkąd jest na wolności, znowu boję się wychodzić sama z domu. Nawet tutaj przyprowadziła mnie siostra. On nie wie, gdzie mieszkam, ale co to dla niego za problem ustalić. Z jego dościami... – Płacz znowu zdusił oddech Kosteckiej. – Ja tylko chcę, żeby on dał mi spokój.

– Były mąż kontaktuje się z panią? – dopytał dziennikarz.

– Tak, bo tego sąd mu nie zakazał.

– To są jakieś pogróżki?

– Nie – odparła zimno Kostecka. – Ten drań wie, że z pogróżkami mogłabym iść na policję. Pokażę panu. – Kobieta wyjęła z torebki telefon i podała Wedlerowi.

– „Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu...” – dziennikarz zaczął czytać i spojrzał zdziwiony na Sawę. Przebiegł oczami całą treść wiadomości. – „Lubię to i tę chwilę lubię, gdy koło mnie, wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie...”. To wiersz Tetmajera.

– Psychopata – stwierdziła Sawa.

– Teraz już go zablokowałam, ale i tak zdążył mi to wysłać na wszystkich komunikatorach, w mailu, nawet na papierze.

– Myśli pani, że to jakaś forma skruchy czy zwykłe nękanie? – drążył Wedler.

– Wie pan co... ja już nie chcę myśleć. Jak tu trafiłam, ponad rok temu... Byłam w ciężkiej depresji, miałam myśli samobójcze. Tylko dzięki niej nie połknęłam tabletek. – Kostecka złapała Sawę za rękę. – Teraz to wszystko wróciło...

Wedler poinformował je, że zmontowanie pierwszego odcinka zajmie mu kilka dni, chciał jeszcze poczytać akta sprawy. Sawa przekazała mu swoją wizytówkę i prosiła o przesłanie materiału do autoryzacji. Kiedy odprowadzała swoich gości do drzwi, w korytarzu natknęła się na Hinza.

– Cześć – zaczął wesoło Adam. Sawa miała wrażenie, że pochylił się, jakby chciał pocałować ją w policzek, ale odsunęła się, żeby przepuścić Wedlera w drzwiach. Adam poczekał, aż dziennikarz wyjdzie. – Miałem nadzieję, że wpadniesz na kawę.

Kilka dni wcześniej Adam wysłał jej esemesa z zaproszeniem do A Presto na najlepsze macchiato z prawdziwej włoskiej maszyny. Nie odpowiedziała. Starał się nie brać tego do siebie. Tłumaczył sobie, że była zajęta albo zwyczajnie zapomniała odpisać.

– Myślałam, że to otwarte zaproszenie... – stwierdziła. W holu pojawiła się Alicja, która zaczęła kserować jakieś dokumenty. – Bez konkretnego terminu.

– Jasne... po prostu... Miałem nadzieję, że pogadamy... – Adamowi nagle zrobiło się głupio. Chyba z powodu wyrazu twarzy Sawy, która nagle wyglądała na bardzo zdystansowaną, obcą, a z niego czyniło to petenta.

– Tak jak mówiłam, bardzo polecam ci konsultacje u naszego terapeuty, Filipa Gawryłowa. – Sawa uśmiechnęła się uprzejmie. – Alicja może sprawdzić, czy jest jakiś wolny termin w tym tygodniu.

– Nie trzeba – odparł sucho Adam i poszedł do pokoju, w którym przyjmował prawnik. Sawa wróciła do swojego gabinetu.

* * *

Sawa trąciła dłonią puszkę i zaklęła. Trzy dorodne pomidory san marzano pacnęły o blat z biało-szarego marmuru. Był piękny, ale zupełnie niepraktyczny. Trudno było już zliczyć plamki i rysy, które Sawa osobiście na nim zostawiła przez swoją niezdarność. Sok pomidorowy wytrawi w marmurze kolejną plamę. Na szczęście Filip w ogóle nie zwracał na to uwagi, nie tylko dlatego, że rzadko przygotowywał coś w swojej kuchni z prądkowanego dębu, ciemnej stali i szkła.

To miała być pierwsza kolacja ze znajomymi Filipa, na której oficjalnie wystąpią jako para. Chciał zamówić sushi, żeby nie musiała się męczyć z pichceniem – nie lubiła gotować – ale Sawie zależało na podaniu czegoś, co przygotowała samodzielnie. Krzątała się po kuchni boso, w kimonowej sukience, na którą założyła biały fartuszek z falbanką.

– Wyglądasz bardzo profesjonalnie – skomentował Filip. – I zarazem sexy.

– Mam nadzieję, że ten drugi aspekt przystoni fakt, że przypaliłam sos pomidorowy i rozgotowałam makaron.

Filip podszedł do kuchenki, wziął jeden kawałek penne i zamoczył go w sosie.

– Jak zwykle przesadzasz – oświadczył. – To jest naprawdę dobre.

– Co mi w ogóle strzeliło do łba, żeby podawać coś takiego! – Sawa cisnęła drewnianą łyżkę do zlewu.

– Hej... – Filip złapał ją za ramiona, ale się wysunęła. – Na pewno wszystkim będzie smakowało. A nawet jeśli nie, to ci tego nie powiedzą – próbował zażartować, ale patrząc na jej minę, zrozumiał, że to kiepski pomysł.

– W ogóle nie powinnam brać się do gotowania. Błagam cię, zamówmy coś z A Presto.

– Myślę, że to zupełnie niepotrzebne. Makaron jest świetny.

– Prędzej spędzę cały wieczór zamknięta w sypialni, niż podam to gościom.

Sawa była nieprzejeżdżana, więc Filip dla świętego spokoju sięgnął po telefon i poprosił o przygotowanie sześciu porcji bulionu z kaczki, arancini i krewetek. To powinno zająć gości na początek. Z dań głównych najszybciej powinien być gotowy sandacz. Kelner obiecał, że potraktują zamówienie priorytetowo, mimo że mieli spory ruch.

– To co robimy z tymi zaoszczędzonymi piętnastoma minutami? – zapytała Sawa odmienionym, wesołym głosem. Przyłgnęła całym ciałem do Filipa i potarła dłonią o jego krocze.

– Otworzę wino – odpowiedział, odsunął ją i poszedł do salonu. – Zdąży pooddychać.

Filip odebrał jeszcze przystawki z restauracji, zanim przyszli goście. Grzegorz i Beata Borowscy mieli sieć delikatesów i dom na Kamiennej Górze w Gdyni, choć ostatnio coraz więcej czasu spędzali w willi na Teneryfie.

– Zwłaszcza teraz, kiedy nasz Alan dostał się do Clifton – wyjaśniła Beata.

Sawa nie była pewna, czy zagraniczna szkoła z internatem była dla trzynastolatka nagrodą, czy karą za upijanie się do nieprzytomności. W każdym razie Borowscy byli tą sympatyczniejszą rodziną.

Roman, drugi przyjaciel Filipa, i jego żona Anna byli lekarzami. On psychiatrą, ona ortodontką, wykładającą na Akademii Medycznej. Podobno Roman wymyślił sobie żonę na trzecim roku studiów. Powiedział, że ma być lekarką i filigranową blondynką. Byli małżeństwem od szesnastu lat.

– Nie zdejmujcie butów – poprosiła Sawa, choć nikt się do tego nie kwapił. Ona sama paradowała z gołymi nogami, migotały jej bordowe paznokcie u stóp.

Anna pytała o każdy szczegół w mieszkaniu: z czego są płytki w łazience, czy dębowa podłoga jest łatwa w utrzymaniu, jakie żarówki mają w lampach, gdzie zamówili szafę. Nie zraziło jej, że Sawa nie знаła odpowiedzi na większość pytań.

– Och, kochanie – kontynuowała Anna, zwracając się do Sawy. – Masz tu tak pusto na tym kuchennym oknie, koniecznie musisz zasadzić jakieś kwiaty. Zabiorę cię na giełdę. A chleb upiekłaś sama? Nie? Moja Swietłana ma świetny przepis, jeśli chcesz, to ci prześlę... – trajkotała. Poprosiła również Sawę o zaparzenie hibiskusa.

– Obawiam się, że mamy tylko pospolitą earl grey.

– Niech będzie. Przypomnij mi później, to dam ci namiar na mojego zielarza. Jaki piękny stół! – zachwyciła się na widok solidnego mebla z okrągłym blatem i podstawą w formie ściętego stożka. – To dąb?

– Orzechowy fornir – wyjaśnił Filip.

– Pewnie na zamówienie? – dopytywała Anna. Filip pokiwał głową.

– Blat jest z cieniutkich listewek, widzisz? Każda ręcznie dopasowana.

– To gdzie się poznaliście? – zapytała Beata, kiedy usiedli na czarnych dębowych krzesłach z podłokietnikami.

– W fundacji – odpowiedziała Sawa ogłędnie. Tak się umówili z Filipem. Uznali, że nie ma potrzeby wtajemniczać nikogo w szczegóły.

– Czy to prawda, że waszą podopieczną była ta nieszczęsna Ewa Kostecka, której mąż wyszedł właśnie z więzienia? – zapytała Anna.

Nawiązanie do fundacji pozwoliło Sawie odzyskać pewność siebie. Mogła godzinami opowiadać o swojej pracy. Robiła to z ogromnym przejęciem. Emocjonowała się historiami podopiecznych, energicznie gestykulowała, wiedziała, kiedy zawiesić głos, jak budować napięcie, żeby opowieść zrobiła na słuchaczach jeszcze większe wrażenie. Trafiała do ich serc. Całkowicie przykuła ich uwagę. Nic nie cieszyło jej tak jak zjednywanie sobie ludzi, zwłaszcza tych z innego świata. Tych, którzy kiedyś tylko by się nad nią litowali. Z zadowoleniem zauważyła, że nawet Anna wygląda na zainteresowaną.

– Ja tylko nie rozumiem... dlaczego ta kobieta nie odejdzie... Nie weźmie się w garść – podjęła wątek Beata. – Na przykład... Nie wyobrażasz sobie, jaki jest problem z zatrudnieniem sensownej kasjerki do sklepu. W ogóle takiej, która będzie więcej pracowała, niż chorowała albo kradła! Mało tego! Ja nawet przymknę oko na te drobne kradzieże, tylko niech ona nie dzwoni za pięć dwunasta, że dziś znowu nie przyjdzie, bo nie ma z kim piątego dzieciaka zostawić. Już nawet nie marzę o takiej, która nauczyłaby się poprawnie wymawiać nazwy włoskich wędlin. A przecież jedna z drugą mogłaby nawet awansować na menedżera sklepu! Bardzo proszę, ale one zachowują się, jakby same nie chciały. Jakby miały jakieś klapki na oczach. Zamiast wziąć te dzieciaki, posłać do przedszkola albo zatrudnić jakąś nianię, to nie. To ona będzie siedzieć z dziadem, pijakiem, co ją ciągnie w dół, tłucze, i musi mu całą pensję oddawać. Po dwóch dniach nic już nie ma i tylko rękę po następne wyciąga. A nawet jak go rzuci, to zaraz znajdzie drugiego takiego samego albo jeszcze gorszego. I tylko wieczne narzeka...

– Skarbie, przecież ty się już nie zajmujesz zatrudnianiem... – odezwał się Grzegorz.

– Ale co się z nimi naszarpałam, to moje!

– Ciężko zrozumieć ten mechanizm, jeśli wyrosło się w dobrobycie... Materialnym i psychicznym.

– Sawa... – zaczął Filip.

– Słucham, kochanie? – zapytała zaczepnie.

– To przecież nic złego wyrosnąć w dobrobycie... – Beata popatrzyła na męża, jakby chciała, żeby poparł jej słowa.

– Oczywiście, że nic złego. To największe szczęście – zapewniła Sawa. – Tylko warto czasem wysilić się i zrozumieć, że nie każdy je miał. A przez to nasiąknął pewnymi krzywdzącymi schematami, w większości nieuświadomionymi.

– Co konkretnie masz na myśli? – drążyła Beata.

– Sama powiedziałaś, że twoje, załóżmy, pracownicy mają klapki na oczach.

– Tak.

– Dokładnie tak to działa – kontynuowała Sawa. – Wyrastasz w totalnej biedzie i ciągle słuchasz od rodziców, jak jest źle, a będzie coraz gorzej. Nie stać was na wakacje, na zabawki, nawet na zimowe buty. Ci, co mają pieniądze, są źli, na pewno nieuczciwi. Ty wiesz, że nie będziesz mieć na korepetycje, na drogą szkołę, na studia w innym mieście. Zresztą jakie

studia? I tak musisz iść do jakiejś pracy, byle jakiej, bo na dobrą jesteś za głupia. Tak słyszysz codziennie i to jest jeszcze jedna z miłszych rzeczy, którą matka z ojcem mają do powiedzenia na twój temat, kiedy leją cię za byle co. Tak to działa. Mówią, że jesteś tępa, więc się nie uczysz, bo po co. Twierdzą, że się szmacisz, no to proszę bardzo, potwierdzasz tylko fakt, aż w końcu zachodzisz w ciążę. Na tym etapie masz już o sobie bardzo złe zdanie, wręcz siebie nienawidzisz, tak jak nauczyli cię kochani rodzice. No to kogo możesz sobie znaleźć na męża, jeśli nie kolejnego przemocowca, który całe życie będzie potwierdzał to, co już wiesz, to, co sama o sobie myślisz? Że jesteś głupia, zła i nikogo lepszego nie znajdziesz. Niczego nie osiągniesz! Przecież ty zioniesz brakiem! Brakiem pieniędzy, brakiem miłości, brakiem uwagi i wiary w siebie! Jesteś jedną wielką chodzącą dziurą! Jaki awans? Jaki menedżer sklepu? Zajebisty żart! – roześmiała się Sawa, a przy stole zapanowała cisza. – Przemoc rodzi przemoc, bieda biedę. I to dosłownie. To nie jest żaden przypadek, że ubodzy są i będą coraz ubożsi, a bogatym w naturalny sposób przychodzi bogacenie się.

– Wow – odezwał się w końcu Grzegorz. – To już wiem, czemu masz tylu fanów. Przyznaję, podejrzałem cię na Facebooku, ale na żywo to dużo bardziej przekonujące.

– Może jest w tym ziarno prawdy – przyznała Beata. – W zasadzie to nawet pokrzepiająca myśl: że mamy to, bo wpojono nam miłość.

– Miłość to akurat wpojono mało komu. Tak nam się tylko wydaje. – Sawa wstała od stołu. – Komuś lody na deser? Niestety nie zrobiłam sama, mam kupne.

– Jeśli o mnie chodzi, to będę zachwycony, nawet jak podasz lizaki serduszka.

Grzegorz wyraźnie na nią leciał i nie krępowała go obecność żony ani Filipa. Z Beatą i Anną nie było o czym rozmawiać. Sawa próbowała zagadnąć Romana, ale okazał się wyjątkowo sztywny. Odpowiadał zdawkowo, szybko się nim zmęczyła. Zostawiła narzeczonego z gośćmi na kanapie i poszła do toalety. Przeszło jej nawet przez myśl, żeby napuścić wody do wanny i olać całe to dziwne towarzystwo. Gdyby nie wizja zablokowania łazienki, z pewnością by się na to zdecydowała. Siedziała na brzegu wanny i bawiła się kurkiem. W końcu wyszła do holu i wyjęła z szafy baleriny. Włożyła kurtkę i cicho zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Ostatni goście wychodzili właśnie z A Presto. Barman wycierał kieliszki i ustawiał je w przeszklonej gablocie. Poza tym było pusto.

– Załapię się jeszcze na ostatniego drinka?

– Oczywiście. – Barman nie był zachwycony. – Czego się pani napije?

– Martini dry.

– Nie wiem, czy zostały nam jeszcze oliwki...

Mężczyzna wyszedł do kuchni, a chwilę później zza drzwi wychylił się Adam. Widząc Sawę, odezwał się do kolegi:

– Możesz iść, dokończę zamówienie. To znajoma.

Zostali sami. Sawa patrzyła, jak Adam łączy w shakerze gin z wermutem.

– Myślałem, że się przeze mnie wyprowadziłaś. – Podał jej drinka.

– Chyba musisz przestać myśleć, że jesteś centrum wszechświata. – Odbiła piłeczkę. Roześmiali się.

– Okej... Ale chyba sobie nie uroiłem, że ostatnio w biurze zachowywałaś się... dziwnie.

– To znaczy: jak?

– Jakbyśmy się nie znali.

– W sumie nie znamy się jakoś przesadnie dobrze. – Upiła łyk cierpkiego płynu.

– Okej. Jak chcesz.

– Nie spieszysz się do domu?

– Nie bardzo. – Adam wzruszył ramionami. – A ty? Nudzisz się sama w domu?

– Nie. Znudzi mi znajomi. Chyba cierpię na jaskrę analną.

– Co? – parsknął.

– Nie widzą niczego poza własną dupą.

– To faktycznie przykra dolegliwość.

Sawa opowiedziała Adamowi o Ewie Kosteckiej i jej byłym mężu.

– Takie sprawy rozwiązuje się inaczej – stwierdził Adam.

– Jak?

– Spuszcza się gościowi ostry łomot. Mogę to załatwić, jak będzie potrzeba. Znam ludzi.

Sawa przez chwilę się zastanawiała, czy Adam się z niej nabija. Zdecydowała się wziąć jego uwagę za żart.

– Naprawdę porządny z ciebie facet. – Roześmiała się. – Jeśli będę chciała zrobić kiedyś komuś krzywdę, na pewno się do ciebie zgłoszę, ale tym razem niestety muszę już zmykać, bo będzie afera. Dzięki za drinka. – Wyjęła kartę z portfela.

– Ja zapraszałem. – Odsunął jej dłoń i przytrzymał trochę za długi. Ich oczy się spotkały.

– Okej... Dziękuję.

Wyszła na zewnątrz, ale nie wróciła od razu do mieszkania. Był cudowny, ciepły wieczór, więc postanowiła przejść się chociaż kawałek do nabrzeża. Kiedy wracała, odruchowo spojrzała przez szybę w A Presto. W środku było już ciemno, ale była pewna, że widzi, jak Adam stoi w głębi lokalu i wyjmuje z szafy śpiwór.

* * *

Filip oczywiście nie zamierzał przejść do porządku dziennego nad jej angielskim wyjściem.

– Porozmawiamy rano – powiedział, kiedy wróciła do domu, wsunęła się pod kołdrę i przytuliła do jego pleców.

Przy śniadaniu nadal był zdenerwowany.

– Co ty sobie myślałaś?

– Nie było mnie tylko pół godziny.

– Akurat to pół godziny, kiedy wszyscy wychodzili. Musiałem szyć na bieżąco, że dostałaś migreny i poszłaś spać. Gdzie ty w ogóle byłaś? Nie odbierałaś telefonu.

- Poszłam się przewietrzyć.
- Przewietrzyć... – ironizował Filip. – Nie mogłaś po prostu wyjść na taras? Mamy dwa.

Sawa odłożyła rogalik z konfiturą wiśniową i dopiła resztę kawy.

- Idę wziąć kąpiel – zakomunikowała i zamknęła się w łazience.

Kiedy wyszła, Filipa już nie było. Nie przyszedł się pożegnać, nie powiedział nawet „cześć”, mimo że wyjeżdżał na konferencję i mieli się nie widzieć przez cztery dni.

Sawa włożyła na gołe ciało luźną tunikę i rozczesła mokre włosy. Włączyła rzutnik, rozłożyła zwinięty pod sufitem ekran i wyszukała koncert Sony Jobareth. Tańczyła boso, bez żadnego ładu, kiwała na boki głową, robiła wyrzuty rąk i nóg, jakby chciała coś z siebie strząsnąć. Na podłogę spadały krople wody z jej roztrzepanych włosów. Sawa sięgnęła po telefon i zaczęła obracać go w dłoniach. Wybrała numer.

- Jesteś w pracy? – zapytała.

– Nie... Mam dziś wolne – odpowiedział Adam.

– Pomyślałam, że może wpadniesz do mnie na śniadanie? Mieszkam na ostatnim piętrze. Mieszkanie numer czterdzieści jeden.

- Co masz w lodówce?

– Mmm... jajka, pomidory malinowe, różne sery...

- Dobra, będę za pół godziny – odparł Adam i się rozłączył.

Był punktualny. W rękach trzymał papierową torbę, z której wyjął burratę, kulkę mozzarelli, świeżą bazylię i bagietkę. Położył produkty na stole, wyjął naczynia, sztucce. Czuł się zupełnie swobodnie, jakby był u siebie.

– Nigdy nie trzymaj pomidorów w lodówce – pouczył ją. – Nie rób im tego, one kochają słońce, chcą ciepła i światła.

- Dobrze, dobrze. – Sawa się uśmiechnęła.

Adam wrzucił pomidory do blendera kielichowego razem z burratą, dodał trochę oliwy, pieprz i bazylię. Powstały w ten sposób różowy gęsty krem przelał do głębokich talerzy, udekorował strzępkami mozzarelli, listkami bazylii i kilkoma kroplami oliwy.

- Proszę, możesz wyjadać bagietkę. – Podał Sawie pieczywo.

Usiedli przy stole z widokiem na połączenie Motławy z Martwą Wisłą.

– Ładnie się urządzałaś. Robi wrażenie. – Adam mówił z pełnymi ustami i wyglądał przez okno.

– To też robi wrażenie. – Sawa wskazała na szybkie śniadanie, które przygotował. – Mogłabym wylizać talerz.

- Nie krępuj się.

– Naprawdę... ten krem... Boże, to jest prawie jak orgazm w ustach.

– No cóż... Jeśli mam być szczery, prawdopodobnie więcej kobiet doprowadziłem do orgazmu łyżką i widelcem niż czymkolwiek innym.

- Nie bądź taki skromny...

– Nie jestem. Żaden kucharz nie jest. Po prostu nie mam dużego doświadczenia w sprawach damsko-męskich. Małżeństwo z Dominiką to tak naprawdę mój pierwszy poważny związek. W ogóle małżeństwa przed trzydziestym rokiem życia powinny być ustawowo zakazane.

Sawa nie chciała znowu popełniać błędu i wyciągać z niego krępujących informacji. Bała się, że tym razem również źle odbierze jej propozycję pomocy.

– Słuchaj... Może to zabrzmie dziwnie, ale... Filip wyjechał na kilka dni. Zresztą na pewno nie miałby nic przeciwko... Jeśli chcesz, możesz na razie zatrzymać się u nas.

Adam przestał jeść i wlepił wzrok w Sawę. Jakim cudem się zorientowała? Była wiedźmą czy co? Zaledwie godzinę wcześniej Jacek przyłapał go na kanapie w kantorku. Powiedział, że właściciel naprawił kamery i jak tylko kapnie się, że Adam urządził sobie w knajpie noclegownię, wywali go na zbity pysk. Widocznie ten durny prawnik doniósł Sawie, że Adam jest chwilowo bezdomny. Co prawda ta chwila ciągnęła się już prawie od miesiąca, ciągle jednak miał nadzieję, że ustali z żoną jakieś sensowne rozwiązanie. Naprawdę musiał coś wymyślić, i to szybko.

– Pokłóciliśmy się wczoraj z Domi, nie chciałem wracać na chatę... – skłamał.

– Nie chcę wtrącać się w nie swoje sprawy. – Sawa rozłożyła ręce. – Oferuję tylko pomoc przez wzgląd na stare dzieje. W końcu jesteśmy z jednego podwórka, prawda?

– Twój facet nie będzie miał nic przeciwko, jeśli przekimam do środy, góra czwartku?

– Nie martw się o to. Wieczorem z nim porozmawiam. Słuchaj, są różne opcje. Jeśli twoja żona jest agresywna i wyrzuciła cię z domu, mogę załatwić ci mieszkanie przez fundację. Całkowicie za darmo.

– Stać mnie na wynajem, dzięki – odparł luzno, choć to nie była do końca prawda. Sezon trwał w najlepsze i zarabiał teraz więcej, ale nadal utrzymywał żonę i dawał jej niemалą sumę na dzieci. W obecnej, nieuregulowanej sytuacji mógł sobie pozwolić najwyżej na wynajęcie pokoju. Miał jeszcze kasę, którą zbierał na motocykl, ale bardzo nie chciał jej rozwalać.

– Okej. – Sawa dała za wygraną. – Wierzę, że sobie poradzisz. Przyjmij chociaż koleżeńską pomoc i przenocuj u mnie, dopóki czegoś nie znajdziesz.

– Właściwie mam już coś na oku... Lokal ma się zwolnić na dniach, więc skoro tak nalegasz... Dzięki.

Po śniadaniu Sawa musiała wyjść, była umówiona na wywiad. Adam postanowił pójść wreszcie do fryzjera. Wracając, wstąpił do Drukarni, w której Sawa rozmawiała jeszcze z dziennikarką. Zamówił podwójne espresso. Dolatywały do niego strzępki rozmowy. Dziennikarka była zachwycona młodą trójmiejską aktywistką, rzeczniczką praw kobiet, i od dawna marzyła, aby napisać o niej reportaż. Zapowiedziała też, że zgłosi Sawę do nagrody Osobowości Roku. Sawa śmiała się i dziękowała za komplementy. Z jakiegoś powodu jej szczęście bardzo cieszyło Adama. Wyobraził sobie, jak by to było, gdyby czekał tu na nią jako jej mężczyzna. Mąż. Po wywiadzie poszliby na lody do Misia, a może popłynęliby tramwajem wodnym do Gdyni. Nie, to był banał, dobry dla turystów. Zabrały ją na swoją ulubioną plażę w Świbnie, gdzie przygotowały dla niej piknik z winem i innymi duperelami, które babki kochają. Podały jej taki quiche lorraine, że ściągałyby majtki przez głowę. Tak, zdecydowanie chciały to zobaczyć.

Adam zaczął przeglądać ogłoszenia z mieszkaniami. Kawalerki, na które było go stać, znajdowały się daleko od centrum. Doszedł do wniosku, że skoro to i tak przejściowe, może zadowolili się pokojem w lokalu, w którym mieszka więcej osób. Przynajmniej będzie miał do kogo otworzyć gębę po pracy. A jak trafi na laski, to w ogóle raj, bo nie będzie musiał sprzątać. Prawnik powiedział, że jego sytuacja nie była najgorsza. Głupio mu było wyrzucać Dominikę

z mieszkania, ale ostatecznie należało do niego, odziedziczył je po rodzicach. Ona mogła wrócić do swoich, iść do pracy. Właściciele salonów zabijali się teraz o dobre kosmetyczki, a Domi miała doświadczenie i talent. Kiedyś to lubiła. Mogłaby zarabiać tyle, ile on. Szybko by się odkuła. Myślał nawet o tym, żeby sprzedać chatę na Zakopiańskiej i podzielić się kasą z ekszoną. Chciał jej pomóc, nie zostawiłby na lodzie. Mógł jej gotować, przywozić obiady, wozić synów do szkoły. Zabierałby ich do siebie trzy razy w tygodniu, w co drugi weekend, każde ferie i wakacje. Wszystko opisał w porozumieniu wychowawczym, które pomógł mu przygotować mediator. Gdyby tylko Dominika zgodziła się przyjść na spotkanie do fundacji. Musiała się zgodzić.

– Hej, wracamy? – Sawa musnęła go w ramię, aż podskoczył.

– Jasne. Co zjadłabyś na obiad?

– Gotujesz? – ucieszyła się.

Poszli zrobić zakupy do Hali Targowej przy placu Dominikańskim. Adama kręciła myśl, że obcy ludzie mogą brać ich za parę. Że ktokolwiek mógłby wziąć go za męża albo narzeczonego takiej wystrzałowej babki.

W domu Sawa włączyła muzykę i przypatrywała się, jak Adam sprawnymi ruchami sieka paprykę, seler naciowy, cukinię i marchew. Żadnego zawahania, fałszywego gestu, jak w transie.

– Chcesz pomóc? – zapytał rozbawiony, a jednocześnie mile połączony faktem, że Sawa wlepia w niego oczy.

Położył na desce wiecheć pietruszki. Sawa podeszła do blatu i sięgnęła po ciężki, stalowy nóż Adama, ale delikatnie wyjął jej go z ręki.

– No tak, jeszcze się potnę i zamiast jeść obiad, będziemy jechać na OIOM – stwierdziła z przekąsem.

– Po prostu nie pozwalam nikomu dotykać mojego noża. Nie bierz tego do siebie. – Mrugnął do niej okiem. – Takie zбочzenie zawodowe.

Danie, które przygotował Adam, było bardzo proste, ale Sawa i tak miała wrażenie, że zamówiła je w wykwintnej restauracji. Paski warzyw idealnej twardości, makaron al dente, lekko pikantny sos, rozplywające się w ustach skrawki wołowiny. Maniery Sawy zawsze odchodziły na bok, kiedy jadła. Napychała buzię jak dziecko, mówiła z pełnymi ustami.

– Nic mnie tak nie cieszy jak to, kiedy ludziom smakują moje potrawy – stwierdził Adam, który w przeciwieństwie do niej tylko dziobał widelcem w swoim talerzu.

– Dlaczego? – zaśmiała się.

– To takie namacalne potwierdzenie, że zrobiłem coś dobrego.

– A sam w to nie wierzysz? Że robisz dobre rzeczy? – zapytała, ale Adam nie zamierzał odpowiadać, więc zmieniła temat. – Opowiedz o swojej podróży do Pakistanu. Byłeś tam już kiedyś?

– Będziesz się śmiała...

– No to co... – Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie byłem za granicą. W ogóle rzadko wyjeżdżam z Trójmiasta. Kiedyś dostałem propozycję pracy w Oslo, ale... nie wyszło.

– A myślałam, że uczył się gotowania co najmniej we Włoszech albo Francji.

– Niestety nie, ale mój najlepszy nauczyciel był Włochem. To on chciał zabrać mnie do Norwegii. Poza tym mój dziadek prowadził knajpę i nauczył mnie wszystkich podstaw.

– To skąd wziął ci się Pakistan?

– No dobra, powiem ci. Miałem kiedyś taki słaby okres w życiu... Nie żeby teraz było jakoś zajebiście, ale wtedy... no, różne głupie myśli przychodziły mi do głowy. Którejś nocy, kiedy byłem w naprawdę czarnej dupie, a pomieszkiwałem w takiej, powiedzmy, hipisowskiej komunie, na kwadracie pojawił się typ. Nie widziałem go ani wcześniej, ani nigdy później, ale przegadałem z nim całą noc. Opowiadał o swojej wyprawie motocyklem Szosą Karakorumską. Mówił o wielkich przestrzeniach poprzecinanych pionowymi górami, o lśniących od śniegu graniach, błyszczących lodowcach, o wychylających się zza zakrętów ośmiotysięcznikach... Pomyślałem, że skoro istnieją takie rzeczy, to świat nie może być taki zupełnie zły. I że sama opcja podróży do takiego miejsca wystarczy, żeby zobaczyć w życiu jakiś sens. Że nic więcej już nie trzeba. Złapałem się wtedy tej myśli. Ona mnie wyciągnęła. Kilka tygodni później dostałem pracę na zmywaku. Na głupim zmywaku, ale czułem, że zacząłem ogarniać.

– To kiedy ruszasz?

Adam się roześmiał.

– No co? – Sawa była poważna. – Dzieciaki już chyba podrosły... Co cię powstrzymuje? Kasa?

– Nieee... Motocykl mogę właściwie kupić od ręki. Na paliwo potrzebuję jakieś pięć tysięcy, do tego carnet de passage, kasa na jedzenie, spanie pod namiotem... W sumie mógłbym to zrealizować jeszcze w tym roku.

– Boisz się, że nie dostaniesz urlopu?

– Cała wyprawa potrwałaby pewnie miesiąc. Jakoś dogadałbym się z szefem. Zresztą nie muszę pracować w A Presto. Po powrocie mógłbym znaleźć coś innego...

– Więc?

– Nie wiem... Przez tyle lat przyzwyczałem się, że to tylko marzenie. Chyba przestałem traktować je poważnie.

– Szkoda – skwitowała.

Adam nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał wrażenie, że siebie sam też przestał traktować poważnie, ale nie potrafił ustalić, w którym momencie wszystko zaczęło iść nie tak, jak powinno. Właściwie nie umiał też stwierdzić, jak właściwie powinno potoczyć się jego życie. Wydawało mu się, że małżeństwo, dzieci, rodzina i praca są jakimiś ramami, które zapewnią mu bezpieczeństwo przez samo swoje istnienie. Czuł się oszukany. Skoro postępował według określonego, sprawdzonego wzorca, starał się, spełniał oczekiwania, a rzeczywistość i tak spuszczała mu manto, to może faktycznie lepszym rozwiązaniem było kopnięcie jej w dupę, a nie wieczne nadstawianie swojej. Może wyjazd, właśnie teraz, daleko i na długo, był dobrym pomysłem? Oboje z Domi ochłonęliby, przemyśleli pewne sprawy, doszli do wniosku, że warto rozstać się polubownie dla dobra dzieci?

* * *

Sawa wyszła do sypialni, żeby zadzwonić do Filipa.

– Jak Kraków? – zapytała.

– Duszny – odpowiedział i po chwili dodał: – I smutny bez ciebie.

Jeden z pierwszych tygodni na początku związku spędzili w klimatycznym apartamencie na Kazimierzu. Miasto przywoływało dobre wspomnienia. Filip miał cykl gościnnych wykładów w jednej z prywatnych krakowskich uczelni, a Sawa siadała w auli i napawała się jego charyzmą oraz reakcjami oczarowanych studentów.

– Muszę znowu zacząć jeździć z tobą na wyjazdy służbowe.

– Będzie mi bardzo miło.

Oboje telepatycznie zgodzili się, że ta wymiana zdań wystarczy, aby zażegnać konflikt, w który wdali się przed wyjazdem. Żadne z nich nie uważało, że powinno wrywać się z przeprosinami.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła Sawa niepewnie. – Miałam małą sytuację kryzysową w fundacji. Z jednym z podopiecznych.

– Podopiecznych? Jakiś facet?

– Tak. Żona wyrzuciła go z domu.

– Ale jesteś pewna, że to nie kolejny kontroler? – zażartował Filip.

– Tak, jestem pewna. To mój stary znajomy z dzieciństwa. Adam Hinz – wyjaśniła krótko. – Okazało się, że jest kucharzem w A Presto. W każdym razie pozwoliłam mu u nas przemocować do czwartku.

– Nigdy mi o nim nie mówiłaś – zauważył Filip. Sawa miała tendencję do spoufalania się z podopiecznymi, przymykał na to oko, bo zwykle nie przekraczała granic. Jednak wzmianka o tym, że w jego mieszkaniu będzie nocował ktoś obcy, wywołała dyskomfort.

– Szczerze mówiąc, zapomniałam o nim. Przez lata nie mieliśmy kontaktu, a potem jakoś wpadliśmy na siebie. Chyba nie jesteś zły, co? Mamy tu przecież tyle miejsca... Słuchaj, no jakoś tak głupio mi się zrobiło. Oboje wychowaliśmy się w trudnych warunkach... Musiałam mu pomóc. Gniewasz się?

– Nie, Sawa, nie gniewam się. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Skoro jednak mówisz, że to stary znajomy, to oczywiście nie ma żadnego problemu.

– Jesteś najlepszy...

– Wiem. Odezwę się później, muszę lecieć. Kocham cię, pa.

– Ja ciebie też.

* * *

Adam spał w pokoju, który pełnił funkcję gabinetu i sypialni dla gości w jednym. W praktyce rzadko kto w nim nocował. Trzymali tu książki, zdjęcia, drukarkę, skaner, stary komputer i trochę szpargałów, co do których nie zdecydowali jeszcze, czy powinny wylądować na śmietniku.

W podziękowaniu za nocleg Adam przygotowywał dla Sawy posiłki. Rano zastawała w kuchni śniadanie godne francuskiej kawiarni oraz spakowany w pudełka lunch: paseczki mięsa albo ryby, trochę ryżu lub makaronu, pokrojone i zblanszowane warzywa lub pickle. Kompozycja wyglądała tak pięknie, że Sawie żal było ją psuć. Każdą potrawę fotografowała i wrzucała do relacji w mediach społecznościowych. Zwróciła uwagę na to, że Filip oglądał je wszystkie, ale nie komentował. Adam pracował do późna, ale wieczorem wychodził na chwilę,

żeby przynieść jej do góry kolację, którą przygotował w A Presto. Po dwóch dniach zorientował się, że nie ma ochoty na amfetaminę. Był jak na haju. Sama myśl o Sawie sprawiała, że czuł przyjemne mrowienie pod skórą. Jej widok i zapach powodowały zawroty głowy, rozmowa z nią dawała mu więcej energii niż solidna porcja krajówki. Świadomość, że wchodzi boso pod prysznic, pod którym przed chwilą stała ona, że w nocy oddziela ich tylko cienka ściana, wywoływała sny piękniejsze niż niejeden kolorowy trip.

Zresztą... Nowy szef A Presto już pierwszego dnia tak bardzo podniósł Adamowi ciśnienie, że nie musiał nawet pić swojej zwyczajowej porannej kawy.

– Gdzie są moje przyprawy? – zapytał Adam, kiedy po wejściu na kuchnię zastał pustą blat.

– Ekhm... Nie używamy – odburknął Jacek.

– Ha, ha, ha, dobre... od kiedy? – Adam przeszukiwał szafki w poszukiwaniu tymianku, chili czy choćby pieprzu.

– Poważnie. Od wczoraj. Nowy szef, nowe zasady.

– Kurwa! Ale jak on to sobie wyobraża?

– Masz. – Jacek podsunął mu słóiczek wypełniony jakimś proszkiem.

– Co to? Mam to wciągnąć czy co?

– Taka niby domowa wegeta. Szef zrobił. Dodajemy tego zamiast... zamiast...

– Zamiast, kurwa, wszystkiego, tak? – zirytował się Adam.

Jacek wzruszył ramionami i wrócił do filetowania ryby. Adam szukał zrozumienia w oczach kogoś z pozostałych kucharzy, ale oni także nie mieli ochoty na dyskusję.

Nowy szef miał na imię Andrzej, ale z niejasnych względów nawet pomywacz nazywał go Andrzejkiem. Był małym, łysym gościem po pięćdziesiątce, nijakim, jak jego dania. Miał niezdrawą, bladą cerę, mętne oczy i niemrawy głos. Adam z początku myślała, że forma „Andrzejek” jest pogardliwa. Szybko przekonał się, że pracownicy zwracają się tak do nowego szefa z dziwną uniżonością. „Andrzejku to, Andrzejku tamto”.

Mix przypraw Andrzejka faktycznie lądował we wszystkich daniach, które były w karcie. Adam na początku nie mógł w to uwierzyć, a po kilku godzinach zaczął się śmiać.

– Czy ja powiedziałem coś śmiesznego, Adaś? A może zabawnie wyglądam? – zapytał Andrzej.

– Nie. Tylko te arancini zabawnie smakują. Zupełnie jak... jak... hm... co wam to przypomina? – Adam rozejrzał się po kuchni, ale inni uciekali wzrokiem. – O, już wiem! Panierkę w schabowych!

Andrzejek zamachnął się nożem i wbił czubek w drewnianą deskę. Jednak nie był taki niemrawy, na jakiego wyglądał. Jego biała skóra nabrała różowego odcienia. Na czole prześwitywała mu niebieska żyłka, która teraz nabrzmiała.

– Może ty masz, kurwa, Adaś, wypalone kubki smakowe, co? – Andrzejek wyciągnął ostrze z deski i przyłożył Adamowi do ust. Jacek i reszta personelu, która była w kuchni, udawali, że są zajęci swoją pracą. – Otwórz buzię, no... Aaaaa!

– Szefie... – Jacek w końcu się odwrócił.

– Otwieraj gębę!

Adam otworzył usta i już był pewien, że Andrzejek posłuży się nożem jak lekarz patykiem do badania gardła. Szef zaczął się histerycznie śmiać.

– Ale masz, kurwa, minę, Adaś! – Poklepał podwładnego po plecach. Jego głos zrobił się spokojny, wręcz przyjazny. – Słuchaj, synu, powiem ci coś, bo może tego nie wiesz. Pomidory, marchew, masło, cytryna, nawet ryż arborio... to wszystko ma swój własny, niepowtarzalny smak, którego naprawdę nie trzeba zakłócać. Wystarczy odrobina soli, no, może kapka pieprzu, żeby wydobyć aromat. Czystą poezję smaku, rozumiesz? – Andrzej przesunął ostrzem w dół, po klatce piersiowej Adama, i zatrzymał się na wysokości splotu słonecznego.

W kuchni pracowali wariaci. Adam doskonale to wiedział. W różnych lokalach przeszedł ostrą szkołę życia. Był bluzgany, poniżany, wyśmiewany, piłowany. Sam siebie uważał za porywczego, potrafił zbesztać niższych rangą pracowników, kiedy popełnili błąd. Nie pozwalał, żeby inni mu podsłakiwali. Ale to, co właśnie odwalił nowy szef, wykraczało nawet poza szeroki margines tolerancji na czubów, jaki miał Adam.

– Wiesz co, właściwie wszystko idealnie się składa – zakomunikował Sawie wieczorem.
– Rzucam tę robotę w cholerę.

– Okej... – Zdziwiła się.

– Nie będę wydawał dań, za które się wstydzę.

– Będziesz szukał czegoś nowego?

– Na razie nie. Popracuję jeszcze z pół roku. Tyle, żeby odłożyć na Pakistan i zabezpieczyć Dominikę w tym czasie.

– Na Pakistan... – Pokiwała głową z uśmiechem.

– Miałaś rację. Lepszego momentu nie będzie.

– Skoro tak... cieszę się. Przykro mi tylko, że będę musiała przestać bywać w A Presto.

Po kolacji włączyli kolejny odcinek serialu, który zaczęli oglądać poprzedniego wieczora. Sawa rozłożyła się na kanapie, wyciągnęła nogi. Adam ułożył sobie jej stopy na kolanach i masował je. Na początku wyczuwał pewną sztywność z jej strony, ale w końcu Sawa się rozluźniła.

– Chyba będę za tym tęsknić – odważył się na wyznanie. W jej spojrzeniu zobaczył mieszanek zaskoczenia i zadowolenia.

– Przecież jeszcze się spotkamy – skomentowała.

Nie wiedział, jak to odebrać i czy powiedzieć coś jeszcze. A może pociągnąć ją za język? To była ich ostatnia wspólna noc. Następnego dnia jej facet wracał z delegacji, więc taka okazja mogła bardzo długo się nie powtórzyć. Może nigdy. Czego właściwie od niej chciał? Co miał jej do zaoferowania? Zwłaszcza w porównaniu z tym, co sama osiągnęła?

– Idę wziąć kąpiel. – Sawa zdjęła nogi z kolan Adama i poszła do łazienki.

To był zwykły komunikat czy zachęta? Miał wziąć sprawy w swoje ręce? Tego oczekiwała? Zawsze przy niej głuśniał. Nie potrafił odczytać jej słów, zachowania. Nie był pewien, czy są niewinne, czy prowokujące. Czy Sawa oczekiwała reakcji, czy miała go gdzieś.

Minęło dziesięć minut, a Adam ciągle gapił się w ciemny ekran, jakby miała się na nim wyświetlić odpowiedź na wszystkie pytania. W końcu wstał i podszedł do drzwi łazienki. Nasłuchiwał. Wyobraził sobie, że wchodzi do środka. Sawa jest zaskoczona, ale za chwilę wstaje. Z jej nagiego ciała spływa piana. Jest porażająco piękna, piękniejsza, niż zapamiętał. Oślepia go, brakuje mu tchu, ale powstrzymuje zawroty głowy i podchodzi do niej. Wtula się w jej ciepły brzuch. Sawa wciąga go wanny w ubraniu.

Zapukał do drzwi.

– Tak? – usłyszał głos Sawy.

Gdyby tylko dała mu jakiś znak. Cokolwiek. Zachęte. Nie liczył, że powie „wejdz”, ale mogła przecież zażartować. Rzucić coś dwuznacznego, żeby mógł zinterpretować to na swoją korzyść. Ton jej głosu nic mu nie mówił.

– Nalać ci wina?

– Chętnie! – zawołała. Teraz. Teraz mogła go poprosić, żeby przyniósł jej kieliszek. Błagał w duchu, żeby to zrobiła. – Zaraz wychodzę! – Te dwa słowa otrzeźwiły Adama.

Wrócił do kuchni, wyjął dwa kieliszki i nalał do nich chardonnay, które chłodziło się w lodówce na wino. Wypił duszkiem i ponownie napełnił swój kieliszek. W tym czasie Sawa wyszła z łazienki w białym ręczniku frotte i z mokrymi włosami. Szukała czegoś w dużej szafie w holu.

– Mam coś dla ciebie, z okazji zielonej nocy. – Zjawiła się w kuchni z wielką papierową torbą na prezenty.

– Co to? – zaśmiał się.

W środku był lekki, a zarazem ciepły śpiwór puchowy znanej firmy turystycznej.

– Przyda ci się w podróży. – Sawa się uśmiechnęła.

– Nie wiem, co powiedzieć. Przecież to kosztuje kilka stów. Słuchaj, stać mnie...

– Wiem – przerwała mu i zrobiła krok w jego stronę. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciała go przytulić, ale tylko sięgnęła po kieliszek. – Chciałam ci to dać, nie róbmy z tego wielkiego halo, okej?

Adam objął Sawę zdecydowanym ruchem. Włożył dłoń w jej włosy i pocałował ją w głowę. Czuł bicie jej serca.

– Pachniesz tak samo...

– Co? – Odskoczyła gwałtownie. Miała tak przerażony wzrok, jakby zaraz chciała zacząć krzyczeć. – O czym ty mówisz?

– Ty naprawdę nie pamiętasz?

– Czego? – Była coraz bardziej zdenerwowana.

– Naszego pierwszego razu. – Głos Adama brzmiał gorzko. Mężczyzna wziął swój kieliszek i usiadł z nim na hokerze przy oknie, za którym migotały światła nocnego Gdańska. – Zresztą nie wiem. Może dla ciebie to nie był pierwszy raz. Dla mnie to była magia.

Teraz patrzyła na niego, jakby był jakimś odrażającym robakiem. Tak przynajmniej mu się wydawało.

– Pójdę już – zdecydował.

– Dokąd?

Adam nie zareagował. Zaczął zbierać swoje rzeczy, a Sawa nie próbowała go zatrzymać. Rano i tak miał wprowadzić się do pokoju, który wynajął w mieszkaniu na Rajskiej. Lokal błagał o remont od lat osiemdziesiątych. Pomieszczenia były wyłożone boazerią, w przedpokoju wisiały pawlacze, a kuchnia straszyla zużyтым linoleum. Drugi pokój zajmowała jakaś parka. To była jedna z najtańszych opcji, które Adam znalazł, i o to chodziło, bo pozwalało zaoszczędzić jak najwięcej kasy na wyjazd.

– Dzięki za przenocowanie, pomoc... no i za śpiwór. – Stanął z torbą w holu.

– Nie ma problemu. Trzymaj się. – Sawa podała mu dłoń i mocno uściśnęła.

Adam wsiadł w tramwaj linii numer trzy, którym dojechał do plaży w Brzeźnie. Młodzi i starsi, lokalsi i turyści, studenci i korposzczury, którym nie przeszkadzała środek tygodnia,

dresiarze i hipsterzy siedzieli na piasku we własnych kręgach. Rozmowy, śmiech, śpiewy wypełniały noc. Adam siedł tak długo, aż mógł usłyszeć tylko szeleszczące morze, a światła latarni na molo zamieniły się w błyszczące główki szpilek. Położył się na ziemi i zasunął zamek śpiwora. Tyle dobrego z mieszkania w pieprzonej polskiej Kalifornii.



TERAZ

Ostatnie sceny erotycznego snu Barbary Modrej zwały się z migawkami z poprzedniego wieczora. Prokuratorka uśmiechnęła się do siebie i leniwie przeciągnęła w pościeli. Zanim otworzyła oczy, przewróciła się na lewy bok, ale zamiast znajomego ciała napotkała tylko zwiniętą kołdrę. Podparła się na łokciu. Na nocnej szafce leżała żółta karteczka z napisem: „Lecę do robo, zadzwonię, uwielbiam, jesteś boska”, ozdobiona sercami.

Po szybkim prysznicu Modra bez przekonania zabrała się do sprzątania po wczorajszej kolacji. Na eleganckim prostokątnym talerzu, który wyjmowała z szafki od wielkiego dzwonu, schły kawałki sushi. Zjadła je zamiast śniadania, przez chwilę zastanawiała się, czy nie dopić z kieliszków pysznego słodkiego wina choya, ale ostatecznie z żalem wylała je do zlewu. Kiedy zmywała naczynia, zadzwonił Dymek.

– Gratulacje, ma pani swoją dusicielkę – powiedziała. – Próbkę pobrane od Sawy Boguckiej są zgodne z materiałem zabezpieczonym przez techników na miejscu zbrodni.

* * *

Niewielkie pomieszczenie mogło udawać zwykły salon. W oknach wisiały białe firanki i grube zasłony, pod ścianą stały miękka sofa, dwa fotele i ława. Tylko na wprost od tego niewyszukanego zestawu wypoczynkowego, zamiast płaskiego telewizora, wisiało lustro. Sawa usiadła na kanapie i spojrzała na swoje odbicie. Wiedziała, że z drugiej strony też ktoś jest. Protokolant, pewnie prokurator, a może psycholog, który będzie oceniał jej wiarygodność, stopień rozwoju funkcji pamięci, zdolność spostrzegania oraz poziom rozwoju intelektualnego i emocjonalnego, jak mówili fachowcy.

– Stwierdziła pani, że pan Hinz znajdował się pod wpływem narkotyków... – Sędzia, która siedziała na fotelu, przeglądała protokół sporządzony na pierwszym przesłuchaniu. – Czy zażywał te narkotyki przy pani?

– Niezupełnie. To znaczy widziałam na stoliku biały proszek w małej plastikowej torebce. Adam był bardzo pobudzony, więc... po prostu dodałam dwa do dwóch. Czy w jego krwi stwierdzono obecność narkotyków? – zainteresowała się Sawa, ale sędzia nie odpowiedziała na jej pytanie.

– Czy pan Hinz kiedykolwiek wcześniej zażywał przy pani narkotyki?

– Nic takiego nie widziałam – stwierdziła.

– Jako osoba przeszkolona i zaznajomiona z tematem ma pani świadomość, jak wyglądają i zachowują się osoby uzależnione. Czy podczas któregoś ze spotkań zauważyła pani niepokojące sygnały?

– Tych spotkań nie było tak dużo... – Sawa spuściła wzrok, ręce trzymała sztywno na udach. – Ale nie, chyba nie... Nigdy nic nie przykuło mojej uwagi.

– Pan Hinz był, jak to pani ujęła, pobudzony już w chwili, kiedy weszła pani do mieszkania, tak?

– Tak.

– Czym to się objawiało? – drążyła sędzia.

Sawa poczuła zniecierpliwienie. Opisała przecież zachowanie Adama podczas rozmowy z prokuratorką.

– Był bardzo zdenerwowany faktem, że stracił pracę. Mówił, że szef nie miał żadnych podstaw, żeby go wyrzucić, że policzy się z tym gnojem. Przepraszam, cytuję. Do tego żona Adama zamieszkała w jego mieszkaniu z jakimś mężczyzną. Nie chciała mu powiedzieć, kto to jest, więc Adam niepokoił się o synów. Chodził po pokoju w jedną i drugą stronę, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Cały czas powtarzał: „muszę ich zobaczyć przed wyjazdem”, „muszę ich zobaczyć przed wyjazdem”...

– Przed jakim wyjazdem?

– Adam planował podróż do Pakistanu. Długo na nią zbierał. Chciał jechać motocyklem. To miało trwać chyba miesiąc, więc zależało mu na tym, żeby pożegnać się z synami.

– Wróćmy do momentu, w którym pan Hinz rozerwał pani sukienkę... – Głos sędzi nie zdradzał wiele emocji, ale Sawa poczuła, że kobieta stara się być łagodna. – To było przed tym czy po tym, jak zaczął panią bić?

– Przed... To znaczy... Nie uderzył mnie jeszcze, ale trzymał mnie mocno za głowę i próbował położyć na biurku. To sprawiało mi ból. Prosiłam, żeby przestał.

– Czy pan Hinz próbował panią pocałować?

– Nie wiem, nie pamiętam. To działo się bardzo szybko. Udało mi się go odepchnąć, a potem zobaczyłam, że on trzyma nóż...

– Proszę opisać najdokładniej, jak pani potrafi, co zrobił później.

– Przecież ja to już mówiłam, dwa razy. Raz na komisariacie i raz przed prokuratorem. Ile razy mam to jeszcze powtarzać... – Sawa odwróciła się do mecenasa Gojkego.

– Postaram się, aby ten raz był ostatni. Po to nagrywamy tę rozmowę.

Sawa po raz kolejny opowiedziała o tym, jak prosiła Adama, żeby ją puścił, jak na chwilę zatrzymał się i domagał od niej, aby wyznała mu uczucia. Powtórzyła, że zaczęła kłamać po to, by go udobruchać, a kiedy się uspokoił, spróbowała uciec, ale podciął jej nogi rurką. Potem znowu opisała moment, w którym poczuła ukłucia ostrza na brzuchu. I jak udało

jej się wytrącić Adamowi nóż, a potem owinąć apaszkę wokół jego szyi i w końcu wybiec z pokoju. Kolejny raz podkreśliła, że nie zdawała sobie sprawy z siły zacisku.

– Myślałam, że on się zaraz ocknie i zacznie mnie gonić... – Sawa zaczęła płakać.

– Dlaczego nie została pani, żeby się upewnić, czy Adam Hinz żyje?

– Pani żartuje? – Sawa wytarła łzy, wydmuchała nos. – Byłam w panice. Bałam się, że mnie dopadnie. Dobiegłam do samochodu i odjechałam. Nie pamiętam w ogóle drogi do domu. Ocknęłam się na przystani kajakowej. Mogłam wpaść do wody...

– Wtedy też nie pomyślała pani, żeby zadzwonić na policję? Na pogotowie? Dlaczego nie pojechała pani od razu do szpitala?

– Nie wiem. Byłam w szoku. Myślałam tylko o tym, żeby się umyć, a potem połknąć garść tabletek nasennych i zasnąć na zawsze.

* * *

Sawa podeszła do weneckiego lustra i przyjrzała się z uwagą swojemu odbiciu. Była zaróżowiona i lekko opuchnięta od płaczu. Pośliniła róg chusteczki higienicznej i wytarła ciemne od tuszu ślady, które utworzyły się pod jej oczami. Przyglądała jeszcze włosy i wyszła z pokoju. Barbara Modra, która stała po drugiej stronie szyby, odwróciła się do siedzącej przy biurku kobiety.

– Co myślisz? Zdolna do konfabulowania?

– Jak my wszyscy, Modralko – odpowiedziała Iza Kostka.

Wiele razy współpracowała z Modrą, ale ich przyjaźń zawiązała się znacznie wcześniej. Jako licealistki chodziły we wtorki do Kwadratowej, z tym że Modra pogowała przy Rage Against the Machine i Metallice, a Kostka kiwała się na parkiecie do Nirwany albo The Cure. Jako jedna z niewielu osób wiedziała, jak pani prokurator wyglądała w długich do pasa, kręconych włosach, które teraz były przycięte krótko pod uszami i wyprostowane. Kostka goliła się wtedy na zero. W przeciwieństwie do przyjaciółki nie zmieniała tak bardzo swojego stylu. Nadal nosiła ekstrawaganckie fryzury, wygalała tył albo bok głowy, odsłaniając poprzekłuwane kolczykami ucho. Najchętniej zakładała rurki i luźne góry – workowate swetry albo asymetryczne bluzki, na które narzucała skórzaną ramoneskę. Nie miała w szafie prawie żadnej rzeczy, która nie byłaby czarna.

Barbara Modra nie była atrakcyjną nastolatką. Należała do tych kobiet, o których złośliwi koledzy mówili, że wylaszczyła się z wiekiem. Niektórzy starzy znajomi nie rozpoznawali jej na ulicy ani w telewizji. Bo Modra przy okazji różnych głośnych spraw chętnie i elokwentnie wypowiadała się w mediach. Bez żenady powtarzała Izie, że kiedyś powstanie duży reportaż o jej błyskotliwej karierze w prokuraturze. W końcu faktycznie o niej napisano, ale to były krótkie newsy w kontekście degradacji. Modra poszła potem na miesięczne zwolnienie lekarskie, Iza osobiście wyciągała ją z dołka. Przyjaciółka powtarzała tylko, że to jej koniec. Że się skończyła.

Kostce wydawało się czasem, że jej przyjaciółka jest teraz słabą kopią dawnej siebie, ale to i tak był ogromny postęp, bo mogło jej w ogóle nie być. Dlatego pani psycholog

wybaczła Bańce Modrej, że czasem wpada w trybiki i działa na autopilocie. Cieszyła się, że sprawa Boguckiej i tak budzi w niej jakieś większe emocje.

Kostka przymykała oko nawet na fakt, że Bańce zdarzało się traktować ją jak chodzący wariograf. Miała przyjść, obejrzeć podejrzanego i w możliwie jednoznaczny sposób stwierdzić, czy popełnił zarzucany mu czyn. Najlepiej, gdyby udało jej się dokonać tego z pomocą zaawansowanego programu komputerowego, podającego wynik z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku. Niestety, ludzi nie dało się wpisać do Excela, choć narzędzia, którymi się posługiwała, dążyły do usystematyzowania obserwacji. Owszem, używała ich sumiennie, miała swoje ulubione, ale i tak ostatecznie szła za tym, co podpowiadało jej przecucie do spółki z czymś, co nazywała wyrobieniem.

– Co mówi twój słynny szósty zmysł? – zapytała Modra.

– Trochę egzaltowana babka, to fakt, ale za wcześnie na radykalne wnioski. Jest spójna. Nie zauważyłam rozdzwiku między tym, co prezentuje na nagraniach w sieci, a zachowaniem na przesłuchaniu. Jedyne, do czego na razie mogę się przyczepić, to sposób, w jaki opowiedziała o przebiegu spotkania z Hinzem. Początek, czyli ta część, kiedy przyjechała do mieszkania i rozmawiali, była szczegółowa, podała wiele informacji, używała spójników, co świadczy o tym, że mówiła płynnie z pamięci. Opis bójki był w porównaniu z tym dość skąpy, mało szczegółów, równoważniki zdań.

– A to nie jest tak, że nie chciała przywoływać traumy?

– Może trochę tak. A może musiała się zastanawiać, żeby nie odbiec od wersji, którą sobie ustaliła. Z drugiej strony zdjęcia z obdukcji są dość dramatyczne. To potwierdzone, że Hinz ją tak urządził?

– Niby tak – odparła prokurator. – Ale wiesz. To, że doszło między nimi do walki, nie wyklucza zaplanowanego działania z jej strony.

– Na pewno muszę zrobić jej kilka testów. Zdziwiło mnie jeszcze jedno. Bogucka raz wstała z kanapy, kilka razy sięgnęła po wodę i często wycierała łzy. Nic nadzwyczajnego – kontynuowała Kostka. – Poza tym siedziała z rękoma na udach, jakby były przywiązane. Wyglądało to trochę sztucznie. Jakby się powstrzymywała przed jakimkolwiek ruchem. Trudno mi wychwycić jej znak szczególny.

Barbara Modra wiedziała, że Izie chodziło o reakcję na stres, charakterystyczną dla każdego człowieka. Ludzie prezentowali całe spektrum tików nerwowych, od mrugania powiekami do dziwnych chrząknięć, ale to może być też skubanie skórek przy paznokciach, zdejmowanie i zakładanie okularów, przeczesywanie włosów. Bogucka też musiała mieć swój gest, wykonywany nieświadomie w chwili, gdy się denerwowała. Taki znak szczególnie, pojawiający się w określonych sytuacjach, towarzyszący pewnym wypowiedziom, pozwalał dobremu psychologowi odróżnić kłamstwo od prawdy. Kostka musiała go tylko namierzyć.

– Wszyscy jedzą jej z ręki... – rzuciła pogardliwie Modra. – Faceci mnie nie dziwią, ale sędzia...

– Odrzuciła twój wniosek o tymczasowy areszt?

– Ta. Wyobrażasz sobie? Nieposzlakowana opinia, duża kaucja... Przyszły mąż i teściowa, bardzo szanowane osoby, stoją za Bogucką murem... No i w mediach robią z niej ikonę feminizmu. Myślę, że nasza sędzia nie wytrzymała presji. Zgodziła się na dozór, zawieszenie w obowiązkach i zakaz opuszczania kraju. Niebywałe... A laska uduśliła typa swoją apaszką! Ojca dzieciom...

- No dobra, ale czekaj. Myślałam, że w obronie własnej to można kogoś ciachnąć nożem albo zastrzelić, ale duszenie... To się jakoś nie wyklucza?
- Zamierzam udowodnić, że tak – powiedziała zdecydowanym tonem prokurator.

* * *

Barbara Modra wyszła z sądu i odszukała wzrokiem kremowego fiata pięćsetkę.

- Wreszcie! – powiedziała, zajmując miejsce pasażera. Pocałowała Hannę Szołkiewicz w policzek. Złapała ją za udo. – Jak twój dzień?

Jechały w kierunku obwodnicy. W środku kaszubskich lasów czekał na nie mały drewniany domek z sauną i balią na tarasie, który udało im się zarezerwować w ostatniej chwili.

- Miałam dziś dziecko, które zmarło na SIDS... – zaczęła Hanna.

Lekarka trzymała ręce na kierownicy, tak jak przykazano, za dziesięć czternasta. Wzrok miała skupiony na drodze. Barbara podziwiała jej opanowanie, spokojną konsekwencję we wszystkim, do czego się zabierała. Wiedziała, że sekcje dzieci budzą w Hance mnóstwo emocji, a jednak odsuwała je od siebie. Mówiła, że nie pozwoliłyby jej zobaczyć prawdy. A prawda była ważniejsza niż jej aktualne przeżycia. To trochę zastanawiało Baškę.

Poprzednik Hanny, doktor Kawkowski, oficjalnie po prostu poszedł na emeryturę, żeby cieszyć się zakupionym ogródkiem działkowym. Modra do spółki z Kostką za dobrze go znały, żeby nie rozpoznać u starego patologa objawów PTSD. Stres pourazowy, powracające myśli, koszmary, stany lękowe pojawiały się u osób, które przeżyły traumę, wypadek, gwałt... Codzienne obcowanie ze zwłokami po zabójstwach, samobójstwach, kraksach nie mogło zostawiać obojętnym, nawet jeśli lekarze sądowi niechętnie się do tego przyznawali. Nie każdy potrafił sobie poradzić z taką pracą, nawet jeśli była ich pasją. Dopóki Baška nie poznała Hanksi, nie rozumiała tego. Potem dotarło do niej, że tak jak Kostka słuchała, co mówią do niej ofiary przestępstw, Hanka słuchała ich ciał.

- Śmierć łóżeczkowa? – podchwyciła Barbara. – Koszmar. – Przed oczami od razu stanęła jej pewna młoda matka przesłuchiwana kiedyś na okoliczność niewyjaśnionej śmierci jej dziecka. Mąż kobiety, który nie był w stanie zrozumieć, że niemowlę może po prostu się nie obudzić, obwiniał żonę.

- Istny koszmar, tym bardziej że noworodek miał zasiniałą wargę i małe skaleczenie w ustach. Typowe obrażenia świadczące o przemocy – wyjaśniła Szołkiewicz.

- Będzie śledztwo?

- No właśnie nie. Dzięki opinii Zduńskiego.

- Twojego eksprofesora? – Barbara pamiętała opowieści Hanny o postrachu Zakładu Medycyny Sądowej. Nazywał niektórych studentów niepełnosprytnymi umysłowo i było to najłagodniejsze z określeń.

- Tak. Uparł się, że obrażenia powstały w trakcie reanimacji. Wiesz, to możliwe, nie o to chodzi. Rodzice tego dziecka to para znanych w mieście prawników. Zduński założył, że w tej rodzinie nie mogła zdarzyć się żadna patologia. Po prostu nie drążył. Sama wiesz, jak

potraktowano by dwójkę meneli z Zielonego Trójkąta, gdyby zgłosili na pogotowie śmierć dziecka...

Baśka gwałtownie złapała za uchwyt nad drzwiami, bo samochód nagle zahamował prawie do zera. Patrzyła, jak Hanka bez najmniejszego wzburzenia wymija auto, które zajęchało im drogę. Jakby omijała głęboką kałużę albo duży kamień.

* * *

Modra wybudziła się w środku nocy. Hanki nie było obok, w łóżku na antresoli, za to w saloniku na dole świeciła się mała lampka. Lekarka siedziała na kanapie przy kominku i oglądała jakieś zdjęcia. Modra nie widziała z góry, co przedstawiają fotografie. Owinęła się kocem i zeszła na dół. Pocałowała Hankę w głowę.

– Wzięłaś na romantyczny weekend w leśnej chatce foty z obdukcji Boguckiej? – zapytała. Lekarka pokiwała głową. – A podobno to ja jestem popieprzona. Herbaty?

– Poproszę. Nie mogłam spać, cały czas o tym myślę.

– Konkretnie o czym? – Modra wstawiła czajnik z wodą i usiadła obok Hanki.

– Bogucka powiedziała, że poczuła wyraźne ukłucia ostrza na brzuchu, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że Hinz ją tnie.

– No i...

– Chodzi o to, że ukłucia ostrym narzędziem w brzuch rzadko są odczuwane tak adekwatnie. Ofiary częściej mówią, że to przypominało uderzenia albo kopanie. Dopóki tego nie doświadczysz, nie masz o tym pojęcia. Poza tym... wkłucia na jej brzuchu są bardzo płytkie. Wiem, że całość robi wrażenie, jest tego sporo, połała się krew i tak dalej. Ale jeśli dobrze się temu przyjrzeć, są to właściwie draśnięcia. Cholera, wszystkie te rany, te na rękach i dekolcie też, wyglądają jak samookaleczenia nastolatki z problemami. Nie są na serio.

– Jak bardzo jesteś tego pewna? – Policzki prokuratorce zaróżowiły się od emocji.

– Bardzo. Poza tym... – Hanna Szołkiewicz wyjęła inne zdjęcia. Widać było na nich poszczególne ślady krwi zostawione na ścianach i meblach w mieszkaniu Hinza. – Zauważyłam to już na oględzinach. Te porozrzucone przedmioty, książki, te wszystkie maźnięcia krwi... To wygląda jak scenografia. Za dużo tego, zbyt teatralne, przesadzone.

– Czyli co? – Podeksycyowała się Modra. – Sawa Bogucka uduśliła Hinza z zimną krwią, a potem okaleczyła się i ubabrała wszystkie przedmioty wokół, żeby sfingować walkę?

– Wiedziała, co robić i mówić, żeby wyjść na ofiarę przemocy. Pracuje z nimi od lat... Tylko niestety nie umiała zadać sobie tak głębokich ran. Trzeba mieć dużo samozaparcia, żeby naprawdę mocno się zranić.

– Chyba cię kocham, wiesz? – wyrwało się Baśce. Obie się speszyły.

– Tylko... po co to wszystko? – zastanowiła się Szołkiewicz. – Dlaczego robiąca karierę i pomagająca ofiarom przemocy prezes fundacji miałaby zabijać własnego podopiecznego?

– Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze albo miłość.

– Miłość? Myślisz, że taka laska jak Bogucka mogłaby mieć romans z Hinzem? Ona wygląda jak wycięta z sesji zdjęciowej „Elle” o kobietach sukcesu, a on... Gdybym zobaczyła go w ciemnym zaułku, to raczej bym uciekała.

– No wiesz, kobiety mają różne fantazje. Robotnicy, hydraulicy, mechanicy, strażacy... Więźniowie też otrzymują erotyczne propozycje od spragnionych wrażeń pań. – W głosie Barbary Modrej było słychać ironię.

- Jakoś nigdy nie fantazjowałam o strażakach – zaśmiała się lekarka.
- O pielęgniarzach?
- Nie... Raczej o seksownych prawniczkach.

* * *

Tym razem zaproszono Sawę do innego pomieszczenia. Było bardziej bezosobowe, jak biuro. Usiadła przy stoliku i obracała w dłoniach długopis, który przed nią położono.

– Dzień dobry, nazywam się Izabela Kostka i jestem psychologiem sądowym.
– Sawa Bogucka – przedstawiła się i wyciągnęła dłoń.
– Znam panią z internetu. – Uśmiechnęła się Kostka. – Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem pani wiedzy o psychopatach. Studiowała pani psychologię?

– Nie. To taki mój konik.
– Toksyczne relacje, manipulacja, przemoc... to dość specyficzne zainteresowania. Dlaczego akurat ta tematyka? Ma pani za sobą podobne doświadczenia?

– Hm... Błędy młodości. Kto ich nie popełniał. – Sawa nie patrzyła na psychologkę. Obracała w dłoniach napelnioną wodą szklankę.

– A jakie są pani relacje z rodzicami?
– Z mamą mam słaby kontakt. Rzadko się widzujemy.
– Zawsze tak było?
– No nie – zadrwiła Sawa. – Jak mieszkaliśmy razem, to widziałyśmy się codziennie. Kostka wytrzymała wyzywające, jak jej się wydawało, spojrzenie, które rzuciła jej

Sawa.

- Mhm... A pani ojciec?
- Nie żyje.
- Kiedy to się stało i w jakich okolicznościach?

Sawa Bogucka głośno wypuściła powietrze.

- Niedługo po mojej maturze. Spadł ze schodów i skręcił kark. Był nawalony jak bąk.
- Bardzo to pani przeżyła?

Sawa miała déjã vu. Odpowiadała już kiedyś na takie pytanie, tylko że zamiast tej wystylizowanej na punkówkę psycholożki naprzeciwko siedział Filip Gawryłow.

– Tak. Załamalam się – odpowiedziała, choć wtedy, na pierwszej sesji z Filipem, stwierdziła, że poczuła się wolna. Dopiero terapia uświadomiła jej, co naprawdę kryło się pod pozorem ucieczki.

- Z ojcem była pani bliżej niż z matką?
- Zdecydowanie.

– Korzystała pani z pomocy psychologicznej po jego śmierci? – Izabela Kostka na tym etapie rozmowy zdawała już sobie sprawę z tego, że nie wycisnie z Sawy żadnych wielkich

zwierzeń. Dziewczyna była wylewna i ekspresyjna na swoim vlogu, podczas przesłuchania buzowała emocjami, ale gdy chodziło o jej przeszłość, mocno pilnowała swojej granicy.

– Nie korzystałam. Chyba nie zdawałam sobie sprawy z problemu. Myślałam, że tak wygląda każda żałoba. Nie mogłam pogadać o tym z matką. Ona w ogóle była nie do życia. Było mi jej żal.

– Jak trafiła pani do Fundacji Junona?

– Hm... Mamie po śmierci taty ciągle brakowało pieniędzy. Nie poszłam na studia, tylko do pracy. Zatrudniłam się jako konsultantka w bankowej infolinii. To była durna praca, odmóżdżająca. I ludzie strasznie roszczeniowi. Znajoma po nocach pracowała w telefonie zaufania Junony. Mówiła, że to daje jej poczucie sensu. Poszłam z nią raz na próbę. Potem zgłosiłam się na wolontariuszkę do jakiegoś projektu. A potem zostałam dyżurantką.

– Potem organizatorką szkoleń, koordynatorką projektów i wreszcie menedżerem PR. Imponujące.

– Dziękuję.

– I w końcu poszła pani jednak na studia?

– Tak, zrobiłam licencjat z nowych mediów i komunikacji społecznej.

– W prywatnej szkole.

– Tak.

– W tej, w której wykłada pani narzeczony... pan Filip Gawryłow?

– Tak. To świetna uczelnia, nawet nie brałam pod uwagę innych – Sawie wydawało się, że wyprzedza kolejne pytanie psycholożki.

– Czesne wynosi dziesięć tysięcy za semestr. Opłacała je pani sama?

– Chyba nie muszę udzielać odpowiedzi...

– Zastanawiam się tylko, jak się pani z tym czuje. – Izabela Kostka uśmiechnęła się.

– Z czym?

– Jest pani bez wątplenia inteligentną, zdolną kobietą z dużym potencjałem. Mogłaby pani naprawdę dużo osiągnąć...

– Osiągnęłam dużo, sama to pani przed chwilą zauważyła...

– Nie spotkała się pani z zarzutami, że dużo zawdzięcza pani narzeczonemu? – zapytała psycholożka. Oczy Sawy zwęziły się w szparki. – Karierę w fundacji, studia, mieszkanie w prestiżowej lokalizacji, zagraniczne wyjazdy...

– To chyba naturalne, że kiedy ludzie są razem, to dzielą się zasobami...

– Tak, ma pani rację, ale pani status diametralnie się zmienił.

– Pani coś sugeruje? – Sawa przez chwilę mówiła jak agresywna nastolatka, którą sąsiad nakrył na picciu piwa za garażem.

– Zastanawiam się, czy nie czuje się pani czasem jak w złotej klatce.

– W tej chwili to czuję się atakowana przez panią... – odparła sucho Sawa. – Czy te pytania nie wykraczają poza pani kompetencje?

Kostka nie odpowiedziała. Wyjęła z teczki kilka kwestionariuszy.

– Czy zgodzi się pani na przeprowadzenie testu osobowości?

– Jeśli pytania będą mniej tendencyjne...

– Wystarczy, że będzie pani odpowiadać „tak” lub „nie”. Czy unika pani prac lub zadań, przy których trzeba mieć kontakt z dużą liczbą osób?

– Nie. Pracuję w fundacji. To zakłada kontakt z dużą liczbą osób.

– Wystarczy „tak” lub „nie” – sprecyzowała psycholożka z łagodnym uśmiechem. – Czy czuje się pani nieswojo, będąc sama?

– Nie.

– Czy po zakończonym związku czuje pani przymus, by szybko znaleźć kogoś, kto się o panią zatroszczy?

– Nie.

– Czy uważa pani swoje standardy moralne za wysokie?

– Raczej tak. Tak.

– Czy zdarza się pani podejrzewać swojego partnera o zdradę?

– Nie. – Sawa się zaśmiała.

– Czy często ma pani wrażenie, że słowa piosenki lub scena w filmie są skierowane właśnie do pani?

– Nie. – To pytanie rozbawiło ją jeszcze bardziej.

– Czy pani zainteresowanie kontaktami seksualnymi można określić jako duże?

Sawa przeżyła swój pierwszy raz, kiedy miała siedemnaście lat. Można powiedzieć, że zaplanowała to z premedytacją. Upatrzyła sobie chłopaka, którego zaprowadziła na Ołowiankę. Marek podobał się dziewczynom, był dobrze zapowiadającym się kanadyjkarzem, świetnie się uczył i ją szanował. To wszystko było ważne. Już wtedy życie Sawy przypominało jedno wielkie bagno. Upijała się, żeby o tym zapomnieć, a kiedy była pijana, coraz trudniej przychodziło jej opędzać się od facetów. Nie chciała stracić dziewictwa z jakimś menelem i nawet tego nie pamiętała. Nie ufała sobie, dlatego postanowiła uwieść Marka. Właściwie po prostu włożyła mu do plecaka liścik z prostym pytaniem. Wyznaczyła miejsce i godzinę. Mógł nie przyjść – wtedy mocno by się wkurzyła – ale przyszedł. Kupił prezerwatywy, środek plemnikobójczy i wino. Była z siebie bardzo dumna. Co prawda Marek chciał z nią potem chodzić, ale wyperswadowała mu to, całując się na szkolnej dyskotecie z jego kumplem. I kolegą kumpla. Była wolna i mogła robić, co jej się podobało. Seks był na wyciągnięcie ręki. Mogła mieć kochanka w trzy sekundy. Każdego. Nauczyciela historii, studenta z AWF-u, który odbywał u nich praktyki, a nawet chłopaka swojej najbliższej przyjaciółki. Nie interesował jej, po prostu chciała sprawdzić, czy jest łatwy jak inni. Był. Nawet sytuacji z Damianem, Arkiem i Sebą nie potraktowała tak poważnie, jak chciał ją widzieć Filip. Nie liczyła kochanków, niektórych nie pamiętała, tak jak Adama. Ale to wszystko było za nią. Ktoś miał wyrabiać sobie opinie o niej na podstawie głupiego testu?

– Nie. Moje zainteresowanie kontaktami seksualnymi można określić jako mieszczące się w normie.

– Czy często podrywa pani mężczyzn?

– To jest prawdziwe pytanie? – zapytała Sawa ironicznie.

– Jak najbardziej. – Kostka się uśmiechnęła.

– Nie flirtuję i nie podrywam innych mężczyzn. Jestem w związku.

– Czy zwraca pani na siebie uwagę innych osób swoim wyglądem lub sposobem ubierania się?

Sawa spojrzała na swoją czarną sukienkę z golfem i długie kozaki.

– Nie sędzę.

– Czy ma pani skłonność do mówienia i zachowywania się w teatralny lub emocjonalny sposób?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem, czy to ja powinnam oceniać. Naprawdę ktoś odpowiada „tak” na to pytanie?

– Czy ważne jest dla pani, aby inni panią podziwiali?

– Nie.

– Czy gdy widzi pani kogoś, kto osiągnął sukces, uważa pani, że to pani on się bardziej należy?

Sawa stanęła przed oczami aktorka Michalina Olszańska, z którą dwa razy ją pomyłono. Zapamiętała te sytuacje bardzo dokładnie. Raz w Gdyni, kiedy spacerowała bulwarem w trakcie festiwalu filmowego. Drugi raz w Warszawie, w jakiejś knajpie, do której poszła z Filipem. Oczywiście był zachwycony i wręcz podjudzał ją, żeby pozowała paparazzo. Potem chciał nawet kupić te zdjęcia, ale facet się wkurzył, kiedy zorientował się, że nie ma do czynienia z aktorką. Różniły się przede wszystkim kolorem włosów, ale Sawa uważała się za ładniejszą. Gdyby dotarła na ten przeklęty egzamin do Akademii Teatralnej, może byłaby z nią na roku. Czekalaby teraz na premierę filmu z sobą w roli głównej, nie spotkałaby Adama. Udzielałaby wywiadu do „Elle”, a nie odpowiadała na pytania z testu na zaburzenia osobowości.

– Nie. Dobrze życzę innym ludziom.

– Czy często działa pani pod wpływem impulsu?

– Nie.

– Czy w pani związkach pojawiają się gwałtowne wzloty i upadki?

Sawa pomyślała o Adamie. Nie o Filipie, ale właśnie o Adamie.

– Nie...

– Czy często miewa pani trudne do opanowania wybuchy gniewu?

– Tak i w tym szale zwykłam dusić wszystkich mężczyzn, którzy staną mi na drodze.

Czy ten test jest w ogóle wiarygodny? – zirytowała się.

– To już moje zmartwienie – odparła Kostka. – Proszę panią tylko o odpowiedź na pytanie, czy zdarzają się pani trudne do opanowania wybuchy gniewu?

– Zdarzają mi się wybuchy gniewu. Ale umiem je szybko opanować.

* * *

Filip Gawryłow zapukał do drzwi łazienki. Dochodziła szesnasta. Sawa wstała z łóżka godzinę wcześniej i od tego czasu siedziała w wannie.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Usłyszał niewyraźny głos.

– Mogę wejść?

– Zaraz wychodzę.

Pięć minut później Sawa stanęła w kuchni całkowicie ubrana, mokre włosy owinęła turbanem z białego ręcznika. Otworzyła szafę w przedpokoju i wyjęła z niej czarną sukienkę, na której powiewała jeszcze metka.

– Wybieramy się gdzieś? – zapytał Filip. W jego głosie słyhać było ożywienie. Zaczynał martwić się faktem, że Sawa głównie śpi.

– Chcę tylko zobaczyć, jak w tym wyglądam. Jutro pogrzeb.
– Ale chyba na niego nie idziesz?
– Niby dlaczego?
– Sawa, zjedzą ciebie i nas. Dziennikarze tylko na to czekają.
– Mam ich w dupie. To był mój przyjaciel. Jak to będzie wyglądało, jeśli nie pójde na jego pogrzeb? I jeśli nie będzie nikogo z fundacji. – Sawa szarpała się nerwowo z metkami.
Filip delikatnie zabrał jej sukienkę z rąk i sięgnął po nożyczki.
– Moja mama będzie. Już to ustaliła – wytłumaczył spokojnie.
– Z kim? – zapytała Sawa zaczepnie. – Wciąż oficjalnie jestem prezeską Junony.
– Prezeską zawieszoną w obowiązkach. Poza tym nie chcieliśmy zwracać ci tym głowy. Sawa, nie możesz tam iść. Matka wystarczająco się dla ciebie poświęca, a jeśli w grę wchodzi dobro fundacji, to jest nieugięta.
– No tak. Ciężko dyskutować z jej pieniędzmi. Przynajmniej ja nie mam szans.
Filip wiedział, że chodzi o sto pięćdziesiąt tysięcy kaucji, którą jego matka wpłaciła, żeby Sawa nie musiała czekać na proces w areszcie.
– Możemy coś zamówić i dokończyć nasz serial – zaproponował, żeby zmienić temat.
– Dokończyłam wczoraj. Nudziło mi się.
Sawa jednym ruchem zrzuciła ręcznik i zaczęła zakładać na gołe ciało czarną sukienkę. Stanęła tyłem do Filipa, czekając, aż zapnie jej zamek. Zrobił to bez żadnego komentarza.
– Chcesz gdzieś wyskoczyć na weekend? Może na półwysep?
– Nie mam ochoty na wycieczki.
– Dobra, to wybierzmy jakąś grafikę do salonu. Tej artystki, którą lubisz. Sawa...
– Co? – zapytała ostro.
– Wiesz, że tu jestem. – Filip podszedł bliżej. – Możemy o tym porozmawiać, a jeśli nie chcesz ze mną, to mogę załatwić ci najlepszego psychologa w mieście. Powiedz tylko jedno słowo.
– Okej. Nie.
Podeszła do lodówki. Wyjęła chleb, masło, łososia, szpinak i zaczęła przygotowywać sobie kanapkę. Nagle rzuciła nóż do zlewu.
– Jeśli tak bardzo chcesz mi pomóc, to możesz zeznawać.
– Będę zeznawać, jak tylko zostanę wezwany na przesłuchanie. Mam wychodzić przed szereg?
– Jesteś szanowanym terapeutą, pracujesz w fundacji, twoje słowa coś znaczą. Byłabym dzięki tobie bardziej wiarygodna.
– To nie jest takie proste...
– Bo?
– Bo będę musiał przyznać, że byłaś moją pacjentką, zanim zaczęliśmy się spotykać jako para. To mnie pograży. Muszę się do tego jakoś przygotować. Obmyślić plan z mecenasem Gojkiem, żeby całkiem nie stracić twarzy.
– Niesamowite, że nawet w takiej chwili martwisz się głównie o swoją dupę.
– Dobrze wiesz, że to nieprawda. – Filip próbował opanować emocje. Wiedział, że Sawa uderza w niego, bo jest wzburzona. Przynajmniej on musiał zachować zdrowy rozsądek.
– Oboje źle na tym wyjdziemy. Znam całą twoją przeszłość. Twoje myśli, twoje zachowania, moje notatki, to wszystko jest w dokumentacji, którą trzymam...

– Aha, czyli z twojej dokumentacji wynika, że jestem psycholką, tak? To może z tobą też jest coś nie tak, bo się ze mną związałeś, co? Chory ze zdrowym nie zatańczy, sam mi to mówiłeś! I co? Wpisałeś sobie w notatkach, że jestem borderem? Postanowiłeś się ze mną umówić przed czy po tym, jak do tego doszedłeś? Kręciło cię to?

– Sawa... – Filip opanował gniew. – Nie rozumiesz, że nie chcę składać zeznań właśnie po to, żeby cię chronić? Do twojej wiadomości: nie wpisałem nigdzie, że jesteś borderem, bo nie jesteś. Co nie znaczy, że pozostałe informacje świadczą na twoją korzyść. Jeśli trafią w ręce psychologa, od razu wysnuje na twój temat wydumane teorie, które mogą go doprowadzić do niewłaściwych wniosków. Powiedziałem ci, jak masz się zachowywać na przesłuchaniu, żeby nie dawać im nawet mikroskopijnego punktu, o który mogliby się zaczepić! To mało? Co mam jeszcze zrobić? Pomijać niewygodne fakty z twojego życia, żeby przedstawić cię w lepszym świetle? Musiałbym kłamać pod przysięgą.

– Może właśnie tym się różnimy, Filip, że ja bym dla ciebie skłamała.

Nie brał jej słów na poważnie. Była zbyt roztrzęsiona.

– Poza tym jakie straszne fakty masz na myśli, co? – Odwróciła się nagle do niego. Miała oczy pełne łez. – Chodzi ci o ten epizod w moim życiu, kiedy dymałam się z kim popadnie? Może to sprawia, że jestem szmatą, ale czy robi ze mnie morderczynię?

– Nie jesteś szmatą. Przerabialiśmy to. Miałem na myśli twoją relację z ojcem.

– To ty wymyśliłeś, że coś było nie tak z tą relacją. Chciałeś tego. Przekonałeś mnie do tej teorii, tak samo jak do tego, że zgwałcili mnie koledzy z klasy. – Trzęsa się. – A może ja miałam taką fantazję i chciałam się ruchać z trzema typami naraz! Ale ty nie mogłeś tego znieść! Musiałeś zrobić ze mnie ofiarę, żebyś pasowała do twojej wizji. To samo robisz teraz. Ty i twoja matka.

– Co niby robimy? – Dopiero teraz się wkurzył. – Stajemy na głowie, żeby wyciągnąć cię z tego syfu! Matka za ciebie poręczyła, uruchomiła wszystkie kontakty w innych organizacjach, w mediach... Więc o czym ty, do nędzy, mówisz?

– O tym, że wy nie robicie tego dla mnie, tylko dla siebie. Jak byście wyglądali, gdyby okazało się, że przyjęliście pod swój dach zabójczynię? Że pozwoliliście jej kierować fundacją, wypowiadać się w jej imieniu? Nie... Wy musicie zachować przede wszystkim swoją twarz. Dlatego nikt nie może się dowiedzieć o mojej przeszłości. W rodzinie Gawryłowów jest miejsce dla zbłąkanej duszyczki, ale nie dla czarnej owcy.

Filip rzadko przyznawał się przed sobą, że w takich sytuacjach nie wiedział, co wybrać: być narzeczonym Sawy czy jej terapeutą. Ten pierwszy jak najszybciej wyszedłby z kuchni. Ten drugi wiedział, że musi wytrwać dla niej. Druga opcja była też w pewnym sensie łatwiejsza. Pozwalała mu nie mierzyć się z własnymi emocjami. Zachować dystans i chłód.

Dobrze pamiętał sesję z Sawą, na której doszło do przełomu. Długo nie chciała przyjąć do wiadomości, że zachowanie jej ojca było przekraczaniem granic. O zdarzeniu z liceum opowiadała beznamytnie. Kiedy zapytał, czy nie czuła się wykorzystana, odpowiedziała, że nie. Żałowała tylko, że się nie ogoliła. To stwierdzenie zszokowało Filipa. Nawet w takiej chwili myślała o tym, że mogła źle wypaść. Długo trwało, zanim przyznała, że nie miała ochoty na seks i zrobiła to, żeby zyskać uznanie koleśki, za którymi szalały dziewczyny.

Filip wiedział, że – zwłaszcza w świetle jej wcześniejszych traum – po tym, co się stało z Hinzem, Sawa powinna jak najszybciej wrócić na terapię. Oczywiście nie do niego, ale on też musi działać. Przekonać ją w spokojny sposób, bez nacisków, dać jej czas.

Sawa stała tyłem do Filipa, mężczyzna podszedł i objął ją ramionami. Momentalnie poczuła się jak wtedy. Uścisk ramion wokół jej żeber wydawał się z żelaza. Usłyszała szept blisko ucha: „Nigdy cię nie puszcze”. Zanim zdała sobie sprawę, że to tylko flesz z przeszłości, odskoczyła od Filipa.

– Nigdy mnie tak nie dotykaj!



WTEDY

Sawa siedziała przy stoliku przed Słonym Spichlerzem i przeglądała menu. Miała ochotę na różowego lilleta z prosecco, ale czekała z zamówieniem na Ewę, która spóźniała się już piętnaście minut. Nie odpisała też na esemesa, więc Sawa doszła do wniosku, że jej koleżanka jest w drodze albo próbuje znaleźć miejsce do zaparkowania w okolicach starówki, co w czwartkowy wieczór zdarzało się rzadziej niż objawienia maryjne.

Ludzie tłoczyli się na drewnianym podeście w oczekiwaniu na wolne miejsce w restauracji. Sawa miała wrażenie, że patrzą na nią z wyrzutem. Nie dość, że sama zajmowała cały stolik, to nawet nic nie zamówiła. Była coraz bardziej zniecierpliwiona. Żeby zająć czymś ręce, wyjęła telefon i wybrała numer Ewy.

– Halo, jesteś już gdzieś blisko? – zapytała wesoło, mimo że głos, który ją powitał, był słaby i cichy.

– O Boże... zapomniałam...

W pierwszej chwili Sawa poczuła złość. Siedziała tu sama, jak ta idiotka, a Ewka zwyczajnie ją olała i nawet nie zamierzała przeprosić.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zmitygowała się szybko.

– Nie wiem... Nie wiem, co mam robić...

– Ewa? Gdzie jesteś?

– W domu...

– Piłaś coś?

– Niee... trochę wina. Wzięłam dwa xanaxy, bo już nie mogłam wytrzymać – mówiła bardzo wolno, wypowiedzenie każdego słowa wiązało się z wysiłkiem.

– Zaraz u ciebie będę. Otwórz drzwi.

Sawa wstała od stolika i przepchała się przez grupkę ludzi blokujących przejście. Zignorowała nawet tekst „no, nareszcie”, który rzuciła w jej stronę jakaś baba. Na szczęście Ewa mieszkała na Stogach, więc odpadało przebijanie się przez zakorkowane centrum. Dwadzieścia pięć minut później była na miejscu.

– Ile tego wzięłaś? – Sawa wściekła się na widok pustego opakowania tabletek uspokajających. – Wypiłaś całe to wino? Ewka... Masz dzieci, do kurwy nędzy!

Złapała półprzytomną kobietę pod ramiona i zawlokła ją do łazienki. Wcisnęła jej do ust dwa palce.

– Wyrzygaj to!

Ewa włożyła palce głębiej, do gardła, i z jej żołądka chlusnęła czerwona maź.

– Jeszcze!

Ewa zwymiotowała kilka razy. Na czworakach weszła pod prysznic i usiadła w brodziku. Sawa odkręciła ciepłą wodę i zaczęła polewać nią koleżankę.

– Nie wzięłam dużo. Przysięgam. Dwie tabletki, żeby się uspokoić. Jedna już nie działa. Nie powinnam popijać winem... Ja już nie wiem, co mam robić, Sawa. Jego prawnik mówi teraz, że Maciek może zabrać mi dzieci. Jak to jest w ogóle możliwe po tym, co zrobił? Wciągnął w to swoją matkę. Twierdzi, że ona lepiej zaopiekuje się dziewczynkami niż ja. Robi ze mnie pijaczkę...

– No to nieźle mu pomagasz.

– Nie dobijaj mnie... – Ewa zaczęła płakać. – I jeszcze wynajął tego faceta...

– Jakiego faceta?

– Jakiś gość chodzi za mną. Najpierw myślałam, że mi się wydaje, potem, że świruję. Ale ten typ jest wszędzie, gdzie pójde. Na przystanku pod domem, jak wychodzę do pracy. Po południu pod biurem. Pod szkołą dziewczynek.

– Zaczepiał cię?

– Najpierw tylko się gapił, potem zaczął mówić mi „dzień dobry”. A kiedy się wkurzyłam i zapytałam, czego chce, dał mi list.

– List?

– Ten wiersz Tetmajera wydrukowany na kartce.

– Co za kutas. – Sawa była wściekła. – Wstawaj. Ubierz się, jedziemy to zgłosić.

– Ja już rozmawiałam z policją, Sawa. Byłam u nich, pokazałam ten list. Powiedzieli, że to za mało i na razie nic nie mogą zrobić, bo Maciek nie naruszył zakazu zbliżania.

– Kurwa...

– Nie mam już siły, nie wiem, co robić...

Sawa usiadła na ubikacji. Patrzyła na Ewę.

– Coś wymyślimy. Nie zostawię cię.

* * *

Sawa wyobraziła sobie, jak upija pierwszy łyk głębokiego, miękkiego saperavi o aromacie liści laurowych. Nie mogła doczekać się wieczora. Zaprosiła dziewczyny z Junony, Alicję i Paulinę, która zajmowała się szkoleniami, na kolację do A Presto. Musiała odreagować sytuację z Ewą i ciężki tydzień w fundacji. Nastąpiła jakaś kumulacja i codziennie nowa klientka zgłaszała znęty. Piątek nie zapowiadał się źle. Rano miała spotkanie komisji interwencyjnej w sprawie Zakątka. Weszła do biura, ale zamiast iść prosto do swojego gabinetu, usiadła w sekretariacie na krześle przeznaczonym dla klientów i patrzyła tępo w okno.

– Zakątek? – domyśliła się Alicja.

– Nie rozumiem tego. Jakbym kopała się z koniem. Po chuj ta komisja, skoro miasto i tak nie słucha lokatorów.

– Przeprowadziliście ankietę?

– Tak. Jest tak, jak myślałam. Jedyne rozwiązanie, jakie widzą mieszkańcy, to wyprowadzka. Nie można ich wszystkich trzymać na kupie. Oczywiście to nie wchodzi w grę, bo niby gdzie ich mają tak nagle umieścić. Więc siedzimy tylko na tych spotkaniach i pierdolimy od rzeczy. – Sawa oparła się o ścianę. – Za to wyjaśniła się przynajmniej zagadka z prądem. Pamiętasz? Zimą w całym bloku nie było ciepłej wody i ogrzewania, ale elektrownia upierała się, że to nie z ich winy. No i mieli rację. Jeden z mieszkańców, jakiś dziadek, z nieznanym nikomu przyczyn postanowił urządzić sobie na klatce schodowej pisuar. Wiesz, jakie tam są ściany. Jakiś karton-gips i na to farba. Facet wydłubał paluchem dziurę i tam lał. Tygodniami. Okazało się, że sikał na rozdzielnię prądu.

– A co było nie tak z ubikacją w jego mieszkaniu?

– Nie pytaj mnie.

Sawa wstała, bo w korytarzu zrobił się ruch. Usłyszały płacz niemowlaka i podniesiony głos kobiety karzącej starsze dzieci, które kłóciły się o cukierka. Cała gromadka po chwili wypełniła sekretariat. Trójka dzieciaków w wieku od czterech do siedmiu lat dosłownie rzuciła się na zabawki w kąciку malucha. Ich matka stała w drzwiach z najmłodszym na rękach.

– Nie mamy gdzie iść – oznajmiła.

Alicja poprosiła, żeby usiadła, zaproponowała jej coś do picia. Kobieta zajęta krzesło i od razu się rozpłakała. Kiedy trochę ochłonęła i wypła herbatę, zaczęła mówić, ale co chwilę zaczynała się z powodu nowej fali płaczu. Jej opowieść była nieskładna i pourywana. Sawa zrozumiała tyle, że kobieta uciekała przed mężem. Kolejne zneży na koniec długiego tygodnia.

– Ja nie wiedziałam, kiedy on wróci, w środku nocy czy w środku dnia. Jak słyszałam ciężkie kroki na klatce, to już mi serce do gardła szło. Wiedziałam tylko, że na pewno będzie nachlany. I że będzie bicie... – Spojrzała na maluchy bawiące się na piankowej macie i znowu zaczęła łkać. – On wchodził z drzwiami.

– Z drzwiami? – dopytała Sawa.

– No, kop w drzwi i tak wchodził. Najpierw to ja zamawiałam fachowca i kazałam te drzwi wstawiać, ale ile na to pieniędzy szło... Potem przestałam i zawiesiłam zasłonkę, a drzwi tylko przystawiałam. Na szczęście mieszkamy na końcu korytarza, to tak bardzo aż nie ciągnęło z dworu. I tak nic nie mamy, a pieniądze trzymałam pod poduszką. No i w końcu on wszedł z drzwiami i z maczetą. Ja nie wiem, skąd on to w ogóle wziął. Ja siedziałam z dziećmi na łóżku. Jak on wszedł do sypialni, to się zamachnął i przewrócił. No to ja raz-dwa dzieciaki przez okno i sama skoczyłam. Bo my na parterze mieszkamy.

– Rozumiem... – Sawa pokiwała głową. Nie wiedziała, czy jeszcze jakaś z wielu podobnych opowieści jest w stanie ją zadziwić. – I przyszła pani od razu do nas, tak?

– Co? Nie! – zaoponowała kobieta. – To było dawno. Ja potem jeszcze dwa lata z nim mieszkalam. O, dzieciaka mi nawet zrobił. – Skinęła na niemowlę, które siedziało na jej kolanach i bawiło się kawałkiem tetrowej pieluchy. – Teraz on wstawił drzwi i jeszcze gnój zamki zmienił. No to przyszłam do was.

Dom na końcu ulicy Czereśniowej w Otominie był zbudowany w stylu szlacheckiego dworku. Miał spadzisty czerwony dach z zaokrąglonymi lukarnami, do wejścia prowadziły białe marmurowe schody. Po obu stronach drzwi znajdowały się dwie kolumny porośnięte bluszczem. Szczupły blondyn, który wyszedł na posesję, miał na sobie lansiarski strój do joggingu z pełnym wyposażeniem: nerka z miejscem na bidon, opaską na ramię, czapkę z daszkiem, frotkami na nadgarstki, wszystko znanych sportowych marek.

– Pomóc? – zawołał do sąsiadki z domu naprzeciwko, która próbowała wyciągnąć z samochodu wielką palmę w ciężkiej donicy.

– O, cześć! Jak miło – odrzyknęła. – Będę wdzięczna.

Blondyna nie można było nazwać osiłkiem. Był szczupły i miał nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, niewiele więcej niż jego sąsiadka. Spróbował podnieść roślinę sam, ale momentalnie zgiął się pod jej ciężarem. Zaśmiał się, żeby zatuszować zażenowanie.

– Razem? – zaproponował, żałując, że w ogóle zgłosił się do pomocy.

Cała akcja trwała jakieś dziesięć minut i wyglądała groteskowo. Skończyło się tak, że musieli przesuwać donicę po bruku, a następnie wciągać ją po jednym schodku. Kiedy blondyn w końcu wyszedł na drogę, był zziąjany i czerwony. Jego twarz zdradzała poirytowanie. Stał na środku drogi i zastanawiał się, w którą stronę pobiec. Wytarł frotką czoło, splunął do kałuży i ruszył w stronę jeziora.

Adam odczekał, aż tamten zniknie za zakrętem, i wsiał na swoje ostre koło. Całą drogę trzymał się za facetem w sporej odległości, dopóki nie dotarli do Zamkowej Góry. Z drugiego brzegu jeziora dochodziły głosy ludzi, którzy powoli zjeżdżali na plażę, rozkładali koce i grille. Blondyn zatrzymał się na ścieżce, pochylił, oparł dłonie na kolanach i ciężko oddychał. Adam podciągnął na twarz sportową chustkę, którą miał na szyi. Rozejrzał się. Rzucił rower, wyjął z plecaka metalową rurkę i na dzień dobry podciął nią biegaczowi nogi. Facet zawył i upadł na ziemię. Adam z zimną precyzją celował rurką w piszczele. Krew pojawiła się natychmiast. Mężczyzna był w takim szoku, że wydobywał z gardła jedynie dzikie wycie.

– Stul mordę! – Z całej siły grzmotnął gościa pięścią w skroń. – Taki jesteś odważny i silny, co? – Adam usiadł okrakiem na mężczyźnie i okładał pięściami jego twarz. Trysnęła krew.

– Nie mam przy sobie pieniędzy, weź mój zegarek... – dyszał facet. Próbował sięgnąć do nadgarstka, ale dostał kolejny cios w twarz, a potem w brzuch. Zawył z bólu i skulił się jak pancernik.

– Pierdolę twój zegarek! – Adam znowu stał i sięgnął po rurkę. Cedził słowa. Po każdym następowało kolejne uderzenie. – Chcę. Żebyś. Był. Kurwa. Grzeczny. I miły dla wszystkich pań. Wszystkich, kumasz, cwelu? Powiedz, że kumasz!

– Kumam... Kurwa, zabijesz mnie! – wył facet.

– Tylko jeśli nie posłuchasz.

Na pożegnanie Adam grzmotnął głową gościa o podłoże, odskoczyła jak piłka. Facet leżał na wznak, uwalony ziemią i krwią. Nie ruszał się. Adama, który w trakcie bójki czuł jedynie wyrzuty adrenaliny, teraz przeszedł zimny dreszcz. Rozejrzał się. Wokół nie było nikogo. Leśną ciszę wciąż przerywały radosne krzyki dzieci i śmiech, dochodzące z drugiego brzegu. Adam powstrzymał zbliżający się atak paniki. Pochylił się i z ulgą stwierdził, że typ oddycha. Ściągnął mu buty, czapkę, zegarek i naramienną opaskę. Wrzucił to wszystko do

plecaka i wsiadł na rower. Zjechał głęboko w las, w stronę Bąkowa, żeby nie napatoczyć się po drodze na żadnych spacerowiczów. Zwolnił dopiero, kiedy dojechał do S7. Zanim dotarł do Gdańska, zatrzymał się tylko na stacji benzynowej, żeby wyrzucić fanty.

* * *

Kawałki karmelizowanej ośmiornicy topniały w ustach. Gęsty, winno-słodki sos stanowił boskie połączenie z delikatnym purée z groszku.

– Muszę zgwałcić kucharza... – powiedziała Alicja. – O przepis – dodała, widząc zaskoczony spojrzenie Sawy. – Głupi tekst, sorry.

– Możemy zawsze poprosić go do stolika, moje jedzenie też jest genialne – stwierdziła Paulina.

– Nie, dajmy mu lepiej spokój – odezwała się Sawa.

Odetchnęła, kiedy dziewczyny zmieniły temat i zapomniały o swoim pomysłe. Wypiły dużo wina i nie mogły zebrać się do wyjścia, mimo że minęła dwudziesta trzecia i były ostatnimi obsługiwanymi klientkami. Kelner dyskretnie poprawiał nakrycie na pozostałych stolikach.

– My się już zbieramy – zapewniła go rozbawiona Alicja. – Chyba że może nam pan zrobić jeszcze jakieś drinki...

– Niestety, bar jest już zamknięty – oznajmił chłopak uprzejmie. – Mogę paniom polecić inne miejsce.

– Ale tylko, jeśli pójdzie pan z nami! – zapiszczała Alicja.

Kelner roześmiał się. Sawa nie słyszała dalszej rozmowy, bo skupiła się na esemesie, który właśnie do niej przyszedł. Wpatrywała się w ekran smartfona. Zrobiło jej się gorąco.

– Idziesz z nami, Sawa? – Alicja, Paulina i kelner stali nad nią ubrani i gotowi do wyjścia.

– Co? Nie, jestem zmęczona, dzięki.

Namawiały ją jeszcze przez chwilę, ale Sawa była w stanie myśleć tylko o tym, co przeczytała. Pożegnała się z dziewczynami przed wejściem. Odczekała, aż towarzystwo się oddali, i wyszła na zewnątrz. Wiał silny wiatr, ale nie przeszkadzało jej to. Musiała pooddychać świeżym powietrzem. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Adama.

Światła w A Presto zgasły, a po chwili otworzyły się drzwi, którymi wchodził personel i dostawcy. Sawa ruszyła w stronę przystani kajakowej.

– O, cześć – zaczęli ją stojący w drzwiach Adam.

– Hej. Musimy pogadać.

Adam zaprosił Sawę do środka. Czują dziwne mrowienie w palcach, więc zaczęła nimi poruszać.

– Co jest? – Mężczyzna oparł się o stalowy blat w kuchni.

– Dostałam wiadomość od Ewy Kosteckiej. Jej byłego znaleźli nad Jeziorem Otomińskim. Ciężko pobitego.

– Why... I co z nim?

– Złamane kości strzałkowe, niektóre rany miały ponad dwa centymetry. Do tego wstrząśnienie mózgu.

– Wylize się.

– Kurwa, on przecież zgłosił to pobicie.

– Nie zgłosił. Obiecał mi.

– Tobie? Ty go tak urządziłeś? Twój kumpel miał go tylko postraszyć.

Adam spojrzał na nią z udawanym zawstydzeniem. Podrapał się po wygolonej potylicy.

– Kolega wymiękł, musiałem wziąć sprawy w swoje ręce.

Sawa oparła się o stół stojący na środku kuchni.

– Nie ma za co. – Adam wzruszył ramionami. – Mogłabyś tylko czasem odpisać mi na wiadomość.

Po tamtej nocy, kiedy spał na plaży, wysłał Sawie kilka esemesów, w których przeproszał, że nadużył jej gościnności i wywołał dyskomfort. Już następnego dnia uznał je za żenujące, a jeszcze później zestresował się, że jego wypociny przeczytał Filip Gawryłow. Nie rozumiał, dlaczego Sawa milczała. Przecież nie mógł się pomylić. To nie było możliwe, żeby nie czuła tego samego co on. Tej dziwnej energii czy aury. Nie miał pojęcia, jak to nazwać, bo wszystkie porównania wydawały mu się durne, gdy tylko formował je w słowa. Ludzie mówili, że w takich chwilach lecą iskry. Prawie je widział. Miał wrażenie, że w chwili, gdy dotknie ciała Sawy, popieści go prąd. W kolejnej wiadomości napisał więc, że ciągle o niej myśli, nie może przestać nawet na minutę. Boże, tak bardzo chciał zobaczyć odpowiedź z dwoma króciutkimi słowami: „Ja też”. Tylko tyle. Pięć liter wystrzeliłoby go w kosmos szybciej niż wyrzutnia rakiet. Cisza, która zaległa po jego wyznaniu, wierciła mu dziurę w mózgu. Brzęczała jak pierwsza wiosenna mucha. Serce mało nie wyskoczyło mu z za żeber, kiedy kilka dni później zobaczył na wyświetlaczu połączenie od Sawy. Najpierw pomyślał, że opierdoli go z góry do dołu i powie, żeby zachował swoje smuty dla siebie. Ale ona zaczęła mu się zwierzać. Szukała u niego pomocy. Może to nie było to, czego pragnął, żadna deklaracja z jej strony, ale przecież mogła zadzwonić do kogoś innego. Wiedziała, co robi.

– Nie miałam pojęcia, co napisać... – powiedziała cicho.

Tym razem Adam nie zignorował impulsu. Ukląkł przed Sawą, jego twarz znalazła się na wysokości wżgórka łonowego. Czuł jego twardość przez materiał. Przyłożył do niego policzek, trzymał mocno pośladki Sawy, żeby być jeszcze bliżej niej. Poczuł na głowie jej dłoń. Bał się, że go odepchnie, ale nie zrobiła tego. Materiał sukienki nagle zaczął się podnosić. Trzy sekundy później spierzchnięte usta Adama dotykały koronki majtek, przez którą przebijały się krótkie jasne włoski. Sawa odsunęła skrawek materiału i stało się to, czego Adam się spodziewał. Wypełniła go elektryczna energia.

* * *

Z pokoju sąsiadującego z sypialnią Adama dochodziły krzyki. Jego współlokatorzy byli parą młodych artystów. Tak o sobie mówili. Ona robiła instalacje z żyletek, on nagrywał dotykających się ludzi. Pokazywali czasem swoje dzieła Adamowi, ale patrzył na nie sceptycznie. Nie rozumiał takiej sztuki. W ogóle nie rozumiał ludzi, którzy bujali w obłokach.

Gardził zajęciami nieprzynoszącymi namacalnego pożytku. Do tego tamta dwójka była wyjątkowo temperamentna. Głośno się kłócili i głośno godzili.

Adam poczuł parcie na pęcherz. Podniecenie zaczynało być bolesne. Sceny pojawiające się w jego głowie nie pomagały. Nagie, jasne ciało Sawy na stalowym stole. Jej włosy rozsypane na jego biodrach. Odgarniał je, żeby mieć lepszy widok, ale i tak się wymykały, kiedy poruszała głową. Jej zapach i smak lepszy niż jakakolwiek potrawa, która powstała w tym miejscu. Wydawało mu się, że ten zapach wrył mu się w mózg, że już nigdy nie poczuje nic innego. To wcale nie byłoby takie złe. Jęknął w poduszkę, ręką wymacał telefon na prześcieradle. Główny ekran był pusty, żadnych powiadomień o nowych wiadomościach. Z jednej strony rozczarowało go, że Sawa nie odezwała się ani słowem, odkąd wyszła z A Presto, z drugiej – nie napisała też, że to był błąd, że nie chce go więcej widzieć na oczy. On napisał tylko raz. Dzień później. Że jest cudowna. Uznał, że to nie będzie zbyt nachalne i w razie czego da się wytłumaczyć przed jej facetem. Zwyczajny, koleżeński wyraz sympatii. Nie chciał jej robić problemów. Chciał tylko jak najszybciej znowu ją zobaczyć. Wieczorem wysłał jej kolejną wiadomość, tym razem z prośbą o spotkanie. Ta również pozostała bez odpowiedzi. Irytowało go to. Postanowił złożyć Sawie wizytę w fundacji.

– Jesteś umówiony? – zapytała, kiedy zobaczyła go w korytarzu. Była wyraźnie przestraszona.

– Nie, chciałem pogadać... – zaczął, ale jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Odruchowo zerknęła na drzwi, za którymi Filip prowadził sesje. – Chciałem pogadać o mieszkaniu – uspokoił ją. – Ale tylko z tobą.

Sawa wzięła od Alicji formularz dla Adama i głośno zaznaczyła, że będzie szukała dla niego lokum do wynajęcia. Sekretarka w ogóle nie zwróciła na nią uwagi, była zajęta jakimś raportem.

Minutę później siedzieli we dwoje w gabinecie Sawy.

– Musisz wypełnić to wszystko. – Podała mu papiery. – Wpisz swoje zarobki, wydatki, ile ci zostaje i tak dalej.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– O czym?

– Śmieszne. Teraz powiesz, że to był błąd i żebyśmy o wszystkim zapomnieli, tak?

– A co chciałyś usłyszeć? – zapytała oschle.

– Że niedługo to powtórzymy.

– Adam, ja mam swoje życie, ty masz swoje.

– Aha, i przyszłaś do mnie wieczorem, bo tak bardzo ci się to twoje życie podoba.

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć o Kosteckim. Żebyś uważała.

– I przypadkiem nadziałaś się na mojego kutasa.

Sawa spojrzała na niego z niesmakiem. A przynajmniej tak to miało wyglądać. Nie sądziła, że na sam widok tego człowieka robi jej się wilgotno w majtkach. Krew krążyła szybciej, oddech stał się płytki. Wydawało jej się, że oboje mają wypisane na czołach: „Pieprzyliśmy się jak wygłodniałe zwierzęta”, i przeczytałyby to każdy, kto w tym momencie wszedłby do pokoju.

– Dobra. Widzę, co jest grane – stwierdził Adam. – Nie oczekuję, że rzucisz dla mnie pana doktora i wyprowadzisz się z apartamentu za dwie bańki. Ale gdybyś chciała zrobić ze mnie chłopca na telefon... znasz mój numer.

Kiedy Adam wyszedł, Sawa uderzyła się dłonią w policzek. Zaboląło, ale niewystarczająco. Poprawiła z drugiej strony, mocniej. Poczwała chwilową ulgę. Dawno nie radziła sobie z emocjami w ten sposób. Od czasu, gdy zaczęła spotykać się z Filipem.

* * *

Po dwóch tygodniach Adam stracił nadzieję, że Sawa jeszcze się do niego odezwie, ale i tak czuł ekscytujące mrowienie, kiedy patrzył na każde przychodzące połączenie. Bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył na wyświetlaczu numer Dominiki.

– Hej. Jak chcesz, możesz zobaczyć chłopaków. – Miała opanowany, dziwnie spokojny głos. Zupełnie do niej nie pasował. – Ale u nas w mieszkaniu.

Adam ucieszył się, bo zabranie synów do meliny, w której po pokojach ganiali się nawiedzeni artyści, i tak nie wchodziło w grę. Umówił się z żoną, że weźmie wolny weekend w pracy, przyjedzie w piątek i zostanie do niedzieli. Dominika miała w tym czasie wyjechać do koleżanki.

Pierwszej nocy świetnie się bawili. Adam uczył chłopców piec pizzę, potem oglądali *Deadpoola*. Zabronił synom wspominać o tym matce, zresztą i tak nie miała pojęcia, co to za film. Nie chciała iść z nim do kina, kiedy jeszcze byli razem. W sobotę zabrał dzieci do zoo i na lody. Szarpnął się na vipowską gondolę w AmberSky. Do późna grali w *Minecrafta*.

W środku nocy obudził się gwałtownie. Coś go przygniotło. Potrzebował kilkunastu sekund, żeby zorientować się, że położyła się na nim Dominika. W uchu czuł jej mokry język.

– Co ty robisz? – Zrzucił ją.

– Aua! – zawyła. – Uderzyłeś mnie.

Rzeczywiście usłyszał grzmotnięcie w szafkę, ale Dominika nie bardzo się tym przejęła. Zrzucała z siebie ubrania. Ściągnęła mężowi T-shirt.

– Domi, co ty robisz...

Dominika złapała go za krocze. Jego penis wykazał nawet odruchową reakcję, mimo to Adam nie był pewien, czy chce uprawiać seks z prawie byłą żoną. Zanim zdążył odpowiedzieć sobie na to pytanie, poczuł wokół żołądźci usta Dominiki. Nie było to nieprzyjemne doznanie, choć nie wywoływało w nim żadnych większych emocji. Rzucił żonę na łóżko, ściągnął jej majtki.

– Wróć do nas, Adaś. – Oddech Dominiki śmierdział alkoholem.

– Nie mówisz poważnie. – Adama załała zimna fala. Podniecenie opadło.

– Poważnie mówię, nooo...

– Jesteś pijana.

Dominika zrzuciła go i usiadła na łóżku, ale miała problem z utrzymaniem pionu.

– Aha! Jak masz mnie ruchać, to ci nie przeszkadza, ale jak masz wrócić, to nagle jestem pijacką! – wybełkotała. – Nie chcesz mnie, tak?

– Domi...

– Albo mnie chcesz, albo mnie nie chcesz... – Kiwała się na boki.

– Pogadamy jutro, okej? – Adam próbował ją uspokoić.

– Wiesz, co? Wypierdalaj, okej?

– Kurwa, Dominika, znowu to samo?
– Ja ci dam „kurwa, Dominika”! – Rzuciła się na niego z pięściami.
– Ciszej, obudzisz chłopców...
– Nie wycieraj sobie gęby chłopcami, ty szmaciarzu! – Dominika waliła na osłep, ale zanim zdążył się zasłonić, trafiła w łuk brwiowy.

Ciepła krew spływała Adamowi do oka. Przyłożył do rany koszulkę. Dominika usiadła na łóżku i masowała dłoń.

– Możesz spać na kanapie.
– Powiedz chłopcom, że zadzwonię. I podpisz plan rodzicielski, leży na komodzie.

* * *

Było po dwudziestej trzeciej, nocne miasto dudniło życiem. Ludzie oblegali barowe ogródki, siedzieli na schodkach kamienic, parapetach, krawężnikach, stali w grupkach na ulicy. Adam szedł szybkim krokiem i co chwilę kogoś potrącał, ale tamci na szczęście byli zbyt rozbawieni i pod wpływem, żeby poświęcić mu więcej niż dwie sekundy uwagi. Nawet tego żałował. Potrzebował iskierki, żeby wdać się w bójkę. Chciał komuś przywalić. Pomyślał nawet, że przyjemnie byłoby wsiąść w autobus do Otomina i znowu wpierdolić Kosteckiemu.

– Hej! Uważaj! – krzyknął jakiś gostek, który dostał od Adama ramieniem. Spojrzeli na siebie. – Adaś?

Poszkodowanym okazał się Krzysiek, kolega z poprzedniej pracy. Z Adama zeszło ciśnienie, przywitali się.

– Oberwałeś? – Krzysiek zainteresował się rozciętym łukiem brwiowym kolegi.
– Taaa... zderzenie z szafką. Nic takiego.
– Idziemy do Lamusa, przejdiesz się z nami?
– W sumie...

Nie chciało mu się spać. Pomyślał, że alkohol przyniesie odrobinę ukojenia. Koniec ulicy Lawendowej wyglądał jak wielka imprezownia pod gołym niebem. Adam przebił się przez tłum do lokalu. W łazience obmył twarz wodą. Było ciepło i duszno, jedyne wolne stoliki znajdowały się w knajpie, bo wszyscy wylegli na ulicę. Znajomi zajęli kanapę przy oknie, dołączył do nich, ale nie mógł wkręcić się w rozmowę. Ich rozbawienie, luz irytowały go. Adam pocił się jak szczur, nie chciał tam być. Pomyślał, że zamiast piwa wolałby wciągnąć odrobinę krajówki, ale specjalnie nie kupił sobie zapasu na weekend, który miał spędzić z synami. Teraz tego żałował. Była sobotnia noc, Kapeć, jego diler, na pewno snuł się gdzieś po centrum. Adam wyjął telefon, żeby się z nim skontaktować. Na wyświetlaczu zaświecił pasek wiadomości od Sawy. „Gdzie jesteś?”. Telefon prawie wypadł mu z ręki. „Lawendowa/Lamus”, odpisał. Przez następne minuty wpatrywał się w ekran smartfona jak w szklaną kulę. Sawa nie odpisywała. Po półgodzinie nadal cisza. Zaczęło go wkurwiać, że z nim pogrywa. Po cholerę pisała?

Na zewnątrz grzmotnęło. Deszcz spadał na ludzi kroplami jak pociski. Tłumek przeczekał się. W lokalu zrobiło się jeszcze tłoczniej. Nagle w drzwiach stanęła Sawa. Mokre włosy obklejały jej twarz, sukienka przywarła do ciała. Przecisnęła się do baru i zamówiła

krieka. Wiedziała, że Adam tam jest, że ją obserwuje, ale nie zaszczyciła go ani jednym spojrzaniem. Wzięła małą brzuchatą szklankę i wyszła z nią na zewnątrz. Zignorowała ściany deszczu i usiadła pod parasolem przy stoliku, który właśnie się zwolnił. Spokojnie piła piwo. Czekwała.

Adam przeprosił znajomych, którzy i tak nie zwracali na niego uwagi, i przysiadł się do Sawy. Badali się wzrokiem.

– Znowu kogoś pobiłeś?

– Tym razem to moje gapiostwo.

Sawa pokiwała głową.

– Mieszkasz niedaleko? – zapytała.

– Na Rajskiej.

– Okej. Chodźmy. – Sawa odstawiła szklankę i wstała od stolika.

Adam był tak zdezorientowany, że potrzącił krzesło.

– To może chodźmy do hotelu – zaproponował. – U mnie jest syf i mam jebniętych współlokatorów.

– No to nas nie zapoznasz. Syf mi nie przeszkadza.

Wyglądała na zdeterminowaną. Adam bał się, że jeśli zacznie nalegać na hotel, Sawa się rozmyśli.

– Zamówię ubera.

– Przecież to dwie ulice stąd. Nie jestem z cukru.

Wyszli spod parasola na siekący bezlitośnie deszcz. Adam nie miał nic, czym mógł osłonić Sawę, więc złapał ją tylko za rękę.

Artystów na szczęście nie było w mieszkaniu. Jak w każdy weekend, pewnie balowali gdzieś na Stoczni.

– Poczekaj tu i nie ruszaj się, błagam – zaśmiał się. Zostawił ją w ciemnym przedpokoju, wolał nie włączać światła, żeby nie wybiegła z krzykiem.

W sypialni zapalił małą nocną lampkę przy łóżku i otworzył okno. Zalegające na krzesle ciuchy po raz pierwszy trafiły do szafy. Musiał szybko zmienić pościel. W tej, w której spał od miesiąca, zaległy się już prawdopodobnie nowe cywilizacje.

– Nie uciekaś – stwierdził, gdy pięć minut później zaprosił Sawę do środka.

– Było blisko – odparła i zaczęła go całować.

Była łapczywa i wydawała ciche pomruki, jak zwierzątko, które dawno nie jadło i teraz z rozkoszą napełniało żołądek. Seks z Sawą był ekscytująco nowy i jednocześnie kojący znajomy. Wyciągała ręce za głowę, a on wiedział, że ma przytrzymać jej nadgarstki. Odwracała się tyłem, żeby zakleszczył ją w uścisku. Wszystkie jej gesty były zaskakujące, a zarazem zaplanowane przez jakiś wyższy byt.

Adam pomyślał, że są jak połączenie białej czekolady z kawiozem, i wcale nie dlatego, że nagle przyszło mu do głowy tandetne poetyckie porównanie. Te dwa konkretne składniki na pozór do siebie nie pasowały. Nikt nie wpadłby na to, żeby je sparować. Nikt, kto nie wiedział, że biała czekolada i kawior mają wysoki poziom pewnego związku chemicznego, trimetyloaminy. I właśnie to sprawiało, że były parą idealną. Na tej samej zasadzie działało zestawienie kawy z czosnkiem, truskawek z serem, ostryg z marakują. Wystarczyło odnaleźć podobne cząsteczki bazowe, żeby otrzymać wyjątkowe, porywające danie. Chemia rządziła kuchnią tak samo jak miłością.

Sawa obudziła się, gwałtownie łapiąc oddech. Nie wiedziała, czy naprawdę nie mogła wciągnąć do płuc powietrza, czy tylko jej się przyśniło. W pokoju było ciemno i duszno.

– W nocy wyłączyłem klimę, bo trochę drapało mnie w gardle. – Usłyszała znajomy męski głos.

Sypialnię rozświetliło rażące światło. Sawa zmrużyła oczy i zasłoniła się ręką. Mężczyzna wrócił do łóżka. Obserwowała go przez ramię. Przed oczami migały jej skrawki wyrzeźbionego ciała. Mięśnie drgające pod gładką skórą. Naprężony brzuch. Miękki jasny zarost. Rozczulająco smukłe palce stóp. Objął ją dojmujący smutek.

Filip położył się na Sawie i pocałował ją w szyję. Poczowała mdłości.

– Auuu! – zawyła.

– Jeszcze masz okres? – zapytał.

– Jakby mnie rozrywał. I głowa mi pęka.

– Wiesz, że wypiałś sama całą butelkę vermentino?

– Tak? No popatrz, a myślałam, że to przez gadanie twojej matki.

Filip plasnął Sawę w pośladek.

– Odpoczywaj, zrobię śniadanie. Szanowna pani życzy sobie do łóżka czy zje na zewnątrz?

– Postaram się zejść na dół.

„I być miła – pomyślała – bardzo miła”. Kiedy Filip wyszedł, Sawa wstała i weszła pod prysznic, zbudowany z kamienia, jak cała toskańska willa, którą wynajęli na dwa tygodnie. Byli tu dopiero od trzech dni, a ona już ścirowała. Oparła głowę o zimny kamień i puściła chłodną wodę. Niewiele pomogło. Natrętne, obsesyjne myśli o Adamie, o tym, co sobie robili, nie chciały się uciszyć. Pod prysznicem było wykute niewielkie okienko, z którego widziała intensywnie niebieski prostokąt basenu, absurdalnie złote wzgórze, a w oddali nawet kawałek Voltery z pomarańczowymi kosteczkami domów. Była w środku pierdolonej bajki, a potrafiła się skupić jedynie na obrazie wąskiej, poźółkłej klitki z wersalką, na której Adam rznął ją, aż traciła kontakt z rzeczywistością.

– Będziecie źli, jeśli nie pojedę z wami do winnicy? Chwilowo nie mogę nawet patrzeć na wino – stwierdziła Sawa po śniadaniu, które razem z matką i ojczymem Filipa zjedli na tarasie.

Obyło się bez wielkich tłumaczeń. Sawa siedziała przy stole i patrzyła, jak wynajęty jeep wjeżdża na pozawijaną jak wstążka do włosów drogę między cyprysami i robi się coraz mniejszy. Sięgnęła po telefon i wybrała numer Adama.

– Jesteś sam? – zapytała bez powitania. – Włącz kamerę.

Seks przez wideoczat – coś, co zawsze wzbudzało w niej niesmak – nagle wydał się kosmicznym przeżyciem. Postawiła smartfon na stole, oparła o filiżankę z kawą, podciągnęła sukienkę i rozłożyła uda. Zaczęła się dotykać. Poprosiła Adama, żeby zrobił sobie dobrze na jej oczach. Kiedyś widok faceta onanizującego się do kamery wydawał jej się obleśny i żenujący. Teraz widziała po drugiej stronie młodego boga w pięknym miłosnym akcie. Żałowała nawet, że nie mogła tego nagrać i odtwarzać sobie każdego dnia do końca pobytu.

Raz prawie wpała. Spacerowali z Filipem wieczorem uliczkami Voltery i rozdzielili się na chwilę, bo on chciał zobaczyć wewnątrz jakiegoś kościoła, a ona udała znużoną. Umówili się pod lodziarnią za rogiem.

– Mam pięć minut. Powiedz mi, co ze mną zrobisz, jak wrócę – powiedziała do słuchawki.

Adam był na kuchni. Musiał wyjść do toalety i mówić ściszym głosem. Obiecał, że wyliże ją po koniuszki palców.

– Zwariuję, Adam.

Sawa odwróciła się i zobaczyła zdezorientowanego Filipa. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wyobrażasz sobie, że zamknęli kościół? – uśmiechnął się Filip.

Nie była pewna, ile usłyszał z jej rozmowy.

– Co? Neeee... bez sensu.

– To ten twój znajomy? Adam?

– Taaak. Znowu problemy z żoną. Tłumaczę, że powinien iść na terapię, ale... wiesz, jak jest. Twierdzi, że radzi sobie sam.

– A wie, że jesteś na urlopie?

– Teraz już tak.

* * *

Spotykali się regularnie w każdą sobotę od dziewiątej do czternastej, kiedy Filip wychodził na wykłady, a poza tym zawsze wtedy, gdy nadarzyła się okazja. Nawet na pół godziny. Sawa bardzo nie chciała natknąć się na współlokatorów Adama. Przemykała do jego pokoju i wychodziła po cichu. Tamci nie dopytywali, kto go odwiedza, czasem tylko walili w ścianę, jeśli było za głośno. Mimo to stresowała się. Mówiła, że Gdańsk jest bardzo mały i nigdy nie wiadomo, w jakich okolicznościach trafi się na znajomą twarz.

Po trzech tygodniach Sawa postanowiła wrócić do tematu, który kiedyś poruszali. Leżeli w łóżku, Adam bawił się jej włosami.

– Dlaczego nigdy mi nie odpisujesz? – zapytał.

– Przecież oddzwaniam.

– Filip sprawdza twój telefon?

– Nie chcę o nim rozmawiać.

– Dlaczego? Bo leżysz goła w łóżku innego faceta?

– Ugryzło cię coś dziś? – Sawa usiadła, oparła się o ścianę i nakryła piersi kołdrą. Nie chciała się z nim kłócić, nie po to przyszła. – Znalazłam mieszkanie na Suchaninie. Tylko trzeba szybko się decydować, bo właściciel wyjeżdża za granicę.

– Ale w sensie, że co? Że mam być utrzymankiem? Chcesz wynająć garsonierę na schadzki? – żartował Adam.

– Nie ja, tylko fundacja, i nie na żadne schadzki, tylko żebyś mógł mieszkać jak człowiek i zabierać do siebie chłopców. Miałbyś do nich bliżej.

– Mhm. I dalej do pracy. I do ciebie. Ale to ci chyba pasuje.

– To nie ma ze mną nic wspólnego.
– W takim razie dzięki. Dobrze mi tutaj.
– Okej, nie chcę tu przychodzić – przyznała. – A ty nie chcesz się już spotykać? Nie chcesz zaoszczędzić kasy na Pakistan?
– Aaaa... teraz wyprawiasz mnie jeszcze do Pakistanu.
– Przecież sam tego chciałeś.
– A czego ty chcesz, Sawa, co? Jak to sobie wyobrażasz? Masz jakiś plan?
– Na co?
– Na to wszystko. Tak sobie wymyśliłaś? Że będziesz odwiedzać kochasia w kurwidołku, a jak ci się znudzi, to go wyślesz za granicę?
– Nie mam żadnego planu.
– To jedź ze mną – złągodniał.
– Zwariowałeś.
– Możliwe.
Sawa ubrała się i wyszła. Wtedy pierwszy raz zablokowała jego numer. Po trzech dniach Adam przyszedł do fundacji.
– Nie możesz tak się tutaj zjawiać. – Sawa wyglądała na zdenerwowaną, ale cieszyła się, że go widzi.
– Przecież nikogo już nie ma. Poza tym przyszedłem służbowo. Zdecydowałem się na mieszkanie, jeśli oferta jest jeszcze aktualna. I musiałem cię zobaczyć.
– Potrzebuję kilku dni, żeby zwołać komisję i załatwić formalności. – Sawa udawała opanowaną.
– Zacznę się pakować.
– Adam, zaczekaj... – Zatrzymała go, kiedy podszedł do drzwi.
Czekał, aż Sawa coś powie, ale patrzyła tylko na niego cierpiącym wzrokiem i nie mogła nic wydusić. Podszedł do niej i zaczął ją całować. Dłońmi chwycił za jej pośladki, podsadził ją na biurko.
– O, pardon... – usłyszeli głos Krystyny, który weszła do gabinetu z odkurzaczem i zaraz się wycofała.
Sawa odepchnęła Adama i poprawiła sukienkę.
– Idź już – warknęła na niego.
Zamknęła za nim drzwi i weszła do kuchni, gdzie sprzątaczką zakładała nowe worki na śmieci.



TERAZ

Taksówka, w której siedziała Barbara Modra, stała w korku na Słowackiego. Kierowca zerkał w lusterko, ale nie zwracał uwagi na wyraz zniecierpliwienia na twarzy pasażerki, tylko na kolana, które odślaniała obcisła spódnica.

– Co tam, Dymek? Masz coś? – Modra odebrała przychodzące połączenie.

– Mam korespondencję Hinza z Bogucką.

Prokurator poczuła mrowienie na policzkach.

– Coś ciekawego?

– Umawiali się na spotkania, ale w dość suchy sposób. Są też wyznania z jego strony, typu „tęsknię” albo „myślę o tobie”, ale wygląda na to, że Bogucka w ogóle na to nie odpowiadała. Jest jedna wiadomość, w której on pisze, że nie wytrzyma tego i spotka się z Filipem.

– Narzeczonym Boguckiej...

– Tak.

– Mhm... Tylko że ona nawet na to ma wyjaśnienie – przypomniała prokuratora. – Twierdzi, że chodziło o terapię. Gawryłow jest terapeutą i Sawa ponoć wielokrotnie namawiała Hinza na sesję. Według niej właśnie to Hinz miał na myśli: że wreszcie pójdzie na konsultację.

– A może miał romans z Bogucką i groził jej, że doniesie Gawryłowowi?

– To byłby ładny motyw. – Modra się zamyśliła.

– Popytam jeszcze w fundacji i w tej knajpie, w której Hinz pracował. Może ktoś coś widział i będzie chętny do rozmowy.

– Dzięki, Dymek.

* * *

Mecenas Gojke nerwowo naciskał gwint na końcu długopisu. Sawa Bogucka siedziała naprzeciwko i patrzyła na niego niewzruszonym wzrokiem.

– Adam rzucił się na mnie w gabinecie. Nie zdążyłam nawet zareagować. Krystyna weszła dokładnie w tym momencie. Wytłumaczyłam jej to.

– A możesz mi wytłumaczyć, dlaczego dowiaduję się o tym na chwilę przed rozpoczęciem procesu, w dodatku od prokuratorki? Sawa, do jasnej cholery, jesteś oskarżona o zabójstwo! Jeśli miałaś romans z Hinzem, to miałaś też motyw, żeby go zabić. Tak przynajmniej myśli Barbara Modra.

Sawa wstała i podeszła do okna. Patrzyła w dół na ludzi spacerujących po nabrzeżu. Pili kawę, robili sobie zdjęcia na tle Motławy.

– Całe moje życie zależy od tego jednego błędu. To nie jest sprawiedliwe – powiedziała zrezygnowanym tonem. – Mężczyźni robią to cały czas i nikt nie ocenia ich tak surowo. Nudzą się w domu, więc biorą sobie kochanki, a potem te kochanki też stają się męczące, więc mają ich dość tak samo, jak wcześniej żon.

– Miałaś dość Adama? – zapytał oschle adwokat.

– Nie na tyle, żeby zaplanować morderstwo, jeśli o to pytasz – odpowiedziała z przekąsem. – Miałam dość tego, że nie zostawiał mi małej przestrzeni na odetchnięcie, zastanowienie się, co się stało. A potem byłam już tylko przerażona. Nie wiedziałam, do czego jest zdolny.

– Ja tu nie jestem ani od sprawiedliwości, ani od oceny, tylko od tego, żeby udowodnić twoją niewinność. Rozumiem, że to nie był jeden błąd, tylko seria pomyłek?

Sawa ociągała się z odpowiedzią.

– Spotykaliśmy się od lipca. – Odwróciła się gwałtownie i spojrzała prawnikowi w oczy. – Nie wiem, co mnie napadło, okej? Jakbym była w jakimś amoku, w narkotykowym ciągu! Nie byłam w stanie nad tym zapanować, choć próbowałam wiele razy.

– Dobra, nie musisz mi tego tłumaczyć. Nie jesteśmy na sesji terapeutycznej.

– Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. To było silniejsze niż ja.

– Rozumiem, Sawa. Słyszę takie historie całkiem często. Nie bez powodu prawo karne uznaje coś takiego jak afekt.

– To mnie niszczyło, nie chciałam tego! – Słowa Sawy dusił płacz. Nie wiedziała dlaczego, ale dławiło ją w gardle za każdym razem, gdy tylko zaczynała mówić o Adamie. Nigdy wcześniej nie zauważyła u siebie takiej reakcji na wspomnienie faceta. Usiadła na podłodze i szlochała. – On mi nie dał tego skończyć... Nie dał mi odejść... Zwariował, zaczął mi grozić... Bałam się wyjść z domu, cały czas wydawało mi się, że za mną idzie albo mnie obserwuje. Że wyjdzie na mnie zza następnego rogu budynku.

– Było więcej sytuacji, w których ktoś widział was razem?

– Widywano nas razem – powiedziała Sawa z irytacją. – Adam przychodził do fundacji, rozmawiałam z nim. Na początku znajomości poszliśmy nawet na piwo. Ale żadna z tych sytuacji nie była dwuznaczna. Krystyna widziała tylko, jak się na mnie rzucił, a ja go odepchnęłam. Nic więcej.

– Dla swojego własnego dobra musisz mi opowiedzieć wszystko po kolei. Wszystko, co działo się aż do waszego ostatniego spotkania.



WTEDY

Okrągły stół z orzechowego forniru był nakryty do śniadania. Między białymi talerzami stała patelnia z szakszką, dzbanek ze świeżo wyciśniętym sokiem z grejfrutów, smoothie ze szpinaku, pomarańczy i truskawek, pokrojona bagietka i hummus.

– Czy to już święta? – zapytał Filip, który wyszedł zaspany z sypialni.

– Nie mogłam spać. – Sawa uśmiechnęła się i pocałowała go w nagie ramię.

Filip nożem i widelcem zabrał się za średnio ścięte jajka z pomidorami, Sawa sięgnęła po łyżkę. Przez dłuższy czas było słychać tylko szcęknięcie sztućców o talerze.

– Widziałas może link, który ci wczoraj przesłałem?

– Nie... Nie zaglądałam do telefonu. Jakiś ciekawy artykuł?

– Warsztaty tantry dla par. W takim ośrodku na Mazurach. Pomyślałem, że to mogłoby być interesujące...

– Dla nas?

– No co? – zaśmiał się. – Nie chciałaś nigdy spróbować seksu tantrycznego? Podobno Sting praktykuje to od lat i jest ze swoją żoną ćwierć wieku...

– Mmm... Próbujesz coś mi zasugerować?

Filip był zdania, że o trudnych sprawach należy rozmawiać wtedy, kiedy jest miło. W lekkiej atmosferze ludzie byli do siebie przyjaźniej nastawieni i bardziej otwarci. Poruszanie najważniejszych związkowych problemów w kłótni albo dołku mogło tylko zaostrzyć kryzys.

– Zastanawiałem się, czy nie jesteś trochę znudzona.

– Seksem?

– Mam wrażenie, że nasz ogień trochę przygasł. Wiem, że to normalne, ale czemu zawczasu o niego nie zadbać?

– Zawczasu? – Sawa nie wiedziała, dlaczego potrafi zdobyć się jedynie na powtarzanie pojedynczych słów po Filipie. Na myśl o seksie z nim czuła podenerwowanie.

– „Intymna miłosna gra, która wzmocni waszą bliskość, odkryje poziomy namiętności, o których istnieniu nie mieliście nawet pojęcia...” – Filip czytał z telefonu. Robił to z przekąsem, ale mimo wszystko liczył, że zachęci Sawę.

– To brzmi trochę jak jakiś szamański bełkot.

– Tak naprawdę to już Freud i Jung dali solidne podstawy pod odnowę tantry... Może faktycznie zabrzmiało to trochę mistycznie, ale chodzi głównie o transformację i skonfrontowanie się ze sobą.

– Dobrze, skoro twój kolega Freud daje temu okejkę, to poczytam i zastanowię się.

– Super – ucieszył się Filip. – Jestem pewien, że ci się spodoba. Dziś po wykładach mam jeszcze jedno spotkanie. Będę dopiero po piątej. Masz jakieś plany?

Sawa spojrzała przez okno.

– Takie piękne słońce, że chyba pojedę na plażę.

Lunęło zaraz po tym, jak Filip zamknął za sobą drzwi. Sawa naprawdę chciała, żeby ta sobota była inna. Zadzwoiła do Ewy, ale koleżanka nie mogła się z nią spotkać, bo jej córki miały jakieś zawody sportowe. Alicja nie odbierała telefonu. Sawa przerzucała propozycje na Netfliksie, ale wszystko już widziała. Zaczęła czytać poradnik o czułości do samej siebie, który kupił jej Filip. Nie mogła skupić się nawet na jednym zdaniu. Poszukała w internecie informacji o tantrze dla par. Organizatorzy warsztatów pisali coś o seksualnym zjednoczeniu i nowych wymiarach miłości. O spontanicznej radości, porozumieniu ciał i multiorgazmach. Nie potrzebowała do tego tantry.

Dwadzieścia minut później Sawa stała na klatce schodowej dziesięciopiętrowego bloku. Z okna widziała falliczną wieżę Bazyliki Mariackiej i dymiące kominy rafinerii. Zastanawiała się, czy zadzwonić do drzwi. W pewnym momencie rozmyśliła się i zaczęła schodzić po schodach, ale piętro niżej usłyszała kroki, więc wróciła na górę.

– Modliłem się, żebyś przyszła, a nie jestem nawet wierzący – powiedział Adam na jej widok. – Nawet posprzątałem rano.

– Myślałam, że będziesz gdzieś z chłopcami.

– Dopiero wieczorem. Wejdz.

Sawa miała wrażenie, że kochali się prawie bez przerwy przez kilka godzin.

Wychodzili z łóżka tylko po coś do picia albo do łazienki. Nie potrafiła nawet powiedzieć, co dokładnie robili. Pamiętała tylko, że podczas jednego z orgazmów lewitowała w kosmosie. Doznania były silniejsze niż cokolwiek, czego doświadczyła w życiu. Ta moc ją przeraziła. Nie chciała jej, nie mogła na nią pozwolić. Strach szarpnął ją mocno i zaczęła spadać.

– Wszystko w porządku? – zapytał Adam. Był nad nią, zdyszany i spocony. – Nagle zdrętwiałaś. Złapał cię skurcz?

– Chyba tak. – Przewróciła się naznak. Sięgnęła po butelkę z wodą. Adam wstał, włączył *Dive*, swój ulubiony album Tycho. Sawa nie gustowała wcześniej w takiej muzyce, ale charakterystyczne połączenie syntezatora z perkusją już zawsze miało przywoływać poranki u Adama.

– Pojedź ze mną – powiedział. Wplótł palce w jej dłoni.

– Dokąd?

– Do Pakistanu.

Zaśmiała się.

– Na pewno byłoby genialnie – skomentowała.

– Przynajmniej się zastanów...

– Okej.

– Serio? – ożywił się Adam. – Myślałem, żeby jechać w marcu, bo jeszcze trochę załatwiania, no i w lutym mam pierwszą rozprawę. Oglądałem nawet kaski dla ciebie.

– O, nie. Kask wybiorę sama! Myślisz, że będę dobrze wyglądać w takim czarnym skórzanym wdzianku?

– Boże, będziemy musieli zatrzymywać się co dwadzieścia kilometrów na bzykanie.

Sawa poczuła głód. Adam usmażył jej stek z polędwicy wołowej. Podał z purée z batatów i pieczonymi pomidorkami cherry.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał, kiedy zbierała się do wyjścia.

– Zadzwoń.

– Kumpel ma taką hondę, jaką chcę kupić na wyjazd. Możemy się nią przejechać gdzieś za miasto w przyszły weekend...

– Kurczę. W następną sobotę wyjeżdżam.

– Mhm. To innym razem. Ale zastanowisz się nad tym wszystkim, tak? – Patrzył na nią, jakby chciał wydusić z niej deklarację na miejscu.

– Tak, obiecuję.

* * *

– Powiedzą ci, że wina rozkłada się po połowie, pierdoleni symetriści... – Sawa chrząknęła, skasowała nagranie i zaczęła jeszcze raz. – Powiedzą ci, że odpowiedzialność za zdradę rozkłada się po połowie. Nie daj sobie tego wmówić. Zdrada to zawsze decyzja zdradzającego. Specjalnie użyłam słowa „odpowiedzialność”, bo jeśli pójdziecie na terapię, to prawdopodobnie zabronią wam używać słowa „wina”. Żeby twój misiaczek czuł się trochę lepiej, a ty jeszcze gorzej. Przestałaś go zauważać, nie starałaś się w łóżku, trułaś mu głowę, a może się zapuściłaś? Okej, to dlaczego miś nie przyszedł do ciebie i nie powiedział, że coś mu nie gra? Powiem ci dlaczego. Bo zamiast z tobą rozmawiać, wolał poszukać sobie trochę radości na boku. Nie potrzebował cię do tego, bo miał cię zwyczajnie w dupie. Gdyby mu na tobie zależało, to zaciągnąłby cię na terapię, zanim postanowił zamoczyć, a nie po tym, jak wszystko się wydało i już nie można udawać, że jest cacy. I potem będzie ci płakał, że kochanka się nim zachwycała. Że nagle zobaczył w jej oczach to, czego w twoich już dawno nie widział. No bo przecież ty jesteś odpowiedzialna za zasypywanie jego cholernych dziur. Otóż nie. Nie jesteś. To jego odpowiedzialność. Jego decyzja. Jego wina. To on ma problem, tylko że ta świadomość jest dla misia za ciężka, więc próbuje wrzucić ci do wiaderka trochę kamieni. Dźwigaj z nim, bo tak mu ciężko. To samo dotyczy bab. Puściłaś się i teraz płaczesz, bo ktoś cię nazwał szmatą? No sorry, dźwigaj to. To była szmatława decyzja i musisz stanąć z nią twarzą w twarz. Ty to zrobiłaś, nikt inny. Ty. To część ciebie, czy ci się podoba, czy nie... – Sawa przerwała, bo usłyszała ruch w holu.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś – powiedziała do Filipa.

– Nie chciałem ci przeszkadzać. – Otworzył szafę, zamontował prawidła w butach i schował je do szuflady.

– Nie szkodzi, nagram jeszcze raz. – Uśmiechnęła się łagodnie. Odgrzać ci zupę?

– Jasne. – Filip podszedł do lodówki i nalał sobie sok. – Przerzuciłaś się na udzielanie porad małżeńskich?

– Coś mnie natchnęło. Przesadziłam?

– Hm... Powiedziałbym raczej, że byłaś bezkompromisowa. Ale to nic nowego.

– Tak uważam. Nie mam zamiaru usprawiedliwiać zdrady...

– Przecież wiesz, że nie wszystko jest takie czarno-białe. Są różne sytuacje. Ludzie żyją w koluzjach, kierują nimi różne automatyzmy, mają wgrane wzorce.

– Wiem, że płacą ci za obronę zdrazaczy...

– Nikogo nie bronię, tylko staram się zrozumieć. Nie wszyscy są łajdakami albo puszczalskimi. Ludzie w ogóle nie są idealni.

– Nie mówię, że powinni być idealni. – Sawa postawiła przed Filipem miskę z zupą. – Ale jak się zjebało, to trzeba ponieść konsekwencje.

– Wychodzisz? – Filip oderwał się od jedzenia.

– Na godzinę. Muszę coś załatwić – zawołała z holu. – Myślałam o tych warsztatach z tantry. Chcę jechać.

– Tak? Świetnie! Cieszę się. Zabukuję termin.

Sawa włożyła trampki i trenz. Wróciła do kuchni i przytuliła się do pleców Filipa.

* * *

Drzwi do mieszkania Adama były otwarte. Sawa powiesiła płaszcz na wieszaku, ale nie zdjęła butów. Z kuchni dochodził zapach rozgniecionych limonek.

– Robię tacosy, jesteś głodna? – zapytał Adam.

– Nie... nie mam za dużo czasu.

– No to musimy go szybko wykorzystać. – Podszedł do niej, objął ją w pasie i przysunął do siebie.

Sawa przytuliła się do jego torsu. Zamknęła oczy i wdychała zapach Adama. W przeciwieństwie do Filipa, który zawsze pachniał czymś drogim i wyszukanym, Adam nie używał żadnych perfum. Na początku Sawę to dziwiło, potem naturalna woń jego skóry zaczęła ją podniecać. Teraz wdychała ją powoli i głęboko, chciała się nią napełnić. Adam włożył jej rękę pod bluzkę w poszukiwaniu zapięcia stanika. Odsunęła się.

– Pogadajmy. – Usiadła na krześle przy stoliku. Wpatrywała się w leżący na desce nóż i nagle przypomniały jej się słowa Filipa, które powtarzał wszystkim podopiecznym w fundacji. „Nigdy nie kłóćcie się w kuchni”. Przez moment Sawie zachciało się śmiać, choć to, co miała do powiedzenia, wcale nie było zabawne. Na pewno nie zamierzała kłócić się z Adamem. Zresztą on nie był groźny. Nie dla niej.

Wyglądała na zdeorientowanego, ale nadal się uśmiechał.

– Myślałaś o Pakistanie?

– Tak. – Sawa wyprostowała się i wciągnęła powietrze. – Dobra, powiem wprost. Nigdy się tak nie czułam, z nikim. Nie wiem, co mi zrobiłeś, i nie myślałam, że to w ogóle możliwe. – Wstała i zaczęła chodzić po kuchni. Była zażenowana własnymi słowami. – Tak jakby ten seks, który znałam wcześniej, to były tylko ćwiczenia gimnastyczne, a z tobą... – Zacięła się. Była

czerwona na twarzy, w gardle rosła jej gula. – Chciałam zrobić z tobą wszystko. Mogłabym zrobić z tobą wszystko, czego byś chciał.

Adam był zaskoczony, ale jednocześnie słowa Sawy wywoływały przyjemne ciepło w jego ciele. Czekał na nie, chciał więcej. Wstał i przytulił ją. Zaczęła płakać, więc głaskał ją po głowie i całował po włosach.

– Nie mogę nigdzie z tobą jechać – wyrzuciła z siebie. – Nie spotkamy się już.

– O czym ty mówisz?

– Musimy to skończyć, bo oszaleję.

– To dlaczego od niego nie odejdziesz?

Sawa poszła do łazienki, urwała kawałek papieru toaletowego, wydmuchała nos. Usiadła na brzegu wanny i próbowała się uspokoić. Adam stał w drzwiach.

– Słuchaj... – zaczął miękko. – Wiem, że na razie nie wyglądam na partię roku, ale to wszystko jest tymczasowe. – Rozejrzał się. – Znajdę lepszą pracę, zresztą już odzywali się do mnie z takiej odjechanej knajpy w Sopocie. Za rok mógłbym zarabiać dziesięć na rękę, a jak zostanę szefem kuchni, to jeszcze więcej. Zresztą... zawsze chciałem otworzyć własną knajpę, dlaczego ma mi się nie udać? Obiecuję ci, że będziesz żyła jak księżniczka.

– To nie o to chodzi. – Zrzuciła z siebie jego ręce i wstała. – Przecież ja ciebie w ogóle nie znam! Nie mogę ot tak rzucić całego życia dla kogoś, kogo nie znam!

– Możemy się dalej spotykać, poczekam na ciebie. Boisz się, że za bardzo ci się spodoba? Że będzie fajniej niż z panem drętym terapeutą?

Sawa popatrzyła na niego z politowaniem.

– To nie ma sensu, Adam. Ja tego nie chcę, okej? Nie masz pojęcia, ile pracowałam na to, żeby zbudować to, co mam, i nie mówię o kasie ani statusie społecznym.

– Nie? A o czym? – Jego ton zrobił się cyniczny.

– O spokoju – wycedziła. – O równowadze. Musiałabym być pojebana, żeby to rozwalić jednym ruchem. Powiedziałam raz Filipowi, że jeśli kiedyś będę chciała od niego odejść, to ma mnie najpierw ubrać w kaftan i wysłać na leczenie. – Sawa poszła do przedpokoju i włożyła płaszcz. – On był dla mnie dobry, rozumiesz? Wyciągnął mnie z bagna, o którym nie masz pojęcia! No, może trochę masz. Też lubisz się babrać.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że twoje życie to rozpiardol. Pijesz, ćpasz, pobiłeś, kurwa, człowieka metalową rurką! Połamałeś mu nogi! Gdybyś trafił go w łeb, byłoby po nim!

Adam zaczął się śmiać.

– Jesteś pojebana.

– Słucham? Do swojej żony też tak mówisz? Właśnie o to mi chodzi, Adam.

– Zaczekaj, kurwa! – Podeszedł do niej i złapał ją za ręce.

Sawa była zdenerwowana, ale nie chciała żegnać się z nim w żalu.

– Myślałaś o tym chociaż czy po prostu ci się znudziło?

– Myślałam o tym bardzo długo.

– Okej – powiedział. Jednocześnie mocno zaciskał palce na jej dłoniach. – Zawsze możesz się rozmyślić. W razie czego wiesz, gdzie mieszkam.

– Adam... Nie zmienię zdania. Kocham Filipa – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Nigdy w to nie uwierzę – warknął.

Sawa wyszarpnęła się i otworzyła drzwi. Zeszła schodami na półpiętro do windy.

– Nic do mnie nie czujesz? – zawołał Adam. Miał w dupie, czy ktoś go usłyszy.
– Ja pierdołę... – Sawa chciała jak najszybciej stamtąd uciec. Czekwała, aż dźwięk podjedzie do drzwi. Weszła do środka i kiedy zaczęła zjeżdżać w dół, poczuła ulgę.

* * *

Następnego dnia zaczęły się esemesy. Najpierw łagodne, przeprasające. Adam prosił o spotkanie i spokojną rozmowę „bez emocji”. Sawa milczała, odrzucała połączenia. Tydzień później, kiedy wychodziła z biura, natknęła się na Adama w sekretariacie. Schudł, wyglądał, jakby nie spał i nie jadł przez cały ten czas, jednocześnie był pobudzony. Sawa nie spodziewała się, że jego widok zrobi na niej takie wrażenie. Poczowała uderzenie gorąca.

– Adam, wejdz. – Otworzyła drzwi gabinetu, potem zwróciła się do Alicji. – Spokojnie, zajmę się tym. Możesz już iść, zamknę biuro.

– Na pewno? – Alicja nie była pewna, czy może zostawić koleżankę samą.

– Jasne. – Sawa była uśmiechnięta i opanowana.

Weszli do pokoju, Sawa podała Adamowi szklanek z wodą. Usiadła na fotelu pod oknem, wskazała mu miejsce naprzeciwko.

– Prosiłam, żebyś uszanował moją decyzję, a ty przychodzisz do mojej pracy. To nie jest w porządku.

Adam nerwowo pocierał wygoloną potylicę.

– Nie odpisujesz i nie odbierasz. Doprowadza mnie to do szału. Chciałem tylko porozmawiać.

Była pewna, że jest naćpany.

– Dobrze. Porozmawiamy.

– Jesteś jak drzazga. – Adam nie słuchał jej, był w swoim świecie. – Włazłaś mi pod skórę i ja chcę, żebyś tam została. Nie chcę cię stamtąd wyciągać, ale muszę. Bo tak wymyśliłaś. Muszę się ciebie pozbyć wbrew mojej woli, rozumiesz?

Sawa przełknęła ślinę. Patrzyła w okno. Nie chciała się rozpłakać.

– To jest jak gwałt na sobie – kontynuował Adam. – Wiem, że ty też się gwałcisz. Pieprzysz się z nim, żeby zatrzeć to, co było między nami. Tak wybrałaś. Robisz to z premedytacją. Mam jedno pytanie. Jedno pytanie i sobie pójdę. Jest ci z nim tak jak ze mną? Powiedz mi.

– Już to mówiłam. – Szybkim ruchem otarła łzę. – Z nikim tak nie było i nie będzie.

Adam wstał.

– To jak, do kurwy nędzy, zamierzasz z tym żyć?

– Poradzę sobie z tym problemem.

* * *

Adamowi śniło się, że jedzie motocyklem w ciemność. Co jakiś czas mrok rozświetlała tylko biała przerywana linia na drodze. To był jedyny punkt orientacyjny. Kiedy jego wzrok

przyzwyczał się do warunków, na wprost zobaczył jaśniejszą plamę. Nie był pewien, czy to pusta przestrzeń, przez którą wydostanie się z ciemności, czy skała, o którą się rozbije. Jechał coraz szybciej, mimo że nie dodawał gazu. Za szybko, żeby zeskokczyć. Zanim poczuł uderzenie, usłyszał głośny, przenikliwy dźwięk. Obudził się przerażony. Usiadł na łóżku i zrozumiał, że dźwięk nadal rozlega się w mieszkaniu. Dzwonek domofonu. Adam spojrział na zegarek. Była druga w nocy.

– Wpuścisz mnie? – W słuchawce usłyszała głos Sawy.

Kiedy weszła na górę, upewnił się, że jest pijana. Zaczęła go całować. Poddał się bez żadnych pytań. Ubrań pozbyli się w przedpokoju. Sawa była bardziej dzika i odważna niż zwykle. Chciała, żeby wziął ją od tyłu przy lustrze, chciała na to patrzeć. Siedziała mu na twarzy i kręciła biodrami. Wypięta tyłek i kazała się lizać. Mówiła na głos bardzo sprośne rzeczy. Podniecała go jeszcze bardziej niż zwykle. Różni się dwie, może trzy godziny. Padli ze zmęczenia. Obudził ich dźwięk telefonu Sawy.

– Kurwa mać, już dziesiąta? – Zaczęła w popłochu szukać bielizny.

– Zostań. Potem mu powiesz.

– Nie. Napisał, że wraca z Warszawy, jeszcze zdążyć przed nim.

Adam wpatrywał się w zdjęcie Filipa ustawione na ekranie telefonu Sawy. Przyszło mu do głowy, że wypadki chodzą po ludziach. Różnych, nikomu nic niewinnych. Jakby Bogu nie robiło to żadnej różnicy – zabiera rodzicom dzieci, dzieciom rodziców, dobrych, złych, potrzebnych czy zapomnianych. Dlaczego jakiś pijak nie mógł wjechać na czołówkę w mercedesa Filipa Gawryłowa i złożyć auto jak akordeon? Takie krakusy nie były niczym nadzwyczajnym, wystarczyło, żeby los wskazał palcem tego, a nie innego człowieka.

Sawa poszła do łazienki i skrawkiem papieru toaletowego wytarła ciemne od tuszu cienie pod oczami. Przeczesała palcami włosy.

– Zobaczmy się niedługo? – zapytał.

– Tak. – Pocałowała go w usta.

– Powiesz mu?

– Adam... ja nie mogę dać ci nic więcej.

– Okej... Tylko seks.

Sawa oparła głowę na torsie Adama.

– Po prostu przyjdź.

* * *

Klucz zatrzymał się w zamku. Sawa zakłęta w myślach. Drzwi do mieszkania były otwarte, co znaczyło, że Filip dojechał na miejsce przed nią. Był w kuchni, kroił bułki na śniadanie.

– Strasznie cię przepraszam... – Sawa stanęła w przedpokoju. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. Chciała mu wszystko powiedzieć. Usiąść na podłodze, zrzucić z siebie ten ciężar i przyznać, że jest zwykłą szmatą. Potem Filip mógł zrobić z nią to, na co założyła. Kazać się wynosić, a jej rzeczy wywalić z tarasu do Motławy.

– Zaimprezowałeś? – zaśmiał się. – Zrobić ci kawę?

– Poproszę. Pójdę pod prysznic, bo śmierdzą jak skunks.

Piętnaście minut później wyszła w pogodnym nastroju, choć nadal miała trochę podpuchnięte oczy.

– Lepiej? – zapytał Filip.

Pokiwała głową, upiła łyk kawy.

– Nie mogę pić alkoholu. Ale serio. W ogóle. Poszłam do Ewki, potrzebowała mi się wyżalić, wyjęła jakąś okropnie słodką nalewkę. Nie wiem, kiedy zasnęłam.

* * *

Adam od pół godziny czekał na Sawę przed fundacją. Odpalił czwartego papierosa. Zaciągnął się trzy razy i wyrzucił go, kiedy zobaczył, że drzwi się otwierają. Przeszedł szybko przez ulicę.

– Przestraszyłeś mnie.

Kilka minut szli w milczeniu. Sawa szybkim krokiem, Adam nieco za nią.

– Gratulacje – powiedział.

– Dzięki. Choć nie wiem za co.

– Osobowość Roku? Okładka w „Magazynie”? Wow. Idziesz jak burza. Zresztą zawsze szłaś.

Sawa zignorowała ironiczny ton.

– Co ja mam z tobą zrobić? – zapytał.

– Nie wiem, Adam, może nic? – Spojrzała na niego z ukosa.

Znowu zaległa między nimi gęsta cisza.

– Chciałem to zostawić. – Głos Adama zrobił się bardziej spokojny. – W końcu ile można się poniżać. Doszedłem do wniosku, że nic mi nie jesteś winna. Przespałiśmy się ze sobą kilka razy, i tyle. Skok w bok, okej. Ilu facetów tak robi? Miliony. Nie mogę mieć pretensji. Nic mi nie obiecywałaś. Ale, kurwa mać, czy to się tak załatwia? Uważasz, że jesteś w porządku?

– Nie powiedziałam tego. – Przyspieszyła.

– Pomyślałem sobie: spoko, nie chcesz się spotykać, przecież cię nie zmuszę. Ale po chuj śmiertelny ze mną zrywasz, skoro potem przyłazisz do mnie najebana w środku nocy i każesz się rznąć?

– Ciszey, proszę... – Rozejrzała się. Było ciemno, szli ulicą Świętego Ducha, na której pałętało się trochę turystów, ale nikt nie zwracał na nich większej uwagi.

– Znikasz, blokujesz mnie i nie chcesz znać, jakbym to ja coś ci zrobił, a potem znowu do mnie dzwonisz... Mogłabyś się chociaż zdecydować!

Zaczęło padać. Sawa skręciła w Przędzalniczą, zatrzymała się pod drzewem.

– Przepraszam, Adam. Wiem, że to słabe.

– I tyle?

– Co mam ci jeszcze powiedzieć? Nie panuję nad tym. Staram się, a potem mi odwala i robię głupoty. Przepraszam.

– Jestem dla ciebie głupota?

Mokra od deszczu twarz Adama była tuż przy policzku Sawy.

– Nie czepiaj się słów.

– Nie tęsknisz za mną? – wybuchł.

– Tęsknię. – Odpowiedź Sawy była cicha.

– Nie myślisz o mnie?

– Wiesz, że myślę... – powiedziała głośniej, z wyrzutem.

Adam oparł głowę na jej ramieniu. Przyciągnął do siebie jej ciało. Odchylił poę płaszcza i pocałował Sawę w szyję.

– Zobacz, co mi robisz... Nawet teraz. – Sawa wzięła rękę Adama i włożyła pod gruby, sprężysty materiał rajstop. Jej majtki były kompletnie mokre, cipka śliska. Ugryzł ją mocno w ramię, przez sukienkę, ale i tak wbił się zębami w skórę.

– Auuu! – zawyła.

– Wiesz, co męczy mnie najbardziej? Że nie wiem, czy jesteś zła, czy po prostu zagubiona. Nie mogę przestać tego rozkminiać, to będzie, kurwa, zagadka mojego życia. Czasem wydaje mi się, że cię rozumiem. Wyszłaś z bagna na powierzchnię i boisz się znowu wdepnąć. Tam masz stabilizację, mieszkanie z pięknym widokiem i pieprzonego pana idealnego, który robi ci za darmo psychoanalizy i karmi tabletkami na poprawę nastroju. Boisz się, że zostawienie Filipa równa się powrotowi do poprzedniego życia. Ale nie wszystko w tamtym życiu było złe, nie rozumiesz tego? Nie patrzysz na to obiektywnie. Gdybym tylko mógł pokazać ci to, co ja widzę! Rozumiem, że się miotasz. Jest mi ciebie nawet żal i współczuję ci, bo wiem, że stoisz w rozkroku, że to wszystko jest w chuj trudne. Ale potem robisz coś takiego... robisz się taka zimna, wyrachowana, że rośnie mi od tego druga głowa. I przestaję cokolwiek kumać. Wtedy myślę, że po prostu bawisz się mną jak jebaną muchą. Obrywasz skrzydełka, nóżki, ale jeszcze ci mało, więc postanawiasz wbić mi pinezkę! – Uderzył otwartą dłońią w pień drzewa. Sawa złapała go za rękę i zaczęła ją gładzić. – Co to jest? – Adam wyczuł coś twardego na jej palcu. Ścisnął go mocno. Za mocno. Zaczął się śmiać.

– Adam...

Chwyił w dłonie twarz Sawy. Trząśł się. Żadne z nich nie było pewne, co zaraz zrobi. Wpije się w jej wargi albo zacznie ścisnąć czaszkę Sawy tak długo, aż usłyszy trzask. Adam pierwszy raz w życiu poczuł, że rozumie, jak można zabić kogoś w afekcie. Amok, w którym mózg zalewa gorąca magma, a miłość tak zbliża się do nienawiści, że właściwie stają się jednym. To trwa tylko kilka sekund, ale wystarczy, żeby wsadzić nóż między żebra albo rozbić komuś głowę.

Przestraszył się i puścił Sawę.

– Wypierdalaj. Nie chcę cię znać. Poważnie. – Splunął na chodnik i odszedł szybkim krokiem.

Sawa odruchowo pocierała palec, na którym od niedawna nosiła pierścionek zaręczynowy.

* * *

Zanim Sawa zaczęła chodzić na terapię do Filipa, myślała, że jest ulepiona z syfu, w którym wyrosła. Na pierwszych sesjach nie potrafiła rozebrać go na czynniki pierwsze. Nie miała pojęcia, że składa się z uczuć i że to one w niej buzowały, kiedy było jej tak bardzo źle.

Codziennie. Nie potrafiła ich rozpoznać, nadać im nazw: upokorzenie, wstyd, żal, rozpacz. Wiedziała za to, że mają woń. Śmierdziały. Tak samo jak przemoc i bieda. I myślała jeszcze, że ten smród wsiąkł w jej skórę i włosy, a inni ludzie – ci ładni, mili, którzy mieli pracę w biurze i jeździli samochodami z salonów, odbierali swoje dzieci z przedszkola, a w weekendy jeździli z nimi do kina, przytulali i kupowali im zabawki – wyczuwali ten smród.

Kiedy była w podstawówce i jeszcze na początku liceum, udawała, że ją to bawi. Sąsiadki wychodziły na niedzielną mszę, a ona właśnie wtedy zaczynała kłąć na całe podwórko. Siadała w spódniczce na trzepaku i pokazywała majtki. Podobało jej się, że jest małą, ładną, złą, brudną dziewczynką. Wydawało jej się, że śmieje się tym ładnym i miłym ludziom w twarz, że olewa ich ciepłym moczem, zanim odkryją jej sekret i to ona stanie się pośmiewiskiem.

Dopiero kiedy zaczęła pracować w fundacji, spotykać się z Filipem i nagrywać vloga, zrozumiała, jak kruchą skorupką była tamta pewność siebie. Lęk przed tym, że zostanie zdemaskowana, stał się jeszcze silniejszy. Czasem była zła na Filipa za to, że ją oszukał. Powiedział, że ją z tego wyciągnie, że wzorzec da się zmienić, przekodować, że da się zacząć od nowa. Przez niego uwierzyła, że może być czysta jak inni.

Nie tylko nie udało jej się pozbyć smrodu. Co gorsza, zaczęła jeszcze brudzić Filipa.

Sawa myślała o tym, zjeżdżając windą do A Presto. Narzeczony powinien być na wykładach, ale zadzwonił do niej i bardzo oficjalnym tonem poprosił, żeby zeszła na dół, do restauracji. Musiało stać się coś poważnego.

Przy stoliku w rogu, który zwykle zajmowali, oprócz Filipa zobaczyła Aleksandrę Gawryłow. Pomyślała, że to koniec. Filip połączył kropki i zrozumiał, że jest oszukiwany. Powiedział o wszystkim matce. To nie mogło dłużej trwać. Sawa musiała odejść z jego życia, z fundacji. Oczywiście, że nie mogła zachować posady. Nie byłby w stanie patrzeć na jej fałszywą gębę. Dlaczego nie wjechali na górę, tylko kazali jej zjechać do restauracji? W dodatku tej restauracji. Przecież mogli przyjąć do mieszkania. Woleli pożegnać się z nią na neutralnym gruncie? Bali się, że zrobi scenę? A może wręcz przeciwnie. Może dogadali się z Adamem i zamierzali zrobić z niej pośmiewisko? A co, jeśli w ogóle nie będzie mogła wrócić po swoje rzeczy? Jeśli w tej chwili ktoś na górze już pakuje je do toreb i kartonów? Sawa zastanawiała się, czy nie wrócić do windy, ale Filip dostrzegł ją przez szybę. Próbowала wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Wyglądało, jakby prowadził z matką dyskusję. Omawiali coś, ale wyraźnie się zgadzali. Sawa pchnęła drzwi i dosiadła się do ich stolika. Bardzo chciała stać się przezroczysta. Była pewna, że kelner, który przyjął od niej zamówienie, słyszy uderzenia jej serca.

– Mamy dla ciebie pewną ofertę. Raczej nie do odrzucenia – zaczęła Aleksandra Gawryłow. Filip kiwnął głową, jego poważny wyraz twarzy się nie zmienił.

Oferta – to zabrzmiało bardzo filmowo. Pewnie chcieli zapłacić jej za zniknięcie, trzymanie się z daleka i niepuszczanie pary z buzi. To byłoby wyjątkowo wspaniałomyślne, ale bardzo w stylu Gawryłowów. Nie potrzebowali rozgłosu. Swoje brudy prali tak dyskretnie, że nikt ich o nic nie podejrzewał.

– Pewnie nie spodziewałaś się takiego obrotu sprawy... – ciągnęła Gawryłow. – Cóż, mój syn także był zaskoczony, ale on wie, że w takich sytuacjach nie lubię mieć doradców i decyzje podejmuję sama. Ta jest bardzo dobrze przemyślana. Szczerze mówiąc, byłam tym wszystkim mocno zmęczona.

Kelner postawił przed Sawą cappuccino, zapytał, czy na pewno nie życzy sobie do niego croissanta na śniadanie. W tym momencie chciała dźgnąć go widelcem. Jak mógł być tak głupi i nie widzieć po ich minach, że im przeszkadza? Albo chciał przedłużyć jej męczarnie, wiedział, że za chwilę wszyscy będą się z niej śmiać.

– Odchodzę ze stanowiska prezesa – oznajmiła Gawryłow. – I chciałabym, żebyś zajęła moje miejsce. Pozostanę w zarządzie, ale już tylko w roli doradcy. Oczywiście mam nadzieję, że będziesz chciała korzystać z moich rad. Z resztą doskonale sobie poradzisz sama, jestem tego pewna. Filip również. – Dotknęła dłoni syna. – No dobrze, ale powiedz, co ty o tym sądzisz? Wyglądasz na bardzo zaskoczoną.

* * *

Adam przytknął zrolowany rachunek do płytki i wciągnął kreskę. Zamrugał oczami, kilka razy uniósł brwi, jakby chciał rozmasować ukłucie, które doszło aż do mózgu. Wytarł nos i półkę, na której wcześniej usypał ścieżkę z białego proszku. Był przekonany, że obok amfy to nawet nie leżało. Mimo to po kilkunastu sekundach pojawiło się spodziewane pobudzenie. Wszystkie przedmioty w łazience zrobiły się wyraźniejsze.

W kuchni było tak samo głośno i nerwowo jak pięć minut wcześniej, ale Adamowi przestało to przeszkadzać. Wypełniały go skupienie, równowaga, ulga. Syntetyczne uczucia. Jak to dobrze, że za stosunkowo niewielką kwotę można wprowadzić się w stan, który z jakiegoś powodu dla pewnych osób nie był naturalnie dostępny.

Adam sięgnął po swój nóż i zaczął go ostrzyć z wyczuciem i precyzją godną płatnerskiego mistrza. Zignorował nawet wibrujący w kieszeni telefon. Wyjął go dopiero wtedy, gdy przestał dzwonić. Na ekranie wyświetliło się nieodebrane połączenie z Junony, z numeru przypisanego do gabinetu Sawy. Adam zabrał ze sobą papierosy i wyszedł na zewnątrz.

– Hinz, oddzwaniam. – Zawahał się, bo usłyszał głos Alicji.

– Ach, tak. Panie Adamie... Próbuję skontaktować się z panem od dwóch tygodni... Otrzymał pan nasze pismo?

Adamowi stanęły przed oczami zapełniona skrzynka pocztowa, której prawie nigdy nie opróżniał, i kilkanaście nieodebranych połączeń z sekretariatu fundacji. Sądził, że dzwonił do niego w sprawie jakichś warsztatów czy innych mediacji, do których nie miał teraz głowy. Chciał, żeby wszyscy się od niego odjebali. Zawleczenie się każdego dnia do pracy było ponadludzkim wysiłkiem, który nie zawsze mu się udawał. Adam prawie nie spał i nie jadł, posilał się głównie krajówką. Powstrzymywał się tylko w te dni, kiedy miał zobaczyć synów. Ustawiał sobie wtedy dziesięć alarmów, żeby nie zapomnieć, a i tak dwa razy dał dupy i Dominika znowu zaczęła grozić odebraniem praw rodzicielskich.

Kiedy myślał o Andrzejku i A Presto, chciało mu się rzygać. Najchętniej podpaliłby tę budę. Cały budynek. Z Filipem i Sawą w środku. Codziennie bał się, że spotka ją przed wejściem albo w restauracji. Codziennie pragnął ją spotkać. Wył do niej. Chciał wjechać windą na samą górę i walić do drzwi, żeby go wpuściła. Powiedzieć o wszystkim temu manekinowi, jej narzeczonemu. Rozjebać tę jej bajeczkę. Przy zdrowych zmysłach trzymały go resztki

godności i rozsądku, telefonu Dominiki, która przypominała o płatnościach, i myśl o podróży do Pakistanu. Jeszcze niecałe dwa miesiące i będzie mógł uciec. Poprzestawiać sobie w głowie. Zresetować mózg.

– Panie Adamie...

– Nie, nie dostałem żadnego pisma – powiedział i usłyszał z drugiej strony głośnie westchnięcie.

– Dzwoniłam wcześniej, bo decyzją komisji fundacja nie będzie od marca opłacać pana mieszkania. – Głos kobiety był trochę poirytowany. – Chcieliśmy dać panu czas na ewentualną wyprowadzkę albo znalezienie innego lokum. No, chyba że będzie pan dalej opłacał lokal sam. Pierwszy marca jest jutro – zaznaczyła dobitnie Alicja.

Adam potrzebował chwili, żeby przepracować to, co usłyszał. Wiedział, że fundacja opłaca podopiecznym lokale przez trzy, cztery miesiące, w jego przypadku to i tak trochę się przeciągnęło, ale Sawa obiecała, że wszystko załatwi. Miał wyprowadzić się pod koniec kwietnia, akurat przed wyjazdem do Pakistanu. Konieczność nagłego wynajęcia nowego lokum wiązała się ze sporym uszczupleniem jego budżetu na wyjazd. Był w czarnej dupie. Nie wypowiedział właścicielowi umowy, więc za marzec musiał zapłacić już z własnej kieszeni. A to oznaczało, że nie zdąży zbierać potrzebnej na podróż kwoty w odpowiednim czasie. Zmroziło go.

– Chyba zaszła pomyłka – stwierdził. – Może to pani wyjaśnić z Sawą Bogucką? Zresztą... sam do niej zadzwonię.

– Mam przed sobą decyzję podpisaną przez panią prezes Bogucką, więc o pomyłce nie ma mowy. Rozumiem, że to niekomfortowa sytuacja, próbowałam się z panem skon...

Adam się rozłączył. Nie wiedział, co go bardziej wkurzyło: informacja o mieszkaniu czy o tym, że Sawa została panią prezes. Wrócił do środka i znowu schował się w kiblu. Usypał obfitszą kreskę niż wcześniej. Ukłucie w nosie nie było już tak dotkliwe.

– Masz dziś, kurwa, sraczkę? – usłyszał walenie do drzwi i głos Andrzejka. – Umyj dokładnie ręczki i wyłaż, bo jest do zrobienia sześć sufletów na już.

Adam sprzątał po sobie jak automat. Był w stanie myśleć tylko o tym, co zrobiła Sawa. Wrócił do kuchni na swoje miejsce, przygotował nóż, wyjął z lodówki polędwicę wołową. Na blacie rozległy się miarowe uderzenia. Teoretycznie wszystkie posunięcia Sawy były logiczne i spójne. Przyjęła oświadczyzny, awans, teraz trzeba było tylko odciąć się ostatecznie od niewygodnego kochanka. Adam zdawał sobie sprawę z tego, że Sawa wreszcie postępowała konsekwentnie, wydawało mu się, że nawet pogodził się z jej decyzją. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to nikłe i ostre jak igła uczucie, którego przez ostatni miesiąc nie mógł złagodzić ani podwójnymi porcjami krajówki, ani mefedronem, to była jakaś chora nadzieja. Na to, że Sawa jednak do niego zadzwoni, powie, że zmieniła zdanie, pierdoli życie w kłamstwie, wyprowadza się z apartamentu za dwie bańki i jedzie motocyklem do Azji. Twardy i niepodważalny fakt, że została prezesem całej fundacji należącej do rodziny Gawryłowów, bardzo dobitnie i boleśnie świadczył o czymś zupełnie innym niż wizje Adama. Sawa postawiła na nim krzyżyk.

– Co to jest? – zapytał zirytowany Andrzejek. Wpatrywał się w talerze z daniem przygotowanym przez Adama. – Czy ty, kurwa, głuchy jesteś? Czy durny? Powiedziałem, kurwa, suflet, a nie tatar, debilu! Zapierdalaj mi z tymi deserami, ale już! – wrzasnęła i wyszedł z kuchni.

Adam patrzył w przestrzeń. Odwrócił się i wyjął z półki nowe talerze. Wrócił do pracy. Bardzo chciał wyjść z kuchni i iść przed siebie – bardzo, bardzo długo. Aż poczuje tak duże zmęczenie, że będzie mógł wreszcie położyć się i zasnąć. Widział przed sobą pustą, długą drogę w wysokich górach. Było cicho i spokojnie, powietrze łagodnie wpływało do jego płuc, wypełniało wszystkie części ciała, narządy i komórki. Stawał się coraz lżejszy.

– Adaś, co ty, kurwa, odpierdalasz?

Adam ocknął się i zobaczył przed sobą przerażoną twarz Jacka. Dwie sekundy później do kuchni wpadł szef. Patrzył na ustawione przez Adama kolejne talerze z befsztykami tatarskimi.

– Dobra, ty i ty... – Andrzejek wskazał na Jacka i chłopaka, który pracował jako pomocnik kucharza. – Ciśnienie ze mną najlepsze suflety czekoladowe, jakie stworzyła ręka człowieka, delikatne jak pocałunek, kurwa, dziewczycy. A ty wypierdalasz! – wydarł się na Adama. – Nie chcę cię tu więcej widzieć na oczy, jebany ćpunie.

Żaden mięsień na twarzy Adama nawet nie drgnął. Mężczyzna zdjął fartuch i powolnymi, spokojnymi ruchami, z niezmaconym wyrazem twarzy, poszedł na zmywak, żeby umyć i wytrzeć swój nóż. Jego torba leżała w szafce, którą zasłaniał ciałem Andrzejek. Szef kuchni razem z innymi kucharzami uwijał się przy deserach.

– Przepraszam – powiedział uprzejmie Adam. Nie żałował za grzechy, tylko chciał, żeby Andrzej się przesunął i pozwolił mu sięgnąć po torbę.

– Jak mi się pokażesz jeszcze raz na oczy, to cię zajebię, chuju, rozumiesz? – Andrzejek chwycił Adama za kołnierz i w przypływie szału poczuł w sobie tyle siły, że zdołał wypchnąć znacznie większego od siebie mężczyznę z kuchni na korytarz.

* * *

Adam dzwonił i walił do drzwi mieszkania Sawy. Po jakichś pięciu minutach wyszedł tylko mężczyzna z lokalu obok.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał zirytowany.

Adam nie odpowiedział. Wszedł do windy i zjechał na dół. Zatrzymał się na przystani kajakowej, zapalił papierosa i zadzwonił do fundacji.

– Pani prezes jest na urlopie, wróci w poniedziałek.

W telefonie włączała się hiszpańska skrzynka pocztowa. Adam wysłał kilka wiadomości z prośbą, żeby Sawa oddzwoniła. Kiedy wrócił do domu, zaczął szukać numeru Filipa. Na stronie fundacji go nie było, ale zawsze mógł napisać do niego maila. Otworzył skrzynkę pocztową i kliknął w ikonę nowej wiadomości. Cursor migał na ekranie.

Adam trzasnął pokrywą laptopa i wyjął z nocnej szafki plastikową torebkę z zielonobrazową kostką. Oderwał niewielką grudkę, skruszył do fajki i zapalił. Rozciągnął się na materacu. Pozwolił, żeby gęsty dym przyniósł błogość, która wypełniła jego płuca, rozłożone nogi i ręce, wypchnęła z głowy myśli.



TERAZ

Barbara Modra skierowała się do głównego wyjścia i zamarła. Przed budynkiem sądu stały trzy wozy transmisyjne, a także kilkunastu dziennikarzy i grupka osób z transparentami. Na kartonach i płachtach materiału wypisano hasła: „Zajmijcie się oprawcami, dajcie spokój ofiarom”, „Murem za Sawą”, „Wyroki tylko dla katów”. Ktoś przyniósł nawet ogromny plakat przedstawiający Bogucką jako syrenę z tarczą i mieczem. Od kiedy rozpoczął się proces, Modra widziała ten malunek w telewizji wiele razy. Szybko stał się znakiem rozpoznawczym, a właściwie logotypem wszystkich informacji o sprawie podawanych w telewizji i prasie. Trzeba było przyznać, że pomysł był bardzo chwytliwy i budził spore emocje.

Nazwisko Modrej także powróciło do mediów. W złym kontekście. Ci sami dziennikarze, którzy jeszcze niedawno bronili szykanowanej przez władzę urzędniczką państwowej, teraz podważali jej autorytet. Rozgrzebywali jej wcześniejsze sprawy i doszukiwali się uchybień. Hasło „zdegradowana prokurator” przewijało się w nagłówkach, tym razem sugerując niekompetencję. A wszystko przez inną kobietę, której śmiała postawić zarzut zabójstwa.

Prokurator zawróciła i ruszyła do bocznego wyjścia. Na zewnątrz stał wysoki, ciemnowłosy i zarośnięty na twarzy mężczyzna z długim garbatym nosem. Na widok urzędniczką wyrzucił niedopałek.

– Pani prokurator...

Modra odwróciła się odruchowo.

– Witold Wedler, jestem dziennikarzem.

Kojarzyła to nazwisko. Mężczyzna prowadził popularny podcast kryminalny. Rok albo dwa lata wcześniej na własną rękę wyjaśnił sprawę zaginięcia dziewczynki sprzed prawie trzydziestu lat. Na Pomorzu było o tym głośno.

– Przepraszam, doceniam pana pracę, ale niestety nic panu nie powiem. – Uśmiechnęła się.

– Właściwie to ja chciałem pani coś powiedzieć. – Mężczyzna doszedł za Modrą do jej auta.

– Na temat Sawy Boguckiej? – zainteresowała się.

– Poniekąd. Słyszała pani o sprawie Ewy Kosteckiej? Mąż usiłował ją zabić...
– Ale dostał wyrok tylko za pobicie, tak. Potworne partactwo. A czemu pan o tym mówi?

– Bo Kostecka była podopieczną Junony i bliską znajomą Sawy Boguckiej. – Jakiś czas temu robiłem z nią duży wywiad, Bogucka była zresztą przy nim obecna. Kostecka prawie cały czas trzymała ją za rękę, widać było, że mocno na niej polega.

Modra pomyślała, że przyciśnięta Kostecka mogła powiedzieć o oskarżonej kilka interesujących rzeczy, informacja od dziennikarza była więc przydatna. Tylko dlaczego przychodził z nią do głównego oskarżyciela?

– Interesowałem się tym, co robił Kostecki po wyjściu z więzienia. Wie pani, że został dotkliwie pobity?

– Karma to suka. – Modra wzruszyła ramionami.

– Podobno. Kostecki zgłosił pobicie, ale nie udało się znaleźć sprawcy. W każdym razie twierdził, że połamano mu nogi charakterystyczną metalową rurką. Z tego, co wiem... Bogucka też odniosła obrażenia od rurki?

– A skąd pan to wie?

Witold Wedler uśmiechnął się po raz pierwszy w trakcie całej rozmowy. No jasne, dziennikarze śledczy mieli swoje wtyki.

– Myśli pan, że Adam Hinz mógł pobić Kosteckiego? Po co?

– Bo poprosiła go o to Bogucka? – Wedler zawiesił głos.

– Musieliby być ze sobą naprawdę blisko, żeby się na to zgodził.

– No właśnie.

Barbara Modra otworzyła drzwi do samochodu. Rzuciła teczkę na siedzenie.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zdziwiona. Wszystkie media robią z tej dziewczyny drugą Maryję Dziewicę, a pan ma ją za psychopatyczną manipulatkę? Zrobiła na panu złe wrażenie podczas tego wywiadu czy co?

– Wiem, że to żaden dowód, tylko wrażenie, ale jest w niej coś dziwnego. – Wedler pocierał kciukiem zarost. – Widziała pani nagranie z obchodów jubileuszu założenia Junony?

– Nie.

Wedler odblokował telefon i podał prokuratorce. Film nakręcono i zmontowano w podniosłym tonie. Były peany na cześć założycielki, Aleksandry Gawryłow, dużo przykrych i brutalnych faktów w liczbach na temat problemu przemocy, a także fragmenty z poruszającymi wypowiedziami podopiecznych. W jednej ze scen Sawa Bogucka pociesza jakąś kobiety, a kiedy zauważa obiektyw kamery, uśmiecha się do niego i puszcza oko. Rzeczywiście nagranie nie miało żadnej wartości dla procesu, jednak prokurator musiała przyznać, że ktoś uprzedzony do Boguckiej mógłby pomyśleć, że dziewczyna zachowuje się dziwnie. Jak gwiazda show.

– Ten jubileusz odbył się na początku marca – powiedział Wedler. – Dokładnie trzy dni po zabójstwie Hinza. Musi pani przyznać, że Bogucka nie wygląda na szczególnie poruszoną tym, co się wydarzyło.

Lidia Bogucka miała taką samą drobną i dziewczęcą sylwetkę jak jej córka, ale łagodniejsze i mniej wyraziste rysy twarzy. Wszystko było w niej wyblakłe: oczy, włosy, ubrania. Jakby była tylko tłem albo podłożem, na którym nic nie namalowano. Barbara Modra, siedząc przy stole z matką Sawy Boguckiej, zastanawiała się, czy córka odziedziczyła cały swój koloryt po ojcu. Prokurator chciała nawet to sprawdzić, szukała wzrokiem jakichś rodzinnych fotografii, ale nic takiego nie znalazła.

– Nie ma pani żadnych zdjęć córki? – zapytała.

– Gdzieś mam. Chyba na strychu. Będą potrzebne do sądu? – zapytała Bogucka.

– Nie, nie. – Modra się uśmiechnęła. – Zwykła ciekawość.

– Czy ja będę musiała zeznawać?

– Jeśli będzie taka konieczność, dostanie pani wezwanie. Na razie tylko rozmawiamy.

– To dobrze. Nie nagrywa pani tego ani nic?

– Oczywiście, że nie.

– Ja nie chcę żadnych kłopotów. Już i tak nie mogę spokojnie wyjść z domu, żeby ktoś z sąsiadów nie zaczepiał mnie i nie pytał o Sawę. Wchodzę do spożywczego na rogu, a tam wielkie zdjęcie mojej córki we wszystkich gazetach. Dzwonią tu jacyś dziennikarze, nie wiem, skąd mają mój numer. Jeden czekał nawet pod drzwiami. Ja nie będę z nimi rozmawiać. Żyję tu sobie, nikomu nie wadzę, nie potrzebuję ani pieniędzy, ani rozgłosu. Brudną bieliznę pierze się w domu, a nie wywiesza na sznurku w oknie. Tylko pani powiem, co trzeba, bo pani jest z sądu, a ja nie chcę problemów – powtórzyła kobieta.

Barbara Modra pokiwała głową ze zrozumieniem. Zdziwiło ją, że Bogucka bardziej martwi się o swój spokój niż o fakt, że jej córka prawdopodobnie spędzi młodość w więzieniu.

– Mówi pani o mężu? – podchwyciła Modra. Wcześniej poprosiła Dymka, żeby znalazł wszystko, co można, na temat Boguckich. Okazało się, że ojciec Sawy był dobrze znany lokalnej policji. Kiedyś zatrzymano go, bo krzywo jechał dostawczakiem z pracy, a kiedy funkcjonariusz otworzył drzwi, Bogucki wypadł na ulicę i złamał rękę. Miał trzy promile, a kiedy wytrzeźwiał, założył tamtemu policjantowi sprawę o spowodowanie uszczerbku na zdrowiu.

– Mąż jak mąż. Awanturował się po wódce, jak większość chłopów. – Bogucka wzruszyła ramionami

– Miał niebieską kartę?

– A w życiu! – obruszyła się Bogucka.

– Ale policja was odwiedzała...

– Złośliwa sąsiadka na nas donosiła.

– Na was? Czy raczej na męża? Bił panią?

– Zdarzyło mu się. Ja nie będę tego wypominać człowiekowi, który nie żyje od ponad dziesięciu lat. To się nie godzi.

– Mhm... Ale córkę bił? Sugerowała, że była ofiarą przemocy. Wspominała o tym na swoim vlogu.

– Na czym? On na swoją córeczkę to by ręki nie podniósł – powiedziała Bogucka. Na jej twarzy pojawił się grymas. Modra zastanawiała się, jakie uczucie odzwierciedlał. Gdyby musiała, postawiłaby na pogardę.

– To źle? – dopytała prokurator.

– A czy ja tak powiedziałam?

- Pani jest blisko z córką?
- Ona była za ojcem. Tak się dobrali – Bogucka wykręciła się od odpowiedzi.
- A pani czuła się wykluczona z tego układu?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To pani znalazła ciało męża?

– Tak. Tu na półpiętrze, kiedy wróciłam z pracy. Zdarzało mu się wracać do domu po kilku dniach, o różnych porach, i zasypiać pod drzwiami. Pomyślałam nawet, o, znowu się uwalili i leży. – Oczy Lidii Boguckiej nie wyrażały żadnych emocji. Barbara Modra powiedziałaaby nawet, że były mętne, jakby zaszyły mgłą.

- Wiadomo, co się stało?

– Powiedzieli mi, że skreślił kark. Sporo wypił, stracił równowagę i spadł ze schodów.

- Sawa musiała to mocno przeżyć.

– Uciekła z domu. Nie było jej kilka dni, nawet na policję poszłam. Okazało się, że zadekowała się ze znajomymi na jakimś ogródku działkowym. A jak wróciła, to już w ogóle nie było nad nią kontroli. Robiła, co chciała, wracała, kiedy chciała, pomiała mną. Jak jej ojciec. Dobrze, że potem zaczęła się chociaż dokładać do czynszu.

Prokuratorka pokiwała głową.

- Sawa zwierzała się pani ze znajomości z panem Hinzem?

– Sawa i zwierzenia... – parsknęła Bogucka. – My raczej nie rozmawiamy. Ostatni raz widziałyśmy się rok temu. Sawa przyjechała po jakieś stare rzeczy.

- Nie poznała pani jej narzeczonego?

– Nie zaszczycili mnie. Może chociaż na ślub zaproszą.

- Jeśli do niego dojdzie... – zauważyła prokurator.

– Już ona się o to postara.

- Pani córce grozi wiele lat więzienia. Nie czyta pani gazet?

– Już mówiłam, że nie. Ale znam moją córkę.

Barbara Modra wyszła na podwórko i poczuła ogromne zmęczenie. Nie wyciągnęła od Boguckiej nic, czym mogłaby podeprzeć swoją linię oskarżenia, która i tak opierała się na kruchych fundamentach. Była pewna, że Sawa i Adam mieli romans, ale jedyny dowód stanowiły zeznania sprzątaczkki, które Gojke próbował obrócić na korzyść swojej klientki. W mieszkaniu Hinza znaleziono odciski palców i włosy Sawy, ale to nadal było za mało. Prezeska fundacji nie kryła się z tym, że odwiedzała swojego podopiecznego i pomagała mu przez wzgląd na starą znajomość. Nawet jeśli kłamała, robiła to prawdopodobnie po to, żeby ocalić swój związek z Gawryłowem i zachować twarz. Dobrowolnie udostępniła policji wielomiesięczną korespondencję z Hinzem, z której wynikało jedynie, że mężczyzna był mocno zadurzony. Bogucka odpowiadała zdawkowo lub oddzwaniała do niego. Albo była bardzo ostrożna, albo mówiła prawdę i Hinz uroił sobie ten romans, tak samo jak teraz Modra. Prokuratorka była przekonana, że Sawa Bogucka działała z premedytacją, ale nie potrafiła tego udowodnić. Za każdym razem, gdy o tym myślała, czuła silny ucisk w klatce piersiowej. Znała to uczucie. Pojawiło się wtedy, gdy została zdegradowana i kiedy odmówiono jej przejścia na emeryturę. Modra dziwiła się tylko, że teraz ucisk jest znacznie silniejszy, a przecież w tamtych sytuacjach bezpośrednio chodziło o jej karierę, o całe życie. Teraz w grę wchodziło życie kogoś innego. Sawy Boguckiej. Bohaterki albo psychopatki.

Modra dostrzegła ruch za firanką. Starsza pani z fryzurą na kalafiora za późno odsunęła się od otwartego okna.

– Dzień dobry – prokurator zdobyła się na największą serdeczność, na jaką było ją stać. – Długo tu pani mieszka?

Intuicja nie zawodziła prokuratorce, chociaż ona sama wolała nazywać to doświadczeniem. Na małych podwórkach, w starych kamienicach zawsze znalazła się jakaś staruszka w oknie, która wiedziała wszystko o innych lokatorach. Znała ich historie, monitorowała najnowsze zdarzenia. Wiedziała, kiedy się żenili i rozwodzili, kupili nowe auto, zmienili pracę, wdawali w romanse i kłócili. Bardzo chętnie dzieliła się tymi informacjami z każdym, kto chciał słuchać.

– Dobrze zna pani Boguckich? – zapytała Modra, kiedy starsza pani spod jedynek zaprosiła ją do dużego pokoju, posadziła przy okrągłym stole z haftowaną serwetą i przyniosła herbatę w szklance ze srebrnym koszykiem.

– Znałam, bo teraz to Lidka ledwo mi się kłania. Nawet na kawę nie zejdzie. Sawa w ogóle tu nie zagląda, ale kiedyś to przychodziła bawić się z moją wnusią. Wyciągały z szafy moje sukienki, futro, malowały się, pozwalałam im. Otwierały duże okno i stawały na parapecie, że to niby taka scena. A na podwórku siedziały dzieciaki i robiły za publiczność. – Starszej pani ze wzruszenia zadrzął głos. – Ona to zawsze była łobuziara, ale co się dziwić...

– Sawa Bogucka?

– Z takim ojcem? – obruszyła się staruszka. – Cud, że wyszła na ludzi. Tyle osiągnęła, a tu taka tragedia... Mam nadzieję, że ją uniewinnią, codziennie się o nią modłę. No kto to widział, żeby człowiek nawet obronić się nie mógł przed zwykłym zbrojcem? Ten Hinz mi zawsze na łobuza wyglądał. Nie kłaniał się. Pamiętam go, jak był szczyłem i biegali tu po podwórkach bandami.

– Mhm... A coś więcej mi pani powie o ojcu Boguckiej? Co się działo w tym domu? Dlaczego Sawa ma zły kontakt z matką?

– Wie pani co... to wszystko było takie dziwne. Na początku Sawa we wszystkim naśladowała ojca. A on ciągnął ją ze sobą po różnych barach i melinach, nie wiadomo po co. Sawa kłęła jak szewc, była pierwsza do bójki. Wszystkich ustawiała, nawet starszych i silniejszych chłopaków. Wiadomo, bali się Boguckiego, ale ona też umiała sobie poradzić. Taka kokietka z niej była. A ile razy przyłapałam ją, jak papierosy paliła! Raz tylko Roman jej włwał. Nie chciał jej dać na coś pieniędzy, bo tam u nich to się nie przelewało. To Sawa sobie wymyśliła biznes. Za pieniądze pokazywała piśnię chłopakom. Tu u nas, w suszarni na strychu. Paaaani! Kolejka na schodach stała! A jak Romek wpadł na górę, jak ją gonił między tymi prześcieradłami! Wszystkie potem na ziemi uwalone leżały. A jak ona krzyczała, jak ją tłukł! Boże. No, ale to tylko raz było i należało jej się, bo tak to on jej nie ruszył, tylko Lidkę łał. On kochał córkę bardziej niż żonę. Dla mnie to było chore. Jak Sawa podrosła i zrobiła się z niej pannica, to Romek prowadził się z nią jak ze swoją kobietą. Tu raz było wesele w Zakopanem, to Bogucki zamiast żony zabrał Sawę i cały wieczór ją obtańcowywał, nie pozwalał nikomu dotknąć. Strasznie ludzie potem gadali, że mu się w głowie pomieszało. Podobno za tyłek córkę łąpał i całował po szyi. A ona tylko się śmiała. Ale wie pani... Nikt mu tego w twarz nie powiedział, bo wszyscy się go bali, już mówiłam.

Barbara Modra wyszła na klatkę i zatrzymała się przy schodach, przy których dwanaście lat temu znaleziono ciało ojca Sawy. Zastanawiała się, co czuje Lidia Bogucka,

przechodząc tędy każdego dnia.

* * *

– Wow! Wracasz z randki? – Kostka uściskała Baškę i zaprosiła ją do środka.

– Nie... z pracy.

Prokuratorka rzadko się peszyła i nigdy w sytuacjach zawodowych. Rumieńce na jej policzkach były dowodem na to, że chodzi o jej życie prywatne. Cokolwiek je wywołało, Kostka ucieszyła się, widząc przyjaciółkę ożywioną, wręcz podekscytowaną. Bała się, że to szybko nie nastąpi.

– Gin z tonikiem? – zaproponowała prokuratorce.

– Poproszę.

Modra usiadła na hokerze i czekała na drinka. Na blacie kuchennej wyspy leżał najnowszy numer „Magazynu”, otwarty na obszernym reportażu o Sawie Boguckiej. Autorką tekstu była bardzo znana i wielokrotnie nagradzana reporterka. Prokurator wpatrywała się w zajmujące całą stronę zdjęcie Sawy okraszone tytułem *Gdańsk odwraca głowę*.

– Mam ochotę zadzwonić do tej pani redaktor i zapytać, czy jest poważna – powiedziała ostrym tonem Kostka i postawiła przed przyjaciółką wysoką szklankę z mieszadełkiem. – Co za jednostronne gównno, w dodatku w najpoważniejszym czasopiśmie w kraju. Robi z Sawy świętą, a z Hinza zwykłego oprycha.

– No wiesz, nie był raczej wzorowym obywatelem – wtrąciła Modra.

– Obojętnie, jaki był, osierocił dwoje dzieci. Dlaczego nikt o tym nie pisze? – irytowała się Kostka. – Piszą za to o tobie, chcesz zobaczyć? Zostałaś naczelną suką.

– Dzięki, może później.

– Szkoda, że do nas nie zadzwoniła i nie zapytała o nasz punkt widzenia.

– Którym i tak nie możesz podzielić się w mediach. – Modra się uśmiechnęła.

– Chętnie wysłałabym jej moją ekspertyzę. Mogłaby się zdziwić.

– Nie masz wątpliwości?

– Żadnych. Bogucka to klasyczna histrioniczka. Aktorka. Robi przedstawienie ze wszystkiego, nawet ze zbrodni. Gra główną rolę i reżyseruje, publiczność ją kocha, krytycy piszą doskonałe recenzje. Jak tak dalej pójdzie, to dostanie pokojowego Nobla.

– Albo Oscara – wtrąciła Modra.

– Nie wkurza cię to?

– Tak... – odpowiedziała niepewnie prokurator.

– Tylko nie mów, że ciebie też zafascynowała.

– To nie fascynacja, ale gdyby Bogucka faktycznie okazała się sprytną manipulatką, to byłaby zaskakująca odmiana... Zwykle to kobiety są ofiarami zbrodni i psychopatów. Dzisiaj zobaczyłam w niej cierpiącego człowieka.

– To znaczy? – dopytała Kostka.

– Nie przyznała ci się, że molestował ją ojciec?

– Nie sędzę, że tam doszło do nadużycia fizycznego. Na pewno przekraczał granicę, ale Sawa Bogucka jest bardzo powściągliwa tam, gdzie mowa o jej czułych punktach. Staje się

wylewna dopiero w tym, co nie jest prawdą, tylko grą. Właśnie to ją gubi. To jej znak szczególny.

– A może naprawdę jest niewinną, wykorzystywaną ofiarą, która przypadkiem stała się sprawcą? Najpierw jej granice przekraczał ojciec, potem Hinz. Nie potrafiła się bronić. Okej, nawet jeśli miała z nim romans... Sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli.

– A tobie nie pomyliły się strony, pani prokurator?

– Zaczynam dopuszczać myśl, że zabiła go pod wpływem silnego wzburzenia, a nie z premedytacją.

– A potem sama zadała sobie rany, jak twierdzi patolog?

– Spanikowała. Wiedziała, ile ma do stracenia.

– Nie wierzę. Ciebie też uwiodła jej słodka buzia.

– Nie pierdol.

– Posłuchaj, Basia. Tak właśnie działają histrionicy. Ktoś z osobowością depresyjną myśli: „Nie jestem wystarczająco dobry i dlatego nie radzę sobie ze swoim życiem”, i tu się zatrzymuje. Histrionik idzie dalej, mówi: „Okej, skoro tak, to muszę znaleźć sposób na to, żeby inni zatroszczyli się o moje życie. Żeby mnie kochali i podziwiali”. W momencie, w którym chory na depresję rezygnuje z walki, histrionik ją podejmuje i wykorzysta do tego wszelkie dostępne narzędzia. Rozumiesz?

– Nie mówię, że Sawa nie bywa bezwzględna. Ale może tylko wtedy, gdy jest do tego zmuszona? Nie wiem, kurwa, dużo będzie zależało od zeznań jej narzeczonego. Przycisnę go. Jeśli Bogucka miała romans, a on o tym nie wiedział, to trudno o lepszy motyw.



WTEDY

Na klatce schodowej Adam minął się ze schodzącym z góry mężczyzną. Przysięgłby, że facet specjalnie trącił go ramieniem. To nie był żaden z mieszkańców, Adam nigdy go tu nie widział. Dominika czekała w otwartych drzwiach.

– Robisz to celowo? – zapytał żonę. Uśmiechnęła się, jakby nie wiedziała, co Adam ma na myśli. – Nie odbierasz i nie odpisujesz, żeby mnie upokorzyć. Żebym musiał tu przyłązić jak petent.

– Dzwoniłeś? – zapytała z udawanym zdziwieniem. – O, przepraszam, byłam zajęta.

Adam zdecydowanym ruchem oderwał jej rękę od framugi i wszedł do mieszkania.

– Gdzie chłopcy?

– U mamy.

Dominika weszła za nim do środka. Sięgnęła po papierosa, zapaliła. Wzrok Adama zatrzymał się na zastawionym szklankami, kubkami i kieliszkami stole w dużym pokoju. Przy kanapie leżały jego własne, osobiste klapki, w których kiedyś chodził po domu. Na pewno nie zostawił ich w tym miejscu. Bez słowa poszedł do łazienki i otworzył szafkę nad umywalką. Męski antyperspirant i zużyte maszynki do golenia z poprzyklejanymi ciemnymi włoskami, na najwyższej półce opakowanie litu, obok blister z klonazepamem.

– Twoje czy jego? – zapytał Adam.

– Nie bądź wredny.

– Nie... Cieszę się, że poszłaś do lekarza. I że ktoś cię wreszcie do tego namówił. Tylko dlaczego on tu mieszka?

– Jesteśmy praktycznie rozwiedzeni, mogą robić, co chcą.

– Niekoniecznie za moją kasę.

Dominika powolnymi ruchami zaczęła sprzątać ze stołu.

– Sam zaproponowałeś, że możemy tu mieszkać do końca maja.

– Ze względu na chłopców. I nie wiedziałem, że jakiś typ będzie tu pomieszkiwał na krzywy ryj. Kto to w ogóle jest? Czym się zajmuje?

– A co ci do tego?

– To, że przebywa z moimi dziećmi. Dobrze je chociaż traktuje?

Dominika zaśmiała się złośliwie.

– Tatuś, kurwa, roku się odezwał. Taki byłeś zainteresowany swoimi dziećmi, jak w zeszłą niedzielę zapomniałeś po nie przyjść?

Adam zacisnął wargi. Potarł ręką o potylicę.

– Chcę wziąć ich do siebie teraz na kilka dni. Za tydzień wyjeżdżam.

– Gdzie? Do tego pieprzonego Afganistanu?

– Do Pakistanu.

– Miałeś jechać w kwietniu.

– Pozmieniało się. Jak wrócę, to będę chciał się tu wprowadzić, więc obawiam się, że musicie do tego czasu poszukać innego gniazdka. Chłopców zawsze możesz zostawić ze mną.

– Musiałabym zwariować.

– Czyli jest szansa.

– Wiesz co, Adam, jesteś pierdolonym sukinsynem! – wykrzyknęła Dominika. – Wkurwiasz się, bo zaczęłam układać sobie życie.

– Układaj sobie życie, Domi, życzę ci jak najlepiej. Tylko błagam, nie z jakimś gościem w moim mieszkaniu, okej? A skoro już tu jest, to niech zapłaci czynsz i rachunki za następne dwa miesiące, bo ja nie zamierzam.

– To są twoje dzieci, gnoju!

– Będę po chłopców w poniedziałek rano. Nara.

* * *

Sawa oddzwoniła dopiero po powrocie z urlopu. Przez cały tydzień roznosiła go złość na nią, wyobrażał sobie kolejne sceny, w których odwdzięczy się za swoje upokorzenie. Wybierał odpowiednie słowa. Delektował się jej wymaginowaną reakcją. Wyobrażał sobie, że Sawa błaga go o spotkanie, możliwość wyjaśnienia, przebaczenie, a on, niewzruszony, odmawia i odchodzi. Te obrazy przynosiły ukojenie, może nie tak odprężające jak haszysz, jednak przyjemnie było sądzić, że teraz to on kontroluje sytuację. A kiedy zobaczył na ekranie smartfona połączenie od Sawy, wszystko to, co myślał, rozsypało się jak worek niepotrzebnego gruzu. Nie rozumiał sam siebie.

– Mnie też jest ciężko, Adam. Ja też się nacierpiałam.

– Pod palmą i z drinkiem na leżaku cierpi się trochę łżej – próbował ironizować, ale głos mu się łamał. Jej słowa wchodziły w niego jak w masło. – Widziałem twój podpis na decyzji w sprawie mojego mieszkania.

– Nie miałam wyjścia. Przegłosowali mnie. Gdybym zaczęła się za bardzo stawiać, byłoby to podejrzone. Dlaczego nie odbierałeś telefonów z fundacji? Nie chciałam zostawiać cię na lodzie.

– Mogłaś poinformować mnie osobiście, a nie wyręczać się sekretarką... pani prezes.

– Nie byłam w stanie z tobą rozmawiać...

– Bo?

– Bobym się rozsypała...

Adam chciał tego słuchać. Chciał słuchać o jej cierpieniu, tęsknocie, o tym, że ona też nie może zapomnieć i nie potrafi przerwać tego błędnego koła. Chciał, a jednocześnie jej niemoc doprowadzała go do szału.

– To jest tupet, głupota czy twoje popierdolenie?

– Adam...

– Pogrywasz sobie ze mną, mimo że mógłbym załatwić cię jedną wiadomością.

– To znaczny? – Głos Sawy zrobił się zimny.

– Jeden esemes albo mail wysłany w odpowiednie miejsce i leżysz. Twój związek, twoja kariera, autorytet, wszystko. Wszystko to zależy ode mnie. Od tego, jak mnie traktujesz.

W słuchawce zaległa cisza.

– Czego ty ode mnie chcesz? – odezwała się w końcu Sawa.

– Żebyś od niego odeszła.

Znowu milczeli. Adam nie potrafił się rozłączyć, ale ona też nie kończyła połączenia. Leżał na łóżku i myślał, że mimo wszystko to najprzyjemniejsza chwila w ciągu ostatnich tygodni. Słyszał oddech Sawy tak blisko, przy swoim uchu. Z głośnika obok łóżka sączyło się *Daydream* Tycho.

– Zaczekasz na mnie? – zapytała Sawa.

Adam usiadł.

– Na co? Zostawisz go?

– Musisz obiecać, że poczekaś. Nie mogę tego zrobić od razu, ale dostałam pewną propozycję. Z telewizji. Chcą, żebyś prowadziła jakiś program.

– Sawa... nie wiem nawet, co powiedzieć. To zajebicie... Mogłabyś rzucić fundację.

– Musielibyśmy wyjechać do Warszawy...

– Ogarniemy to. Dostanę tam pracę w pięć minut. Chłopcy będą do nas przyjeżdżać na weekendy albo ja będę jeździł do nich.

– Na razie nikomu nie mów, dobrze? – poprosiła. – Nikt nie wie o tej propozycji.

– Jasne!

– Tylko musisz dać mi czas, Adam. Będę potrzebowała kilku tygodni, żeby załatwić to bez robienia sensacji.

– Nie ma problemu.

– Nie możesz do mnie wydzwaniać, pisać ani tym bardziej przychodzić do biura...

O wszystkim powiem Filipowi sama, okej? Zasłużył na to.

– Okej, słońce. Nie martw się. Przyspieszyłem wyjazd przez tę akcję z mieszkaniem. Pożyczyłem kasę od kumpla. Myślałem, że zwariuję tu bez ciebie. Doszedłem do wniosku, że to najlepsze wyjście. Cholera, a może to przełożę...

– Nie, absolutnie niczego nie przekładaj. Chcę, żebyś jechał i odpoczął od tego wszystkiego, należy ci się.

– Wolałbym jechać z tobą.

– Wiem. Ja też. Ale potrzebuję spokoju, żeby wszystko pozałatwiać. A kiedy będziemy razem, to pojedziemy tym cholernym motocyklem, gdzie będziesz chciał. Nawet do Chin.

– Chyba ocipię ze szczęścia! Jesteś pewna tego, co mówisz?

– Jestem pewna.

– Myślałaś o tym?

– Bez przerwy. Wyjazd do Hiszpanii to był dramat. Cały czas się kłóciliśmy. Nie byłam w stanie nawet go dotknąć.

Sawa ugodziła w czuły punkt Adama.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał. – Boże, tak cię pragnę.

– W niedzielę wieczorem? – zaproponowała. – Mam służbową imprezę, urwę się.



TERAZ

Mecenas Gojke przepytywał Hannę Szołkiewicz od czterdziestu minut, łapał za słowa, podważał opinie, prosił o zademonstrowanie, w jaki sposób jej zdaniem powstała każda kolejna rana. Szołkiewicz odpowiadała na pytania bez zająknięcia.

– Twierdzi pani, że ta filigranowa kobieta, która na co dzień pomaga osobom doświadczającym przemocy, nie tylko dokonała mordu z zimną krwią, ale była potem na tyle wyrachowana, by własnoręcznie zadać sobie ciosy nożem? – Adwokatowi zabrakło argumentów, więc odwołał się do emocji. Mówiąc to, wskazała na siedzącą za nim Sawę Bogucką w długiej czarnej sukience.

– Nie wypowiadam się na temat motywacji oskarżonej – odparła przytomnie lekarka. – Twierdzą tylko, że wzorec ran na jej ciele odpowiada samookaleczeniom. Powstają one zazwyczaj przy użyciu jak najmniejszej siły, za to z nastawieniem na duży efekt.

Jej słowa po raz kolejny tego dnia wywołały poruszenie na sali. Sędzia uciszyła uczestników rozprawy.

– Jest pani doświadczonym patologiem?

– Sprzeciw! – zawołała Barbara Modra. Pytanie adwokata zdenerwowało ją tak bardzo, że wstała.

Sędzia przychyliła się, ale Gojke tylko się uśmiechnął.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, jak często pani patolog zdarza się mieć do czynienia z dusicielkami.

Sędzia kiwnęła głową w stronę biegłej.

– Do tej pory nie spotkałam się z takim przypadkiem. Kobiety bardzo rzadko uciekają się do duszenia.

– Może nam pani wyjaśnić dlaczego?

– Ponieważ to wymaga bardzo dużej siły. Celowe uduszenie człowieka nie jest takie proste.

– Widziała pani ciało denata. Był wysokim, umięśnionym mężczyzną. Proszę spojrzeć na Sawę Bogucką. – Gojke ponownie wskazała na swoją klientkę. – Czy pani zdaniem ta kobieta jest wystarczająco silna, by udusić takiego mężczyznę jak on?

– Na pewno nie gołymi rękami. Jeśli jednak użyła apaszki i zastosowała krępulec... na przykład włożyła w pętlę długopis, a następnie okręcała go, to tak... Byłoby to możliwe.

– Założmy jednak na chwilę, że moja klientka naprawdę, z jakiegoś absurdalnego powodu, chciała zabić pana Hinza. Czy w takim razie jej wybór padłby właśnie na apaszkę? Czy użyłaby jej, wiedząc, że nie tylko może jej braknąć sił, ale że zostanie oskarżona o przekroczenie granic obrony koniecznej?

– Wysoki sędzie, biegła nie czyta w myślach oskarżonej – zwróciła uwagę Modra, a sędzia znowu stanęła po jej stronie.

– Próbuję udowodnić, że moja klientka nie sięgnęła po apaszkę z rozmysłem, ale w chwili silnego wzburzenia, ponieważ tylko to miała pod ręką, żeby się obronić – emocjonował się mecenas. – Zadam inne pytanie. W jaki sposób najczęściej zabijają kobiety? Jak wynika z pani doświadczenia?

– Najczęściej jest to otrucie, rzadziej nóż.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

– Ja również dziękuję. Pani prokurator? – sędzia zwróciła się do Modrej.

– Jeszcze jedno pytanie. – Prokurator wstała i podeszła kilka kroków. Na parkiecie zastukały czerwone szpilki, kontrastujące z czarną togą. – Pani doktor, widziała pani wiele morderstw, również tych zaplanowanych. Jest pani zaznajomiona z ich okolicznościami... – Spojrzała na Szołkiewicz i zaczęła, aż lekarka potwierdzi. – Czy jako patolog może pani stwierdzić, że w trakcie popełniania zbrodni wszystko idzie zawsze zgodnie z planem?

– Zdecydowanie nie. Śmierć, nawet ta zaplanowana, najczęściej jest efektem przypadku.

– Może to pani wyjaśnić?

– Sprawcy trudno przewidzieć bieg wydarzeń, to, jak zachowa się i zareaguje ofiara. Czy będzie walczyć, czy nie. Nawet jeśli zaplanuje uderzenie nożem, ostatecznie nie wiadomo, gdzie dokładnie trafi ostrze i czy cios będzie śmiertelny.

– Może pani powtórzyć, jakie były wyniki toksykologii Adama Hinza? Co wykryto w jego krwi?

– Ponad dwa promile alkoholu, mefedron, amfetaminę i klonazepam.

– Ale nie w śmiertelnych dawkach?

– Nie.

– Mogło więc być tak, że Sawa Bogucka zmieszała leki z narkotykami i wyspała do drinka, który podała Hinzowi, ale on nie zareagował tak, jak myślała, więc w ostateczności i desperacji sięgnęła po apaszkę?

– Sprzeciw! To wyssana z palca bajka, która nie ma żadnych podstaw! – obruszył się Gojke.

– Podtrzymuję. Pani prokurator...

– Nie mam więcej pytań.

W sali rozległ się stukot szpilek. Barbara Modra wróciła na swoje miejsce. Była zadowolona z dzisiejszego posiedzenia. Zasiała w sędzi i ławnikach niepewność, widziała to w ich oczach. Po wyjściu z sali rozpraw włączyła telefon i odczytała esemesa. Jej były, a formalnie wciąż aktualny przełożony z prokuratury okręgowej chciał się z nią widzieć osobiście. Jak najszybciej.

Kiedy Modra mijała swój dawny gabinet w budynku Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Minęła go szybko i weszła do biura przełożonego, Jacka Wójcika. Sekretarka przywitała ją z wyjątkową serdecznością.

– Sześć ma jeszcze spotkanie. Dziesięć minut góra.

– Poczekam. Zrobi mi pani kawę?

– Oczywiście. Z kawiarki, jak zwykle?

Barbara Modra kiwnęła głową. Spędziła na krześle kolejne czterdzieści minut, odpowiadając uśmiechem na przepaszające spojrzenie sekretarki.

– Kawy? – zaproponował Wójcik, kiedy w końcu zaprosił ją do środka. Jego gabinet był pusty. Modra chciała wierzyć, że miał spotkanie online, ale wiedziała też, że był zdolny do tego, by zwyczajnie ją przetrzymać.

– Dzięki, wypiałam już dwie. – Nie darowała sobie przytyku w jego stronę. Nie miała wiele do stracenia. Skoro ją wezwał, to olej został już wylany. To musiało być coś ważnego. Coś związanego z jej delegacją do rejonówki. Od rana w głowie kołatała jej myśl, że chodzi o jej powrót, inaczej Wójcik nie fatygowałby jej osobiście. Ale jakim cudem to było możliwe? Z takiej delegacji, na jaką ją wystali, rzadko się wracało.

– Nieźle sobie radzisz. Zmiana chyba wyszła ci na dobre – zaczął Wójcik. – Nie myślałaś, żeby jednak zostać w rejonówce? Z tego, co widzę i słyszę, twoje zdrowie również uległo poprawie?

Z jego twarzy nie schodził ironiczny uśmiech. Z twarzy Barbary Modrej również. To ona powinna siedzieć na jego miejscu.

– Miło, że zauważyłeś. Dzięki – odbiła piłeczkę.

– Cieszę się, bo żal by było, żeby osoba z takim potencjałem jak twój marnowała się na emeryturze. Jesteś potrzebna. Społeczeństwu, nam.

– Wam? Tutaj? – ponagliła Modra.

– Tak. – Wójcik spoważniał. Jego głos zrobił się ostry. Widać było, że nie jest zachwycony tym, co ma do powiedzenia. – Nie ma potrzeby przedłużać twojej delegacji.

– Jestem zaskoczona – wydusiła z siebie Modra.

– Tak? Jesteś świetnym prokuratorem, tak jak wspomniałem, potrzebujemy cię. Do znacznie większych i ważniejszych spraw niż skarżenie Bogu ducha winnej kobiety o zabójstwo.

Barbara Modra poczuła, jak ciepła, paraliżująca fala rozlewa się po jej ciele. Sprawia, że nogi i ręce stają się ciężkie, wypełnia klatkę piersiową i szyję, dociera do twarzy. Stawało się dla niej jasne, że Jacek Wójcik oferuje jej powrót na dawne stanowisko w zamian za skopanie procesu Boguckiej. I nie była to oferta, która wyszła od niego. Ta sprawa była za gruba nawet jak na potężne macki Aleksandry Gawryłow, która jako pierwsza przyszła do głowy Modrej. Nie, to poszło o wiele dalej, do samej góry, która też czasem ulegała medialnej i społecznej presji. Proces komentowany we wszystkich mediach, setki artykułów, reportaże i programy telewizyjne, demonstracje przed sądem, petycje rozsyłane przez organizacje pozarządowe, wreszcie podobizna Sawy jako syreny z tarczą i mieczem na sztandarach...

To wszystko przesuwano się przed oczami Barbary Modrej, kiedy wyszła na korytarz. Szała powoli, w kierunku schodów. Zdawało jej się, że świetlówki na suficie migają jak stroboskop.

* * *

Filip Gawryłow nie odrywał wzroku od narzeczonej, siedzącej na ławie oskarżonych. Sawa miała łzy w oczach i co chwilę spuszczała wzrok. Tak jak na wszystkich poprzednich posiedzeniach była ubrana na czarno, wyglądała jak żałobnica.

– Jak długo zna pan Sawę Bogucką? – zapytał mecenas Gojke.

– Pięć lat.

– A od jakiego czasu pozostajecie w związku?

– Od dwóch lat.

– Poznaliście się w fundacji?

– Tak. Sawa przyszła do pracy jako wolontariuszka, potem została na stałe. Była bardzo pracowita i zaangażowana, kreatywna...

– Czy korzystała z programów fundacji również prywatnie?

– Tak. Pracując z osobami doświadczającymi przemocy, zorientowała się, że sama ma za sobą taką... przeszłość. Zaczęła uczęszczać na warsztaty psychologiczne.

– Które pan prowadził?

– Nie tylko ja. Ale tak, spotykaliśmy się podczas warsztatów.

– Zna pan więc panią Bogucką nie tylko jako jej partner...

– Narzeczony – wtrącił Filip.

– ...jako jej narzeczony, ale również jako terapeuta.

– Zgadza się. Kiedy zaczęliśmy spotykać się na gruncie prywatnym, skierowałem Sawę do innego specjalisty. Dalsze sesje byłyby nieetyczne.

– Rozumiem. Podejrzewam też, że jako doświadczony terapeuta zorientowałby się pan, że ma do czynienia z zimną, wyrachowaną manipulatką.

– Sprzeciw, wysoki sędzie – odezwała się Barbara Modra. – Świadek nie jest biegłym w sprawie.

– Wysoki sędzie, świadek dzięki swojej fachowej wiedzy i doświadczeniu może potwierdzić wiarygodność mojej klientki – zaoponował Gojke.

– Oddalam – mruknęła sędzia i zwróciła się do Filipa. – Proszę odpowiedzieć.

– Jako psycholog nie stwierdziłem u Sawy żadnego rodzaju zaburzeń osobowości czy odchyień od tak zwanej normy, a tym bardziej psychopatii czy socjopatii. Z pewnością też nie oświadczyłbym się osobie, co do której zdrowia psychicznego miałbym wątpliwości.

– Dziękuję za odpowiedź. – Gojke triumfował. – Mimo to wasz związek nie był idealny.

– Żaden związek nie jest...

– To oczywiste, chodzi mi jednak o coś innego. Pojawiła się osoba trzecia. Pan Adam Hinz.

– Tak... – przyznał Filip.

– Kiedy dowiedział się pan o jego istnieniu?

– Latem. Niedługo po tym, jak zgłosił się do fundacji. Sawa... moja narzeczona zaprosiła go na kilka dni do naszego mieszkania.

– Ach, tak?

– Pan Hinz był jej znajomym z dzieciństwa. Sawa dowiedziała się, że żona wyrzuciła go z domu. Potrzebował pomocy... Mojej narzeczonej często brakuje asertywności, jeśli chodzi o podopiecznych fundacji...

– Nie miał pan jednak nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie. Przyjaciołom trzeba pomagać. Nie spodziewaliśmy się, że ta znajomość tak się potoczy...

– To znaczy jak?

– Że Adam Hinz wpadnie w obsesję na punkcie mojej narzeczonej i zacznie jej zagrażać.

– Czy oskarżona powiedziała panu od razu o tej... obsesji?

– Nie – przyznał Filip. – Miała dużo obaw, poczucie winy i wstydu.

– Dlaczego? – zdziwił się teatralnie Gojke, a Barbara Modra zaczęła się zastanawiać, do czego zmierza obrońca Boguckiej.

– Dlatego że nawiązała romans z Adamem Hinzem.

Na sali sądowej zrobiło się głośno. Barbarze Modrej wydawało się, że jej serce wali równie głośno jak sędziowski młotek.

– Oskarżona przyznała się do romansu z panem Hinzem? – Mecenas Gojke mówił głośno i wyraźnie, patrzył prosto w oczy prokuratorce.

– Tak – odparł Gawryłow.

– Po tym, jak doszło do feralnej nocy, podczas której pan Hinz zginął?

– Nie. Jakies dwa tygodnie wcześniej – odparł terapeuta.

Barbara Modra próbowała poluzować czerwony żabot na swojej todze. Było jej duszno i niewygodnie. Sędzia ponownie uciszyła uczestników rozprawy.

– Proszę nam opowiedzieć, w jakich okolicznościach doszło do tego wyznania.

– Tuż po tym, jak moja narzeczona została prezesem fundacji. Ta propozycja ją zaskoczyła, ale Sawa poczuła też... że nie jest jej godna. Nie chciała mnie oszukiwać ani wykorzystywać. Powiedziała, że doszło do zdrady...

– Zapewne był to dla pana cios.

– Tak. W pierwszej chwili – przyznał Gawryłow. – Jestem jednak terapeutą. Patrzę na takie zdarzenia z szerszej perspektywy.

– To znaczy?

– Nie uważam, że zdrada musi być końcem związku. Na pewno jest końcem pewnego schematu, który widocznie źle funkcjonował, skoro doszło do takiego rozłamu.

– Chce nam pan powiedzieć, że niewierny partner czy partnerka nie są skończonymi łajdakami? – ironizował Gojke.

– Oczywiście, że nie są. Zdrada mówi o tym, że w związku coś nie działa. Osoba, która dopuszcza się zdrady, tak naprawdę informuje, że nie jest w stanie dłużej tkwić w dotychczasowym układzie. Że wymaga on głębokiego uzdrowienia. Oczywiście sposób poinformowania o tym za pomocą osoby trzeciej pozostawia wiele do życzenia, to jednak inny temat. To informacja o niemocy, o słabości. Każdy z nas bywa słaby.

- Zastanawiam się, czy pani Bogucka знаła pana podejście do tematu zdrady?
- Oczywiście, że znała. Wiele razy o tym dyskutowaliśmy. Ona była bardziej zasadnicza. Uważała, że nie zasłużyła na moje wybaczenie, obwiniła się.
- Czy pani Bogucka chciała zerwać zaręczyny i rozpocząć nowe życie z panem Hinzem?
- Oczywiście, że nie.
- Chciałbym podsumować te informacje. – Gojke rozejrzał się po zebranych i wrócił do Gawryłowa. – Moja klientka przyznała się do niewierności. Nie chciała zerwać zaręczyn i co więcej, mogła liczyć na to, że rozwiążą państwo ten problem.
- Jak najbardziej – potwierdził Filip.
- Nie musiała więc obawiać się, że Adam Hinz doniesie panu o tej rewelacji, a jej całe życie legnie w gruzach?
- Nie musiała.
- To oznacza, że moja klientka nie miała żadnego motywu, by planować, a następnie popełnić zbrodnię z premedytacją. Dziękuję, nie mam więcej pytań. Ach, nie, przepraszam. Mam jeszcze jedno. Mają państwo wyznaczoną datę ślubu?
- Barbara Modra nie miała nawet siły zgłaszać sprzeciwu, czuła gorycz porażki. Sędzia pokręciła tylko z dezaprobatą głową, dając adwokatowi znak, że szarżuje, jednak ona również się nie odezwała.
- Chcielibyśmy pobrać się latem.

* * *

Barbara Modra zanurzyła się w wodzie, obie nogi wyciągnęła na brzegu wanny. W ciszy pękały kolejne bąbelki białej piany. Odebrała połączenie od Hanny Szólkiewicz i włączyła tryb głośnomówiący.

- Chciałam zapytać, jak się czujesz? – dopytywała lekarka.
- Jak rozjechana walcem.
- Słyszałam, co się dziś odwalilo w sądzie. Myślisz, że Gawryłow ściemnia?
- Nie wiem... – Modra martwym wzrokiem wpatrywała się w błyszczącą czerwień na paznokciach swoich stóp. Zauważyła niewielki odprysk na dużym palcu. Irytował ją.
- Aż tak zależałoby mu na Boguckiej, że zdecydowałby się na składanie fałszywych zeznań? – dywagowała Szólkiewicz. Zdała sobie sprawę, że prokuratorka nie jest zbytnio zainteresowana tą dyskusją. – Ale masz jeszcze jakieś opcje, tak? Może i to nie była premedytacja, ale na pewno nie obrona konieczna... Sama powiedziałaś, że moja opinia dużo wniosła. Musisz tylko przycisnąć Bogucką...
- Hania... – ucieła Modra. – Nie wkręcasz się w to za bardzo? Wiem, co mam robić.
- Sorry... – speszyła się lekarka. – Nie chciałam. Spotkamy się dziś?
- Nie dam rady. Muszę jeszcze nad tym posiedzieć.
- Okej. To daj znać... – Hanna Szólkiewicz chciała jeszcze dodać, że tęskni, ale zimny ton prokuratorki odwiódł ją od tego pomysłu. – Dobrej nocy.

Barbara Modra rozłączyła się i zanurkowała. Zamknęła oczy i zobaczyła w ciemności uśmiechniętą, łagodną twarz Hanki. Poczowała na sobie błogi ciężar jej delikatnego, jasnego ciała. Dziewczyna oplatała ją rękami, zanurzały się coraz głębiej i głębiej. Modrej zaczynało brakować tchu, wynurzyła się gwałtownie i usiadła w wannie. Podkuliła kolana pod brodę i objęła nogi. Siedziała tak chwilę, woda spływała jej z włosów. W końcu wytarła ręce, sięgnęła po telefon i wybrała numer mecenasa Gojkego.

* * *

Deszcz głośno stukał o szybę w oknie kawiarni, przy którym usiadła Barbara Modra. Zajęła duży fotel z wysokim oparciem, na którym wyglądała jak królowa na tronie. Założyła nogę na nogę i obserwowała przez szybę, jak Hanna Szołkiewicz czeka po drugiej stronie ulicy, aż przejedzie samochód. Lekarka nie miała parasola, weszła do środka i pokazała Baśce na migi, że musi iść do łazienki, wycisnąć mokry kucyk. Kiedy usiadła przy stoliku, czekało na nią cappuccino.

– Dzięki. – Na powitanie cmoknęła prokuratorkę w policzek. – Już myślałam, że w ogóle się w tym miesiącu nie spotkamy.

– Przepraszam. Strasznie dużo roboty.

Modra opowiadała o jakichś dokumentach, które musiała wypełnić, ale zachowywała się dziwnie. Jakby rozmawiała z daleką znajomą i prowadziła nudny, uprzejmy *small talk*.

– Czemu spotykamy się tutaj, a nie u mnie? Albo u ciebie? – zapytała wprost lekarka.

– Nie stęskniłaś się?

Modra uśmiechnęła się i wyjęła z torebki dwa pisma. Na jednym z nich Szołkiewicz zauważyła sądową pieczęć.

– Co to?

– Obrona zażyczyła sobie drugiej ekspertyzy z obdukcji Boguckiej. To protokół.

Hanna Szołkiewicz wzięła dokument i zobaczyła nazwisko Ryszarda Zduńskiego. To z nim ostatnio spięła się po autopsji dziecka, które jego zdaniem zmarło na SIDS, choć lekarka znalazła obrażenia wyraźnie świadczące o użyciu przemocy.

– Zduński dziś zeznawał. Podważył wszystko, co mówiłaś o tym, że Bogucka sama się okaleczyła. Rozwodził się nad każdym cięciem. Stwierdził, że jej rany są typowe i charakterystyczne dla samoobrony. Był bardzo pewny siebie.

– Zawsze jest. – Hanna Szołkiewicz zmrużyła oczy.

– Nie omieszkałaś napomknąć, że byłaś jego studentką...

– No tak...

Lekarka była rozczarowana, ale nie zaskoczona. To nie był pierwszy raz, kiedy musiała spierać się z innym patologiem i udowadniać swoje racje. Jakoś to przełknie.

– A to? – zapytała o drugi dokument.

Barbara Modra ścisnęła pismo w dłoni.

– Chciałam, żebyś dowiedziała się ode mnie. To decyzja o wyłączeniu biegłego w postępowaniu karnym. To znaczy z procesu Boguckiej.

– Którego biegłego? – Szołkiewicz wpatrywała się w prokuratorkę.

– Ciebie.

Lekarka przebiegła pismo wzrokiem.

– Brak bezstronności? – zapytała zdziwiona. – Zostałam wyłączona ze względu na brak bezstronności?

– Do wyłączenia biegłego może prowadzić między innymi ujawnienie powodów osłabiających zaufanie do jego wiedzy lub bezstronności oraz pozostawanie w szczególnie bliskim stosunku z inną niż oskarżony stroną procesu, na przykład pokrzywdzonym, prokuratorem... – recytowała Modra.

– Ktoś na nas doniósł?

– Na to wygląda. Nie muszę chyba wspominać, że mnie też się oberwało.

– Ale nie aż tak jak mnie... – odparła Szołkiewicz. – Nie mogłaś zaprzeczyć? – dodała z wyrzutem.

Modra chciała złapać ją za rękę, ale Hanka odsunęła dłoń.



PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ

Sawa Bogucka miała na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem i wąską, czarną spódnicę. Włosy upięła w klasyczny kok. Ostatnio zmieniła kształt grzywki – z prostej na bardziej nonszalancką, w stylu Jeanne Damas. Barbara Modra, która wpatrywała się w telewizor, musiała przyznać, że twarz Sawy nabrała jakiejś szlachetności.

– Co pani czuła, kiedy usłyszała pani wyrok uniewinniający? – zapytała dziennikarka.

– Niesamowitą ulgę. Jakby spadła ze mnie tona gruzu. – Sawa szybko machała rzesami, próbowała powstrzymać napływające łzy wzruszenia. – Ale mój adwokat musiał powtórzyć mi słowa sędzi dwa razy, bo nie mogłam uwierzyć. „Oskarżona działała pod presją, zabiła w obronie koniecznej, ale chociaż przekroczyła tę obronę, zrobiła to w obawie o swoje życie” – wyrecytowała Sawa. Jej twarz była jasna i pogodna.

– Nie mogła pani uwierzyć? – zdziwiła się dziennikarka.

– Tak. Cała ta sprawa kosztowała mnie zdrowie psychiczne. Tylko inne niesłusznie oskarżone osoby wiedzą, co przechodziłam przez te miesiące. Doznałam załamania nerwowego. Gdyby nie mój wspaniały mąż.... – Sawa spuściła wzrok. Pociągnęła nosem. – Były chwile, kiedy wątpiłam sama w siebie. Ci wszyscy ludzie, którzy mnie przepytawali, podważali każde słowo, analizowali każdy mój gest, kazali tłumaczyć najdrobniejszy krok, rozbierali mnie na czynniki pierwsze i przepuszczali przez własne teorie... Wmawiali mi rzeczy, które nie były prawdą, aż w końcu sama zaczęłam kwestionować to, co przeżyłam. Zarzucano mi, że skoro doszło do... uduszenia, to nie mogła być samoobrona. W chwili walki o życie miałam analizować wybór odpowiedniego narzędzia? Takiego, którego później nie zakwestionuje prokurator? Co za absurd! Mimo to zaczęłam się zastanawiać: może naprawdę jestem złym człowiekiem? – Sawa zawiesiła głos. Dziennikarka nalała jej wody do szklanki i podała. – Dziękuję. Może to jedno nieszczęsne zdarzenie przekreśliło wszystkie dobre rzeczy, które zrobiłam dla innych? Popełniłam jeden poważny, karygodny błąd, przyznaję. Miałam romans. Będę ponosić za to konsekwencje do końca życia, bo najtrudniej jest wybaczyć samej sobie. Ale w odróżnieniu od innych osób, które zdradzają latami, ja miałam odwagę przyznać się do tego. Stanąć w prawdzie, pokazać swój cień nie tylko przed narzeczonym, ale przed milionami obcych ludzi, którzy już zawsze będą mnie oceniać. Zniosę to, bo wiem, jaka jest

prawda. A prawda jest taka, że mogłam stracić życie. Może niektórzy stwierdziliby, że to byłaby dobra kara za moją wiarołomność. Ja jednak działałam w odruchu. Kierował mną instynkt samozachowawczy. Później zrozumiałam, że mogę zrobić coś lepszego, niż umrzeć. Wykorzystać swoje życie tak, aby pomagać innym.

– Nadal jest pani prezesem Fundacji Junona?

– Nie. – Sawa się zmieszała. – Ustąpiłam ze stanowiska. Doszliśmy do wniosku, że tak będzie lepiej.

– Nie zrezygnowała pani jednak z pracy na rzecz osób pokrzywdzonych przestępstwami?

– Oczywiście, że nie. Razem z mężem przygotowuję cykl autorskich warsztatów rozwojowych dla kobiet z doświadczeniem przemocy.

– Możemy chyba zdradzić, że jest pani zajęta jeszcze jednym projektem – zasugerowała dziennikarka.

– Tak, a nawet dwoma. Pracuję nad książką, w której opiszę swoją historię. Powstanie także ekranizacja.

– Kogo widziałaby pani w roli Sawy Boguckiej?

– Najchętniej samą siebie. – Sawa puściła do niej oko. – Oczywiście żartuję. Mam nadzieję, że zagra mnie Michalina Olszańska. Ja zadowolę się współtworzeniem scenariusza.

Barbara Modra wyłączyła telewizor. Z twarzy nie schodził jej cyniczny uśmiech. Założyła płaszcz, wsunęła stopy w czerwone szpilki i zjechała windą na parter. Jadąc taksówką do prokuratury okręgowej, nie myślała już o Sawie Boguckiej. Na miejscu czekała na nią sekretarka.

– Nikt nie korzystał z pani gabinetu, ale chyba trzeba tu będzie trochę odświeżyć – powiedziała kobieta, przekładając opasłe tomy akt. – Przepraszam, nie miałam kiedy...

– Nie szkodzi. Zejdę po coś do jedzenia.

Kiedy szła korytarzem, mignęła jej postać szczupłej kobiety w ramonesce i z nastroszonymi włosami. Prokuratorka przyspieszyła kroku.

– Iza? Co tu robisz? – zapytała, łapiąc ją za ramię.

– Mogłabym zapytać cię o to samo – odparła Kostka.

– Miałyśmy pogadać...

– Baśka, nie mam teraz przestrzeni...

– Kurwa, błagam cię – przerwała jej prokurator. – Nie wyjeżdżaj mi z tymi psychologicznymi hasłami. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mów.

– Nie chcę. Właśnie o to chodzi, że nie chcę.

– Chodzi o twoją opinię w sprawie Boguckiej? Przecież wiesz, że byłam za tobą. Ostateczna decyzja zawsze należy do sędziego, nie do mnie.

– Jasne. Nie o to mi chodzi. Przyzwyczyłam się, że czasem sędziowie mają moje opinie w dupie. Nie biorę tego do siebie.

– To w czym problem? – zapytała prokurator.

– Może w tobie?

– Dobra. Na serio musimy się spotkać. Najlepiej na wódce. Przyjedź do mnie.

Iza Kostka mierzyła przyjaciółkę wzrokiem. Wahała się.

– Jestem dziś umówiona. Możemy przedtem skoczyć na małe piwo. Koło dwudziestej.

Modra czekała na Iżę w nowym Duszku. Jako studentki prawie tu mieszkały, przynajmniej wtedy, kiedy nie kuły do sesji. Prokurator od razu pożałowała, że się tu umówiły. Hipsterski lokal w żaden sposób nie przypominał legendarnej knajpy, w której kiedyś roiło się od artystów i pozytywnych dziwaków.

– Wyobrażasz sobie? Podają bajgle. – Modra ze zdegustowaniem patrzyła na kartę dań.

– A po najlepszych na świecie żeberkach i żurku ani śladu.

– Mówiłam ci, że mam czas tylko na małe piwo.

– Okej. – Prokurator westchnęła. – Mów, co ci leży na duszy. Przyjmę wszystko.

– Jak ci na starych śmieciach? – zapytała Iza.

– Dobrze. Wygląda na to, że tamten nieszczęsny immunitet poszedł w niepamięć.

– Mhm. To świetnie – parsknęła Kostka. – A co u Hani?

– Nie wiem. Dawno się nie widziałyśmy.

– Ty nie chcesz gadać z nią czy ona z tobą?

– Iza...

– Ty myślisz, że ja nie umiem połączyć kropek?

– Nie wiem, o czym mówisz. W prokuraturze brakuje kompetentnych ludzi, przywrócili mnie, bo potrzebowali...

– Baśka, daj spokój. Martwiłam się o ciebie, kiedy cię oddelegowali, wiesz o tym. Szczerze mówiąc, byłam posrana ze strachu. Naprawdę uważałam, że możesz sobie coś zrobić. Wiem, ile ta robota dla ciebie znaczyła. I wiem, że twoje ambicje są... łagodnie mówiąc, bardzo bujne. Ale teraz... teraz martwię się o ciebie jeszcze bardziej.

– Gdyż? – Modra upiła łyk piwa.

– Właściwie zaniepokoił mnie już fakt, że wolałaś nawet kombinować z emeryturą, niż zostać zdegradowana. To było bez sensu. Dla kogoś takiego jak ja może, ale nie dla ciebie...

– Tak, a kim ja niby jestem?

– Nie wiem. I tego właśnie się boję. Ale dla mnie możesz sobie przybić piątkę z Sawą Bogucką – wypaliła Kostka, a jej mina sugerowała, że już żałuje swoich słów.

– Aha. – Prokuratorce mocno zakłuła ta uwaga, ale nie dała tego po sobie poznać. – Może oceniasz mnie tak samo niesłusznie jak ją... Wiesz, że założyła fundusz dla tych chłopców... synów Hinza.

– Proszę cię... – Kostka spojrzała na telefon. Zaczęła zbierać się do wyjścia. – Muszę lecieć.

– Zadzwoń do mnie, jak ci przejdzie.

– Taa – rzuciła Kostka.

– Wiem, że ci przejdzie.

– Spadaj.

W głosie Izy nie było już złości, co prokurator wzięta za dobry znak.

– Nie zapominaj, że nie miała motywu! – zawołała za przyjaciółką Modra, a potem dodała ciszej, do siebie: – Nie miała żadnego powodu, żeby zaplanować zabójstwo Hinza.



WTEDY

Mówią, że w życiu trzeba mieć szczęście. Jeśli tak na to spojrzeć, to Sawa miała go całkiem sporo, a ja niewiele. Nieudane małżeństwo, problemy w pracy, wreszcie miłość do niewłaściwej kobiety. Pech, prawda? A właśnie, że nie. Może mieliśmy z Sawą takie same cząsteczki bazowe, przez które musieliśmy się połączyć, jednak w niej było coś, dzięki czemu te same karty ona rozgrywała na swoją korzyść, podczas gdy ja partoliłem sprawę.

Nic nam się nie przytrafia. Wszystko, co materializuje się w rzeczywistości, wypływa z naszego wnętrza. Wybaczcie wzniosły ton, ale w mojej sytuacji mogę sobie na niego pozwolić. Mam szerszą perspektywę niż wy. I właśnie tak uważam: że wszystko jest efektem działań, a wcześniej myśli. Nie tylko przekonań i założeń, ale również tych nagłych impulsów, które przemknęły tak szybko, że ledwo je zauważyliśmy. One też wynikają z naszej natury. Z tego, kim jesteśmy, jaki wzorec mamy wdrukowany.

Któregoś dnia Sawa niby zwyczajnie tańczyła sobie w salonie, po czym chwyciła telefon i zaproponowała mi nocleg. Nie musiała tego robić. To wypłynęło z niej. Ja też nie musiałem przychodzić po poradę prawną do tej konkretnej fundacji. Myślicie, że nie wiedziałem, kogo tam spotkam?

Pamiętam każdy najdrobniejszy szczegół z chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Sawę Bogucką, siedzącą z koleżankami na dachu garażu. Miała piętnaście lat, rozpuszczone włosy do pasa, długą żółtą spódnicę i odsłaniającą brzuch bluzkę w paski. Brudne od czarnego piachu paznokcie u rąk i stóp, przesuszoną skórę na kostkach. Była płaska jak deska i chuda jak patyk, wyglądała na młodszą niż jej rozwinięte rówieśniczki, a i tak to do niej ustawiała się kolejka chłopaków. Sawa tylko się z nich śmiała. Tamtego dnia opalała się na dachu garażu. Jej lewa noga leżała bezwładnie, prawą ugięła w kolanie i odchyliła. Zobaczyłem białe, bawełniane majtki. Przyszedłem po siostrę, która siedziała z Sawą na dachu, nawet nas sobie przedstawiła. Sawa rzuciła tylko „cześć!”, ale nie otworzyła oczu. Nie zauważała mnie latami, a ja nigdy nie znalazłem w sobie tyle odwagi, żeby chociaż zagadać. Za każdym razem, kiedy ją widziałem, z mózgu robiła mi się wata.

Tej nocy, której tak wyjątkowo mi się poszczęściło, a Sawa pozwoliła mi się dotykać, całować i kochać, nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak była zalana. Zignorowałem fakt, że

dziesięć minut wcześniej na tej samej domówce u któregoś ze wspólnych znajomych z Zakopiańskiej całowała się z innym chłopakiem. Coś jej się nie spodobało, odepchnęła go. Koleś zatoczył się i upadł. Schowała się w sypialni, w której przeglądałem winyle. Zatkąło mnie. Jedyne, co byłem w stanie z siebie wydusić, to czy lubi Floydów. Zaczęła się śmiać. Kiedy przestała, poprosiła, żebym położył się obok niej na łóżku. Tak zwyczajnie wzięła moją dłoń i włożyła sobie pod bluzkę. Poczułem małą, twardą pierś. Mój wzród był niemal bolesny. Dotkliwie jej pragnąłem. Cały czas mówiła, co mam robić. Włożyć jej rękę w majtki, palec w cipkę, ssać sutek, ugryźć w kark, wziąć od tyłu. Robiła to swobodnie, z uśmiechem, jakbym był jej kukiełką. Oszołomiony, spełniałem jej życzenia. W pewnej chwili do sypialni ktoś wszedł, a Sawa krzyknęła, żeby wypieprzał. I żebym ja pieprzył ją szybciej. Jak mogła nie pamiętać następnego dnia, że w nocy dawała mi instrukcje? Skończyłem oczywiście za szybko, byłem tak nieporadny, jak tylko można być podczas swojego pierwszego razu z wymarzoną dziewczyną. Z boginią, o której obsesyjnie się myśli. Musiałem być tak kiepski, że wolała zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie poznawać mnie na ulicy.

Po latach, kiedy jednak udało mi się ją zdobyć, pomyślałem, że może naprawdę urwał jej się wtedy film i nie pamięta tamtego incydentu. Ważne, że chciała do mnie wracać, mimo że mieszkała z Filipem. Nie traktowałem go poważnie. Był w naszej historii jakimś statystą, to między mną a Sawą toczył się główny wątek. Do nocy, w której zginąłem, doprowadziły nas małe impulsy, nieostrożne kroki, odruchy i przemyślane decyzje. My do niej doprowadziliśmy.

* * *

Sawa przyjechała do mnie prosto z jakiegoś rautu organizowanego przez urząd miasta. Miała na sobie krótką sukienkę z gołymi plecami, wzorzyste rajstopy, kozaki i jasny płaszcz. Dotarła samochodem, a mimo to poprosiła, żebym nalał jej wina. Ucieszyłem się nawet, że w takim razie zamierza zostać u mnie na noc, ale ona sączyła tę jedną porcję cały wieczór, za późno to zauważyłem. Mówiłem już, że przy Sawie mój mózg zamieniał się w watę? I że zapach jej skóry działał lepiej niż MDMA? Od kilku dni, czyli od momentu, gdy Sawa zadzwoniła i powiedziała, że odejdzie od Filipa, prawie nic nie brałem. No, jakieś tam śladowe ilości, ale wiedziałem, że do czasu wyjazdu i tak muszę rzucić ten szajs, mieć czystą głowę. Teraz już wszystko miało być czyste i proste.

Mimo że Sawa piła niewiele, co chwilę dopełniała moją szklankę. Kochaliśmy się, bez trudu połapałem się więc, że jest inna, odległa, spięta. Jej ciało nie reagowało tak jak zwykle. Może wydawało jej się, że już się ze mną pożegnała? Tak teraz myślę. To oczywiście był z jej strony błąd. Nigdy nie uwierzę, że Sawa nic do mnie nie czuła, że moja śmierć jej nie obeszła. To była dla niej trudna, desperacka decyzja. Wiem, bo był moment, w którym próbowała wycofać się ze swojego planu. Byłem tylko zbyt głupi i zbyt odurzony, żeby to zauważyć.

– Nie wiem, czy dam radę – powiedziała w pewnym momencie.

– Porozmawiać z Filipem?

– To go załamię. Nie zasłużył na to.

– Martwisz się o niego, a nie o mnie? – zirytowałem się. Byłem wkurzony, że znowu do tego wracaliśmy. Czekałem na nią od miesiący, czy naprawdę nie rozumiała, jakie katusze

przechodziłem w tym czasie? Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że ona naprawdę się waha. – Zmieniłaś zdanie? Kurwa, wiedziałem, że to było zbyt piękne.

Wstałem z łóżka, włożyłem spodnie i zacząłem chodzić po pokoju. Właściwie to byłem już tak pijany, że bardziej się zataczałem. Na pewno nie przyszło mi do głowy, że gdybym wtedy pozwolił jej odejść, teraz sunąłbym Szosą Karakorumską, a nie wachał kwiatki od spodu. To ironia losu, że w tamtej chwili wypuszczenie Sawy z rąk wydawało mi się śmiercią.

– Doprowadzasz mnie do szału – powiedziałem i uderzyłem pięścią w ścianę. – Przecież wiesz, że i tak się mnie nie pozbędziesz.

– Straszysz mnie? – zapytała zimnym głosem.

– Co, kurwa? Dziewczyno! Co ty mi robisz? Co ty sobie robisz? Naprawdę wierzysz, że wrócisz do niego i wy... wyrzucisz mnie z pamięci?

Zakreśliło mi się w głowie, więc usiadłem na łóżku. Musiałem wydawać się jej żaloszny. Docierało do mnie, że nie jestem, nigdy nie byłem i nie będę facetem, z którym Sawa by się związała. Mogłem jedynie siedzieć w jakiejś ciemnej norze i czekać, aż łaskawie pozwoli mi na chwilę wyjść. Zrobiło mi się niedobrze. Znowu wstałem i odbijając się od ściany do ściany, doszedłem do łazienki, otworzyłem klapę kibla i zwymiotowałem. Nie zauważyłem, kiedy i po co Sawa poszła do kuchni. Wróciła z nowym drinkiem, myślałem, że zrobiła go dla siebie. Poprosiłem, żeby została na noc, żeby mnie nie zostawiała. Była niewzruszona, milczała. Zupełnie jakby coś ją zamroziło. Podała mi drinka.

– Nie chcę, kurwa, pić. – Wytrąciłem jej szklankę na podłogę.

Sawa wstała i zaczęła się ubierać. Z przedpokoju przyniosła płaszcz.

– Jeśli teraz stąd wyjdiesz, możesz być pewna, że tym razem Filip na pewno się dowie – zagroziłem w pijackim amoku.

– Filip i tak coś podejrzewa. Nie jest głupi. Jeśli chcesz, to mów, proszę bardzo. Mam to w dupie – uniosła się. – Myślisz, że mi nie wybaczy?

– Tak? A twój mały sekret też ci wybaczy? Twoja teściowa puści to płazem? Już widzę te nagłówki: „Morderczyni prezesem fundacji”. – Zacząłem się śmiać.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Sawa pchnęła mnie na łóżko. Byłem w takim stanie, że złożyłem się jak scyzoryk i opadłem na podłogę.

– O twoim ojcu.

Musicie mi wybaczyć, że zatrzymałem dla siebie najważniejszą informację do samego końca, ale sami rozumiecie, że wówczas nasza historia nie byłaby taka ciekawa. Sawa nie tylko nie pamiętała naszego pierwszego razu. Nie wiedziała, że już wcześniej zdarzało mi się za nią łązić. Tak dosłownie. Wchodziłem na garaże i gapiłem się w jej okna, licząc, że chociaż sobie na nią popatrzę. Czasami się udawało. Któregoś dnia zobaczyłem, jak Sawa podchodzi do okna, otwiera je. Byłem przerażony, myślałem, że mnie zauważyła, ale spojrzała w dół, a potem wyszła na parapet. Nie wiem, czy chciała wtedy popełnić samobójstwo, czy próbowała uciec. Musiałem jej pomóc. Zerwałem się i pobiegłem do klatki. Zacząłem naciskać wszystkie guziki, w końcu ktoś mi otworzył. Pobiegłem na górę. W tym czasie Sawa musiała wyjść już ze swojego pokoju, bo zobaczyłem ją przed drzwiami mieszkania. Szarpała się z ojcem. Krzyczała, żeby ją puścił, a on śmiał się jej w twarz. Myślałem, że chce jej coś zrobić. Nienawidziłem typu. Wiedziałem, co o nim gadają. Że za bardzo kocha swoją córkę. Mimo to obleciał mnie strach. Roman Bogucki był wielki, powaliłby mnie na głębę jednym ruchem. W pewnym momencie przestali walczyć, ale wymiana zdań trwała. Sawa odwróciła się, chyba chciała wejść do

mieszkania, ale on złapał ją od tyłu, przyciągnął do siebie i powiedział coś do ucha chrypliwym szeptem, na tyle głośno, że usłyszałem: „Nigdy cię nie puszcę”. Sawa odwróciła się i z całej siły pchnęła ojca na schody. Zleciał na półpiętro, aż musiałem odskoczyć. Oddychałem ciężko, spjrzałem w górę na Sawę. Nie wiedziałem, kto był bardziej przerażony, ona czy ja. Nie była pewna, co dokładnie widziałem, i bała się zapytać. Uciekła do mieszkania, potem nie widziałem jej przez wiele tygodni aż do naszego spotkania na domówce.

* * *

Ta młoda lekarka, która mnie pokroiła, miała rację. Śmierć jest zazwyczaj efektem przypadku. Nawet ta zaplanowana. Sawie nie przyszłoby do głowy, żeby mnie udusić, gdyby to nie była ostateczność. Wybrała bardziej elegancki sposób. Podawała mi kolejne drinki z klonazepamem, który rozgniotła na kuchennym blacie, podejrzewam, że dorzuciła także resztkę mefedronu znalezionej w mojej szufladzie. Ale zamiast spokojnie zasnąć i dać jej spokój na wieki, zwymiotowałem i zacząłem się ciskać. Zrozumiała, że tak łatwo jej ze mną nie pójdzie. Może nawet rozmyśliła się, położyła na szali małżeństwo z Filipem, stwierdziła: trudno, najwyżej wszystko się wyda. Bo jestem pewien, że w tamtej chwili Filip o niczym jeszcze nie wiedział. Zamiast to zostawić i pozwolić jej wyjść, musiałem przypomnieć jej o ojcu. O tym, że znam jej największy sekret. Nigdy wcześniej nie groziłem, że użyję go przeciwko niej.

Sawa nie miała zbyt wiele czasu do namysłu. Apaszka leżała pod ręką. Nie wiem, kiedy i jak Sawa owinęła moją szyję. Siedziałem zamroczony na podłodze, chyba nawet miałem zamknięte oczy. Poczułem ucisk, coraz silniejszy. Nie broniłem się zbyt zaciekle. Całkiem szybko zobaczyłem ciemność.

Powiecie, że skoro mnie zabiła, to znaczy, że mnie nie kochała. Nie myślę o tym w ten sposób. Śmierć wiąże dwoje ludzi tak samo jak akt narodzin. Sawa w chwili podjęcia decyzji o morderstwie zaryzykowała dla mnie całe swoje życie. Będzie o mnie pamiętała do śmierci. Tak naprawdę odejdę dopiero wtedy, kiedy umrze ona. Który kochanek ma taką pewność? Kto może powiedzieć o sobie to samo co ja?



PODZIĘKOWANIA

Jest wiele osób, którym chciałabym z całego serca podziękować za pomoc okazaną podczas pisania tej książki. Na pierwszym miejscu muszę wymienić Magdalenę Jędrzejewską, dobrego ducha tej powieści. Wierzę, że pewnych ludzi spotykamy w odpowiednim czasie w życiu i że nasze spotkanie było z góry zaplanowane. Magdo, jestem Ci wdzięczna za mnóstwo rzeczy, a w kontekście tej książki za to, że połączyłaś mnie z tyloma wspaniałymi ludźmi, którzy nie tylko służyli swoimi eksperckimi radami w trakcie pisania, ale okazali się niezwykle cennymi osobowościami. Tacy konsultanci to marzenie każdego pisarza. Dziękuję Ewie Małanowskiej, psycholog i biegłej sądowej, za okazane ciepło i fascynujące rozmowy o psychopatycznych osobowościach. Jestem pewna, że przeprowadzimy ich jeszcze wiele. Dziękuję Mariuszowi Jewusiakowi, patologowi i biegłemu z zakresu medycyny sądowej, za niezwykle cenne i fachowe wskazówki. Nieczęsto spotyka się znakomitych fachowców, którzy z taką pasją opowiadają o swojej pracy. Ogromnie dziękuję Piotrowi Pawłowskiemu, prawnikowi, który oprócz rozległej wiedzy posiada wyjątkowy dar opowiadania i sam mógłby napisać kilka książek. Podziękowania składam także pani adwokat Agnieszce Kapale-Sokalskiej. Do dziś pozostaję pod ogromnym wrażeniem jej klasy, profesjonalizmu i podejścia do ludzi. Ta książka nie mogłaby powstać bez konsultacji z prokuratorem, który wolał pozostać anonimowym źródłem wiedzy. Nie dziwię się, ponieważ sam z powodzeniem mógłby zostać bohaterem książki. Dziękuję za pomoc i cieszę się na dalszą współpracę.

Specjalne podziękowania należą się Pawłowi Pietrzyńskiemu, wspaniałemu przyjacielowi i kucharzowi, dzięki któremu główny bohater *Wzorca*, Adam, zdobył swój zawód.

Dziękuję mojej córce, Julii. Mama pisarka to osoba na dwóch etatach, które niełatwo połączyć. Prawdopodobnie niełatwo być też córką pisarki, której czasem trzeba powtarzać pewne rzeczy kilka razy, zanim wyrwie się ją ze świata konstruowanej w głowie fabuły, sceny, dialogu, postaci.

Jestem ogromnie wdzięczna moim wydawczyniom z Mięty, Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie i Katarzynie Berenice Mischczuk za to, że we mnie wierzą, a ich wsparcie wykracza poza służbowe relacje. To również dzięki Wam moja praca nigdy nie przestaje być pasją. Agnieszko, bardzo się cieszę, że od początku to Ty sprawujesz opiekę nad moimi książkami

i udowadniasz, że wydawca może być przyjacielem pisarza. Na koniec chciałabym podziękować mojej promotorce Marcie Kucharz oraz Gabrieli Niemiec, redaktorce o wyjątkowej umiejętności wyłapywania wszelkich niespójności, a jednocześnie doskonale rozumiejącej styl autora. Spotkałyśmy się zarówno przy tej powieści, jak i poprzednich mojego autorstwa i to również nie jest przypadek.

Adam i Sawa są postaciami fikcyjnymi, jednak lwia część wątków opisanych w niniejszej powieści ma odzwierciedlenie w rzeczywistości. Przemoc w rodzinie to olbrzymi problem, a dramaty z nią związane rozgrywają się codziennie – za naszą ścianą, na naszej ulicy, w gronie najbliższych znajomych, w naszym własnym domu. Wiele opisanych w książce sytuacji miało miejsce naprawdę – inspiracją do ich opisania była zarówno moja praca dziennikarki, jak i historie opowiedziane przez moich konsultantów. Smutnym faktem jest, że przemoc ma płęć i jest to płęć męska. Jej ofiarami najczęściej padają kobiety i dzieci, a z danych Centrum Praw Kobiet wynika, że z rąk partnera ginie rocznie nawet 500 Polek. Drugie tyle przebywa w więzieniach, odbywając wyroki za tzw. zabójstwa kuchenne, czyli zbrodnie zakończone zabicie kata przez doprowadzoną do ostateczności ofiarę. Przemoc domowa to trauma, która może zaważyć na życiu i śmierci, a także odciska piętno na następnych pokoleniach. Kolejna smutna konsekwencja tego stanu rzeczy to fakt, że przemoc kobiet wobec mężczyzn jest zjawiskiem, które często spotyka się z lekceważeniem – zarówno wśród służb, jak i w powszechnej opinii. Mężczyźni, którzy jej doświadczają, mają najczęściej problem z zauważeniem i nazwaniem problemu. Choć to niepopularne i ryzykowne stwierdzenie – zarówno media, jak i doświadczenie moich konsultantów potwierdza, że nie brakuje kobiet, które wykorzystują powyższe schematy. Zdarzają się zarówno fałszywe oskarżenia o gwałt, jak i przemoc ze strony partnera. Bezpośrednią inspiracją dla postaci Sawy były dwie autentyczne historie. W jednej z nich kobieta miała paść ofiarą gwałtu, w drugiej udusiła swojego partnera, pozorując obronę własną. Od zawsze jestem feministką i orędowniczką praw kobiet, sprzeciwiam się jednak podejściu, które sugeruje ślełą wiarę w wersję zdarzeń „ofiary” tylko dlatego, że się za nią podaje i ma taką, a nie inną płęć.

Karolina Głogowska